

Recenzje

Mit zacofanego Kościoła

Thomas E. Woods, Jr.: *How the Catholic Church Built Western Civilization*
(Regnery Publishing, Inc., 2005)

Roman Dmowski napisał niegdyś, iż „katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, zabarwieniem jej na pewien sposób, ale tkwi w jej istocie, w znacznej mierze stanowi jej istotę”, co można z łatwością rozciągnąć na całą cywilizację łacińską dodając, iż Kościół katolicki był także wielkim budowniczym tejże cywilizacji, jej pojęć i osiągnięć. Takie jest też główne przesłanie jednej z najnowszych książek prof. Tomasza E. Woodsa Juniora o mówiącym sam za siebie tytule – „Jak Kościół katolicki zbudował zachodnią cywilizację”. Autor, jako nawrócony z protestantyzmu tradycyjny katolik, obala po kolei wszystkie te mity, półprawdy, zmywy milczenia i zwykłe propagandowe kłamstwa, które obrosły wokół dziejów Kościoła katolickiego i przypinały mu etykiety zacofania i ciemnoty.

Woods rozpoczyna od przypomnienia, że to właśnie Kościół wyeliminował walki gladiatorów i dzieciobójstwo jeszcze za czasów rzymskich i przechował naukę oraz cywilizację łacińską, chrześcijańsko-klasyczną i pomógł im przetrzymać najazdy germańskich barbarzyńców na ziemi Cesarstwa Rzymskiego i tzw. „wieki ciemne” trwające od wieku V do IX – od upadku Rzymu aż po tzw. renesans karoliński. Trzeba však pamiętać, że pogański Rzym chylił się ku upadkowi jeszcze przed tzw. Wędrówkami Ludów poprzez działanie wpływów orientalnych, wysokich podatków i obyczajowego libertynizmu, a najazdy Hunów i Germanów były już tylko gwoździami do trumny Imperium Romanum. Przejście na chrześcijaństwo w wieku IV nie mogło zmienić już wiele, bowiem Rzym był już tak osłabiony, że zachodnie imperium stało się łatwym łupem dla plemion germańskich. Ważne jest jednak to, iż to Kościół, niosąc chrzest i ucząc rzymskiego stylu życia, uczynił z pogańsko-germańskich wodzów i ich plemion chrześcijańskich monarchów i chrześcijański – lud boży. Powstające w postrzymskiej Europie zachodniej klasztory stały się też oazami nauki i kultury w niezbyt uczonych czasach, z których powoli znów zaczęła promieniować oświata. W tychże klasztorach mnisi przechowywali, studiowali i przepisywali prace greckich i rzymskich autorów, co przyczyniło się przede wszystkim do uratowania tych drogocennych dzieł i kulturowego i intelektualnego odrodzenia, znanego jako karoliński renesans, za panowania Karola Wielkiego. Głównym motorem tegoż IX-wiecznego renesansu był Kościół, a najsłynniejszym dorobkiem pismo z literami małymi, dużymi i pauzami, którego używamy do dziś.

Podczas „wieków ciemnych” to właśnie zakonnicy ocalili i unowocześnili rolnictwo, zwiększając plony i wynieśli je na coraz to wyższy poziom drenując mokradła, karczując gęste puszcze, wprowadzając pszczelarstwo, piwowarstwo, winnice, sadownictwo,

produkcję sera w Parmie, handel zbożowy w Szwecji, łowienie łososi w Irlandii itd. Mało kto wie też o tym, iż odkrywcą szampana był XVII-wieczny zakonnik francuski: benedyktyń Dom Perignon.

Jak wspomina autor, Kościół stworzył i rozwinął także nowoczesny system uniwersytecki z jego katedrami, stopniami i metodami naukowymi oraz podziałem na studia dyplomowe i podyplomowe. Tak słynne dziś wszechnice jak uniwersytet paryski, Oxford czy Cambridge, nie mówiąc już o uniwersytetach niemieckich czy włoskich, zaczęły rozwijać się na podstawie istniejących szkół przykatedralnych już w drugiej połowie XII w. a powstały w XIV w. polski Uniwersytet Jagielloński jest też produktem „ciemnego” średniowiecza.

Amerykański naukowiec zwraca też uwagę czytelników na fakt, iż „prawdziwa rola Kościoła w rozwoju nowoczesnej nauki pozostaje jedną z najlepiej pilnowanych tajemnic historii nowożytnej”. Antykatolicka legenda głosi jakoby Kościół hamował i krępował jakikolwiek rozwój nauki poza teologią i był wiecznym wrogiem dociekliwości intelektualnej. Prawda jest jednak taka, iż Kościół nie tylko przechowywał i przepisywał stare, grecko-rzymskie rękopisy, ale także uczestniczył we wszystkich dziedzinach nauki, wspierał rozwój nauk moralnie i finansowo, a duchowni katolicy często byli nie tylko wielkimi naukowcami, ale także pionierami nauk przyrodniczych i nie tylko. Wystarczy tutaj wymienić kilka nazwisk: Teodoryka z Chartres (filozof, w. XII), słynnego XIII-wiecznego Tomasza z Akwinu, Jana Buridana (profesora Sorbony, filozofa, ojca tzw. rewolucji kopernikańskiej, XIV w.), osławionego Mikołaja Kopernika, „ojca geologii” i pioniera anatomii, Duńczyka nawróconego z luteranizmu, Mikołaja Steno (w. XVII) oraz XVIII-wiecznego jezuitę, Chorwata Rogera Boškoviča – astronoma, filozofa, poetę, dyplomatę i matematyka nazywanego „największym geniuszem Jugosławii”. Woods opisuje też kontrowersje i mity otaczające sprawę Galileusza, którego wcale nie „prześadowano” za intelektualną dociekliwość czy szerzenie teorii Kopernika (którą aprobował sam Papież), ale za wkraczanie w dziedzinę teologii i uparte twierdzenie jakoby teoria kopernikańska była jedyną.

333

Jednym z głównych powodów, dla których właśnie Kościół katolicki przyczynił się do rozwoju nauk było katolickie przekonanie, iż Bóg zachowuje się w sposób racjonalny i przewidywalny przy czym inne kultury i religie są przekonane o obecności duszy w drzewach, kamieniach i rzekach a muzułmanie uważają, że Allah jest nieprzewidywalny i zachowuje się wedle kaprysu. Dlatego też zbudowana i wychowana przez Kościół katolicki (nawet jeżeli później po części sprostaktyzowana i zateizowana) Europa, a nie Dar-al-Islam, Chiny czy Indie stała się ostatecznie światowym centrum technologii i nauki.

Równocześnie Woods udowadnia, wbrew teozom „racjonalistycznych” piewców „oświecenia”, iż Kościół uważał rozum i racjonalne jego wykorzystywanie za dane od Boga cechy człowieczeństwa. Jak pisał żyjący na przełomie w. X i XI Gerbert z Aurillac, później Sylwester II: „człowiek sprawiedliwy żyje wiarą”, ale „dobrze jest, gdy połączy naukę ze swą wiarą”, a ci, którzy wiedzy nie mają „zwą się głupcami”.

Kolejnym przemilczanym osiągnięciem Kościoła jest też stworzenie nowoczesnego prawa, w przeciwieństwie do germańskiego prawa zwyczajowego, chodzenia po gorących węglach itd., opartego na dawnym prawie rzymskim i kościelnym prawie kanonicznym.

Prawo międzynarodowe, próbujące uregulować i w jakiś sposób ucywilizować stosunki między państwami i narodami jest także dziełem Kościoła i XVI-wiecznego hiszpańskiego duchowieństwa występującego w obronie praw Indian. Kto zna prace Konecznego przypomniał sobie też, że to rektor UJ, Paweł Włodkowic, już na początku XV w. lansował zasadę, według której ziemia należąca nawet do pogan jest ich własnością i nie wolno tych pogan nawracać siłą.

Zbyt często zapomina się też o tym, że promująca wolność gospodarczą ekonomia wolnorynkowa jest tak naprawdę ekonomią katolicką, której główne zręby sformułowali już średniowieczni myśliciele katolicki i Scholastycy. „Ojcostwo” teorii wolnorynkowej przypisuje się przeważnie XVIII-wiecznemu szkockiemu deście Adamowi Smith’owi chociaż Józef Schumpeter pisał w 1954 r. o katolickich scholastykach XV i XVI w.: „to właśnie oni, ze wszystkich grup, są najbliżsi byciu ‘założycielami’ ekonomii naukowej”. Podobnego zdania byli też tacy ekonomiści jak Marjorie Grice-Hutchinson, Rajmund de Roover i Aleksander Chafuen, a Murray Rothbard nazwał nawet Szkołę Austriacką kulminacją myśli scholastyków. Jeszcze w wieku XIV katolicki myśliciele francuscy, Jan Buridan i Mikołaj Oresme, wyłożyli główne fundamenty nowoczesnej teorii pieniężnej, obaj sprzeciwiali się też psuciu pieniądza przez państwową politykę inflacyjną, bowiem, jak argumentowali, polityka taka wzbogaca państwo kosztem poddanych, winduje ceny i destabilizuje handel. Kopernik podobnie zresztą twierdził, iż zły pieniądz zawsze wypiera lepszy (niesłusznie nazywa się to „teorią Greshama”). Hiszpański teolog-scholastyk Marcin de Azpilcueta (1493–1586) zwrócił uwagę na fakt, iż gdy w obiegu jest mało pieniędzy, to i towary i robocizna kosztują mniej – podczas gdy np. w zalewanej złotem z Nowego Świata ówczesnej Hiszpanii panuje drożyzna. Włoski kardynał Tomasz Gajetan (1468–1534), znany głównie ze swych polemik-debat z Lutrem, jest z kolei wynalazcą tzw. teorii oczekiwań. Inne wielkie umysły Kościoła, jak np. Franciszkanin Piotr de Jean Olivi (XIII w.), jezuita kard. Jan de Lugo, XVI-wieczny scholastyk Ludwik Saravia de la Calle i jezuita Ludwik de Molina, już wtedy, przed Adamem Smithem, pisali, że to podaż, popyt i wartość, którą przyznają danemu towarowi konsumenci, a nie robocizna włożona w wyprodukowanie towaru, decydują o jego cenie.

Feministki z kolei zapominają, lub nie chcą pamiętać, o fakcie, że to właśnie chrześcijaństwo i Kościół dały kobietom równouprawnienie, bezkompromisowo domagając się monogamii dożywotniej. Zresztą są i takie feministki, które w przychylnym szczerości przyznają półgębkiem, iż np. pornografia niszczy godność kobiety i czyni z niej jedynie przedmiot pożądania seksualnego, a więc jednak przyznają rację Kościołowi pod tym akurat względem. Jak pisze Woods, gdy chrześcijaństwo rozwijało się jeszcze za pogańskiego Imperium Romanum, Rzymianie często wyśmiewali się z chrześcijaństwa jako „religii kobiet”, ponieważ kobiety ciągnęły właśnie ku chrześcijaństwu jako dającym im godność i równouprawnienie. Sytuacja nie zmieniła się wiele przez dalsze półtora tysiąca lat, bowiem w XIX-wiecznej Francji obawiano się dać prawo głosu kobietom właśnie dlatego, iż demoliberałowie i „laicy” republikanie obawiali się, że kobiety zagłosują *en masse* na prawicę katolicką.

Na koniec autor nawołuje też by „ogłosić swą niepodległość” od libertyńskiego systemu pseudowartości, bowiem od tego właśnie zależy, czy jest się tylko zwierzęciem, żyjącym jedynie dla zaspokajania swych najbardziej podstawowych potrzeb i natychmiastowej gratyfikacji, czy też człowiekiem potrzebującym czegoś więcej, czegoś na wyższym poziomie. Wszystko o czym pisze i przypomina Woods może być czymś znanym i oczywistym dla czytelników katolickich i konserwatywnych, lecz dla większości są to fakty raczej nowe. Tłumaczą one jednak, dlaczego wszelkiej maści lewaccy barbarzyńcy szturmują na cywilizację łańcińską zaczynając od ataków na Kościół i katolicyzm właśnie.

www.iwp.edu

Marek Jan Chodakiewicz

335

Wysterylizowane biurko Hitlera¹

David Irving, *Hitler's War and the War Path*

(London: Focal Point Publication, 2002)

Filolog Luciano Canfora z uniwersytetu w Bari napisał ostatnio książkę o historii „demokracji” (po włosku: *Democrazia: Storia Di Un'Ideologia*; po angielsku: *Democracy in Europe: A History*). Odniósł się w niej życzliwie do komunizmu. „Zapomniał” wspomnieć o gulagu. Natomiast cyklicznie irytował się na bezczelnych Polaków, którzy – czy to sprawą Katynia, czy to już „Solidarnością” bądź papieskim pontyfikatem – popisywali się żenującym ekstremizmem i przeszkadzali w poprawnych stosunkach zachodnio-sowieckich. Mimo tego *Democrazia* przetłumaczono na francuski, angielski i niemiecki, a usłudni współideowcy potraktowali ją z życzliwością. Zgrzyt nastąpił w momencie, gdy przerażony nagą apologetyką Stalina niemiecki wydawca odmówił publikacji gotowego już tłumaczenia. Profesor Canfora natychmiast podniósł wrzawę, oskarżając wydawcę o cenzurę. Autor otoczony takim nimbem męczeństwa może liczyć nie tylko na poparcie innych filostalinistów, ale również sympatię przeciętnego, liberalnego inteligenta. Czekają go zapewne wawrzyny w uniwersytetach oraz kontrakty książkowe i stypendia naukowe. Słowem: Canfora może być spokojny o swoją sławę i przyszłość. Przecież padł ofiarą przesładowań przez nietolerancyjnych.

Tymczasem inny intelektualista zachodni doświadczył stokroć gorszych rzeczy. Jak sam wspomina, deportowano go z kilku krajów – od Austrii przez Kanadę do Australii, aresztowano kilkanaście razy, zrujnowano finansowo procesami. Napadnięto go i pobito kilkakrotnie; zaszczuto jego rodzinę. Zdemolowano mu dom, a „nieznani sprawcy” spalili drukarnię jego wydawcy. Intelektualista ten skarży się, że nagminnie wydawcy go cenzurują, odmawia mu się prawa do polemiki, a ostatnio nawet ma kłopoty, aby opublikować

swoje książki poza internetem.² Jednak nie słyhać jakoś chóru poparcia dla tego badacza. Nie może on liczyć na sympatię opinii publicznej. Mimo, że od Canfory i innych nie różni go wiele, intelektualista ten wybrał złego socjalistę do wybielania. David Irving, bo o niego tu chodzi, jest filohitlerowcem. Historyk ten opublikował niezwykłą biografię przywódcy III Rzeszy od chwili zdobycia władzy do śmierci. Irving podkreśla, że praca pisana jest „za biurka” Adolfa Hitlera, z jego optyką.

Wiosna dla Hitlera

Der Führer wylaniający się spod pióra Irvinga to „enigma.”³ To skomplikowana postać łącząca w schorowanym organizmie nadludzką wielkość z przyziemnością i małostkowością. Z jednej strony Hitler to błyskotliwy taktyk polityczny, natchniony wizjoner geopolityczny i genialny wręcz strateg wojskowy, któremu do piętnastu nie dorastają niemieccy generałowie. Cenił jednak rycerskość i odwagę, zarówno wśród swych podwładnych, jak i wrogów. Cenił też Wielką Brytanię i chciał podzielić się władzą nad światem z Anglikami, którzy jego oferty stale odrzucali przez perfidnego Churchilla. Dyktator nie był bezwzględny przywódcą. Kochał Niemców i oszczędzał wojsko i cywilów na każdym kroku. Jednocześnie Hitler to dyktator coraz bardziej izolowany i izolujący się od rzeczywistości w swoich bunkrach; wódz III Rzeszy, którego z czasem mało kto słuchał; czołowy narodo-
wy socjalista, który nie miał dobrej orientacji w wielu bieżących sprawach, a szczególnie nie wiedział prawie nic o eksterminacji ludności żydowskiej; dowiadywał się o tym i innych kontrowersyjnych sprawach po czasie; w rzeczywistości nie miał na nie za dużo wpływu, a już nigdy przecież nie zaplanował „Ostatecznego Rozwiązania”. Nawet jak otrzymywał informacje o mordach po fakcie, to ignorował je, właściwie „nie chciał wiedzieć.”⁴ Tak, czasami zgadzał się na deportacje Żydów, ale to było dla ich własnego dobra. Chodziło przecież o uchronienie ich od „epidemii.”⁵ Co więcej, jego antysemityzm to była głównie populistyczna poza, retoryka przydatna w okresie demokratycznej walki o władzę, następnie porzucona. To jedna twarz Hitlera.

Z drugiej strony Irving kreśli Hitlera jako prywatnego, zwykłego człowieka, chociaż wewnątrz, uczuciowo raczej enigmatycznego. Chorobliwie strzegł swojej prywatności. Był bardzo dyskretny w sferze intymnej. Poza tym Hitler to taki normalny, przeciętny pan w średnim wieku. Właściwie co wieczór zapraszał swoich totumfackich, a w tym i sekretarki na pogaduszki, które ciągną się do białego ranka. Herbatka, ciasteczka, anegdotki. Czasami towarzystwo urozmaicało sobie czas oglądaniem filmów. Hitler potrafił być miły i sympatyczny. Wraz z pogarszaniem się sytuacji coraz częściej wpadał w furję, nie pozwalał na wyrażanie przeciwnych poglądów.

Der Führer w tym wcieleniu jawi się jako hipochondryk, niemal codziennie szprycowany narkotycznymi koktajlami przez swego osobistego lekarza-szarlatana; właściwie bezzębny pacjent cierpiący na stale natężającą się chorobę Parkinsona, polityk działający pod presją widma własnej nadchodzącej przedwcześnie śmierci, człowiek cierpiący na bezsenność. A jednocześnie jego choroby miały wpływ na jego polityczne i militarne decyzje. Hitler rozumiał, że ma niewiele czasu i dlatego śpieszył się, aby przed śmiercią osiągnąć

wielkie rzeczy dla Tysiącletniej Rzeszy. Niemiecki dyktator był wierny swojej ideologii i celom, a oportunistyczny w sprawach taktyki.

Irving namalował swój apologetyczny portret Hitlera w oparciu o wieloletnie, pracowite badania w kilkudziesięciu archiwach i zbiorach prywatnych na całym świecie. Jako model intelektualny apologetyki posłużył mu, pozornie paradoksalnie, moralnie relatywny paradygmat rewizjonistów sowietologicznych.

Rewizjonizm sowietologiczny

Dlatego też – mimo że David Irving wybrał jako przedmiot swej apologii socjalistę narodowego, a nie międzynarodowego – pod pewnymi kluczowymi względami badacz ten nie różni się zbyt wiele od Canfory i całej rzeszy podobnych im intelektualistów.

David Irving uzyskał wykształcenie historyczne w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W tym czasie dominującą szkołą metodologiczną w Wielkiej Brytanii i świecie anglosaskim przywołał E.H. Carr. Naukowiec ten twierdził – trochę upraszczając – że historia jest tylko kwestią interpretacji i każda interpretacja jest równie dobra, jak każda inna.⁶

337

Moralny relatywizm na intelektualnym szczycie pomógł znacznie rewolucji kulturowej lat sześćdziesiątych. W tym czasie – w pogoni za socjalizmem i rewolucją – wielu naukowców odrzuciło model totalitarny państw komunistycznych. Zabiegł ten dotyczył rozumienia przede wszystkim Związku Sowieckiego. Irving postanowił zastosować ten sam manewr w stosunku do III Rzeszy.

I tak profesor Moshe Lewin twierdził, że Lenin był dobry, a tylko Stalin zły.⁷ Podobnie, w bardziej zniuansowany sposób, Irving uważa, że Hitlera niesłusznie demonizuje się, bowiem tak naprawdę odpowiedzialnym za najgorsze zbrodnie był Heydrich, a może nawet Himmler.⁸ Theodore H. Von Laue podkreśla, że Lenin i Stalin byli potrzebni, aby zmodernizować Rosję.⁹ Hitler przecież również wprowadził kurs reformatorski w gospodarce – podkreśla Irving. Isaack Deutscher podnosił, że Trocki byłby najlepszym kandydatem na następcę Lenina, ze względu na swój rewolucyjny dynamizm, antybiurokratyzm, oraz międzynarodowe nastawienie.¹⁰ Irving zastanawia się, czy Ernest Röhm ze skrajnego skrzydła NSDAP nie miał racji, gdy chciał natychmiast doprowadzić narodową rewolucję do jej radykalnej konkluzji. Stephen Cohen argumentuje, że w latach dwudziestych głównym ideologiem systemu sowieckiego był Bukharin, którego program częściowo przejął i wypaczył Stalin.¹¹ Irving twierdzi, że głównym ideologiem narodowego socjalizmu nie był Hitler, a Goebbels. *Der Führer* jakby bezwiednie godził się na podążanie wytyczanym przez swego ministra propagandy kierunkiem. Sheila Fitzpatrick argumentuje, że Stalin właściwie przestał być rewolucjonistą niedługo po dojściu do władzy.¹² Podobnie myśli Irving o Hitlerze.

Naukowcy tacy jak J. Arch Getty przyjęli podejście socjologiczne; to rzekomo nie Stalin był winny za terror, a działające oddolnie i spontanicznie legiony „małych Stalinów,” czyli sowieckich biurokratów oraz zindoktrynowanych fanatyków, którzy wykazywali dużo większą inicjatywę niż ich przywódca.¹³ Stalin był odizolowany na Kremlu. Nie można go

przecież winić za wszystko, co się działo w Związku Sowieckim. Przecież to niemożliwe, że jeden człowiek mógł wszystko kontrolować. Podobnie David Irving upiera się, że nie Hitler był odpowiedzialny za zbrodnie, a tylko jego SS-mani, czyli ideologiczni ekstremiści, którzy nadinterpretowali przemówienia swego wodza. Hitler rzekomo właściwie niewiele wiedział i niewiele kontrolował, był izolowany w swoim bunkrze.

No i naturalnie istnieje cała szkoła naukowców, a w tym wszyscy powyżej wymienieni i wielu innych, którzy nagminnie pomniejszali czy wręcz przemilczali zbrodnie komunistyczne. Moshe Lewin na przykład twierdził, że chłopci właściwie sami chcieli kolektywizacji.¹⁴ J. Arch Getty szacował, że w Związku Sowieckim zginęło może kilkaset tysięcy ludzi; a inny sowietolog, Jerry F. Hough, obniżył poprzeczkę ofiar do „dziesiątków tysięcy.”¹⁵

Jednym słowem sowietologia zachodnia to do dużego stopnia apologia masowych morderców i ich zbrodni. David Irving przeniósł model sowietologicznego rewizjonizmu na studia nad III Rzeszą. Perfekcyjnie zaadoptował ich moralny relatywizm oraz styl argumentacji.

Eksterminacja Żydów

Jest to chyba najbardziej ewidentne w sposobie, w jaki Irving traktuje eksterminację Żydów.¹⁶ Według niego „Ostateczne Rozwiązanie” oznaczało jedynie „deportację wszystkich Żydów z Europy,” a nie ich mord. „The Final Solution” to znaczy „the deportation of all Jews from Europe.” Irving, s. 448. Nie przeszkadza to historykowi jednocześnie uparcie opierać się na opinii totumfackich Hitlera, że ten nic nie decydował w tej sprawie: “Hitler’s surviving adjutants, secretaries, and staff stenographers have all testified, both under penetrating post-war interrogation and in interviews with this author that never once was any extermination of either Russian or European Jews mentioned – even confidentially – at his headquarters.” Irving, s. 450. Jednocześnie Irving ignoruje fakt, że Hitler – którego rzekomo takie sprawy powinny nie zajmować – spędzał niesamowitą ilość czasu na ustalaniu profilów rasowych swoich otoczenia (e.g., kierowcy, dietetyczki, którą zwolniono za żydowską praprababkę), oraz – generalnie – żołnierzy, decydując w wielu indywidualnych przypadkach o przyznaniu żołnierzom żydowskiego pochodzenia certyfikatów o „aryjskości”. Szerzej o tym zob. w Bryan Mark Rigg, *Hitler’s Jewish Soldiers: The Untold Story of Nazi Racial Laws and Men of Jewish Descent in the German Military* (Lawrence, Kansas: University Press of Kansas, 2002); oraz naszą recenzję tej pracy: Marek Jan Chodakiewicz, „Żydowscy Niemcy w wojskach Hitlera,” *Arcana*, nr 3 (51) (2003): s. 202–216.

Koncepcja Holokaustu została wymyślona w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. W rzeczywistości – twierdzi Irving – nic takiego nie miało miejsca. To prawda, że wielu Żydów zginęło. Ale do tragedii doszło bez wiedzy i rozkazu Hitlera.¹⁷ Nie było żadnego planu eksterminacyjnego, ani jednego polecenia wodza III Rzeszy, aby taką akcją zacząć. Po prostu Himmler i jego najbliżsi współpracownicy „deportowali na wschód” Żydów europejskich. Deportacja naturalnie nie miała oznaczać eksterminacji. Niestety na miejscu szeregowi fanatycy z SS oddolnie przeprowadzili szereg spontanicznych egzekucji. Poza tym

– Irving argumentuje w sposób znany w Polsce z prac Jana Tomasza Grossa¹⁸ – antysemitcy sąsiedzi sami wymordowali Żydów,¹⁹ wyręczając tym samym SS, które dopiero potem ochotniczo i oddolnie przyłączyło się do masakr. Irving twierdzi, że te oddolne działania „tubylców” wynikały z antykomunizmu, który wybuchł po ataku Hitlera na Stalina.

Poza tym Żydzi ginęli na skutek epidemii w gettach bowiem – jak podaje historyk – nie za bardzo przestrzegali zasad higieny. Ponadto Irving sieje ziarno wątpliwości co do istnienia obozów zagłady. Auschwitz to właściwie zbiór przedsiębiorstw przemysłowych, przy których funkcjonował obóz pracy. Irving nie twierdzi wprost, że nie gazowano ludzi. Po prostu pomija do dużego stopnia tę sprawę. Natomiast od czasu do czasu wspomina awersję Hitlera do gazów bojowych oraz podaje kilka przykładów, gdzie *Der Führer* nie zgodził się na ich zastosowanie na froncie, a nawet przeciw sowieckim partyzantom.²⁰

Jednym słowem Irving traktuje eksterminację Żydów w czasie II wojny światowej nie jako całościowy złożony proces, lecz jako serię lokalnych przypadków masakr, zwykle oddolnych, albo mało związanych ze sobą, albo wręcz nie mających wiele wspólnego.

To nie koniec. Otóż David Irving nie za bardzo chętnie zastanawia się ilu Żydów, czy polskich chrześcijan zginęło z ręki niemieckich narodowych socjalistów. Od czasu do czasu skapuje mu krokodyla łza nad jakimś tam masowym mordem ludzi uznanych przez Hitlera za wrogów. Natomiast regularnie, szczegółowo i monotonicznie Irving podlicza, ilu Niemców-cywili zginęło podczas alianckich bombardowań. Stara się przekonać czytelnika, że bombardowania to była właściwie masowa eksterminacja. Przerażającym opisem spowodowanych bombami pożarów, oraz aluzjami do setek tysięcy, wręcz milionów spalonych czy uduszonych z braku powietrza stara się zbudować obraz miast niemieckich jako obozów zagłady bezbronnych niemieckich cywili. Jest to niewypowiedziane przez Irvinga porównanie do prawdziwych obozów zagłady masowej w Generalnym Gubernatorstwie. Jasne, że badacz ten kreuje piwnice Drezna i innych miast niemieckich na komory gazowe, a domy na krematoria. Aluzja jest zanadto przejrzysta. I tu święci triumfy tak umiłowany przez lewicę relatywizm moralny.

Porównanie i przeciwstawienie sobie bombardowanych miast i obozów śmierci, jednocześnie pomniejszając czy wręcz przemilczając istnienie tych ostatnich to bardzo wyrafinowana sztuczka moralnego relatywisty. Ale jeszcze bardziej sprytne jest twierdzenie Irvinga, że rzekomo Holocaustu nie było. Miały miejsce jedynie nieskoordynowane masakry ludności żydowskiej. Irving powołuje się głównie na fakt, że nie znaleziono planu generalnego oraz rozkazu Hitlera, aby przeprowadzić eksterminacje. Podkreśla też, że polityka III Rzeszy nie była jedną, logiczną, stałą linią dążącą do wytopienia Żydów. Przechodziła rozmaite stadia i fazy. Politycy narodowo-socjalistyczni rozważali różne rozwiązania, a w tym deportacje na Madagaskar czy „na Wschód” a – w końcowej fazie wojny – choćby możliwość wymiany Żydów na ciężarówkę z aliantami zachodnimi.

Takie sprytne uszeregowanie faktów podważa, albo przynajmniej rzuca poważne wyzwanie obowiązującym interpretacjom w historiografii. Szczególnie zagrożona jest koncepcja taka jak Lucy Dawidowicz, która pisała o „wojnie przeciw Żydom” trwającej bez przerwy od 1933 do 1945.²¹ Koncepcja ta oparta jest o tezę o stałej prawnopństwowej

eskalacji prześladowań, kulminującej w przeprowadzonym na komendę logicznym, systematycznym, uporządkowanym i masowym mordzie Żydostwa europejskiego. Ale nawet pozorną logikę Irvinga pada, gdy odejdziemy od modelu instytucjonalnego Holocaustu, preferowanego przez Dawidowicz i innych, a spróbujemy pojąć ten zbrodniczy fenomen jako wydarzenie rewolucyjne.

Holocaust i rewolucja

Otóż dynamika i logika Holocaustu, po pierwsze, odzwierciedlały powszechnie znany mechanizm rozkręcania się rewolucyjnego terroru. Po drugie, były kompromisem między nazistowską rewolucją a niemiecką pragmatyką wymuszoną priorytetami prowadzenia wojny.

Żydzi europejscy generalnie, ale również inni „podludzie” (szczególnie polskie elity chrześcijańskie, a potem Słowianie wschodni), padli ofiarą rewolucji narodowo-socjalistycznej, która rozpostarła swoje skrzydła w pełni dopiero w kontekście wojny na wschodzie od połowy 1941 r. Przedtem niemieccy naziści szukali możliwości wywołania rewolucji, a wraz z nią kampanii eksterminacji wrogów ludu. Hamował ich jednak pragmatyzm, a w tym konieczność zachowania porządku na zapleczu frontu oraz potrzeba zapewnienia sprawnego działania gospodarki i eksploatacji przymusowej siły roboczej.

Ponieważ Hitler zdobył władzę w Niemczech głównie w sposób parlamentarny, jego III Rzesza powstawała relatywnie spokojnie. Kontrola nad państwem przyszła w rezultacie okrągłostołowego kompromisu, a nie rewolucyjnej rzezi. Stare, znieawidzone przez narodowych socjalistów elity pozostawały w wielu strukturach państwowych. W większości przedsiębiorcy i arystokraci zachowali swoją własność i częściowo przywileje. Działacze konkurencyjnych partii socjalistycznych – komuniści i socjaldemokraci – zostali wchłonięci przez Narodowo-Socjalistyczną Partię Robotników Niemieckich (NSDAP). Tzw. „burżuje” i „reakcyjniści” z partii centrowych i konserwatywnych zostali dokooptowani przez państwo, a tylko ich nieprzejednani przywódcy zepchnięci na margines, albo – wyjątkowo – prześladowani. Obiecywana rewolucja narodowo-socjalistyczna ograniczona została do sfery prawa, instytucji i retoryki. W porównaniu ze stalinowskim terrorem w Związku Sowieckim, hitlerowskie represje były raczej ograniczone w latach trzydziestych. Narodowo-socjalistyczna inżynieria społeczna pozostawała na poziomie marzeń i obietnic. Krępowały ją tradycjonalistyczne cechy społeczeństwa niemieckiego, a w tym chrześcijaństwo, szczególnie wytrwale bronione przez Kościół katolicki. Nazistowski radykalizm pozostawał nienasycony. Misja i sen Hitlera o rewolucji nazistowskiej i *Lebensraum* nie mogła się spełnić w granicach III Rzeszy. Rewolucja żądała wojny.

Rewolucjonista Hitler traktował wojnę światową jako swoją rewolucję. Zresztą jako narodowy socjalista kochający Niemców wolał, aby jego rewolucja i jej terror dotknęły głównie obcych – podludzi, Żydów szczególnie. Przecież mógł zacząć mordować masowo Żydów już w chwili podboju Polski. Nie zrobił tego, bo – oprócz uwarunkowań polityki zagranicznej – zależało mu na porządku, a całościowa, anarchistyczna eksterminacja to chaos. Eksterminowano więc selektywnie – głównie polską elitę chrześcijańską, ale propor-

jonalnie również podobne ilości Żydów. Pierwszy wojenny powiew terroru niemieckiego tym sposobem likwidował potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa interesów III Rzeszy, oraz jednocześnie wprowadzał w życie ideologiczne założenia eksterminacyjnej rewolucji nazistowskiej przeciw podludziom. Rewolucja jednak na tym etapie samoograniczała się, aby nie zagrozić porządkowi oraz gospodarczej eksploatacji podbitych ziem.²²

W momencie ataku na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 r. metody wypróbowane w okupowanej Polsce centralnej i zachodniej przeniesiono na Kresy i dalej na wschód. Tym razem terror rewolucyjny zaistniał na gigantyczną (choć nie totalną) skalę – zabijano działaczy komunistycznych i Żydów zdefiniowanych jako „komunistów,” ale oszczędzono tzw. „użytecznych Żydów.”²³ Od grudnia 1941 r. zaczęto stopniowo mordować również tych ostatnich. Mordy na wschodzie wznowiono na dużą skalę wiosną 1942. W tym czasie w okupowanej Polsce zachodniej i centralnej, przede wszystkim w tzw. Generalnym Gubernatorstwie, zaczęto eksterminować masowo miejscową ludność żydowską. Ściągano też Żydów z całej Europy.

Przez cały czas zmagano się z następującym dylematem – jak pogodzić chaos rewolucyjnej anarchii z potrzebą zachowania porządku? Dlatego też (jak również ze względu na chęć oszczędzenia morderców z SS) po pewnym czasie praktykę masowego rozstrzelania wrogów nazistowskiej rewolucji zastąpiono zabijaniem metodą przemysłową: gazem.²⁴ W teorii nowoczesna organizacja masowej śmierci według paradygmatu przemysłowego pozwalała Hitlerowi na kontynuowanie rewolucji, jak również zachowanie porządku – przynajmniej do pewnego stopnia. Tym sposobem dyktator miał ciastko i jadł ciastko. Apetyt rósł wraz z jedzeniem. Spirala mordów nakręcała się automatycznie, wynikała zarówno z założeń systemu, jak i logiki wojny jako rewolucji.

W absolutnych liczbach ofiar i natężeniu rewolucyjnej furii Holocaust kulminował jesienią 1942 i jesienią 1943 r. Trwał w rewolucyjnych porywach do końca 1944 r. Jego dynamikę i logikę dyktował nie tylko radykalizm bezpośrednich sprawców z nazistowskiej policji oraz formacji pomocniczych, ale również konflikty z konkurencją: narodowo-socjalistycznymi urzędnikami cywilnymi, którym całościowa, rewolucyjna eksterminacja Żydów w danym momencie nie była na rękę, bowiem przeszkadzała im w wypełnianiu ich obowiązków na polu eksploatacji gospodarki i siły roboczej dla celów zwycięstwa w wojnie totalnej. Jednak apetyt nazistowskich rewolucjonistów rósł w miarę jedzenia. Stąd natężenie mordów rosło wraz z rozpędzaniem się pociągu rewolucji, z upływem czasu, z brutalizacją wojny. Tak przecież napędza się spirala rewolucyjnego terroru.

Tak jak w latach 1933–1939 rewolucyjny impuls Hitlera i NSDAP był spętany kompromisem politycznym przy przejmowaniu władzy, tak też podobnie w latach 1939–1945 rewolucyjna żarłoczność narodowych socjalistów nie mogła się rozwinąć w pełni i natychmiast ze względu na pragmatyczne wyzwania wojny.

Dopiero gdy spojrzymy na eksterminację Żydów jako pozornie chaotyczny fenomen rewolucyjny (ekspropriacja, usunięcie ze społeczeństwa oraz mordy masowe) ograniczony potrzebami wojennymi, Holocaust może się jawić jako logiczna całość. Co z tego, że historycy nie znaleźli rozkazu Hitlera? Lenin też nie wydał rozkazu szczegółowego, aby

mordować stare elity, a w tym arystokrację i burżuazję, a bolszewicy i ich ich sojusznicy (nie tylko Czeka) eksterminowali masowo „białoruczkich”. Nikt im nie musiał rozkazywać szczegółowo czy generalnie, aby zacząć eksterminację. Wystarczyły płomienne mowy Lenina, pełne jadu i nienawiści do „wrogów ludu”. Odpowiedzialność Lenina za masowe mordy jednak nie ulega wątpliwości.

Jak Irving sam przyznaje, Hitler stale przemawiał w najbardziej ekstremalny sposób przeciw Żydom. Narodowy socjalizm oparty był na pogańskim, rasistowskim antysemityzmie. W takim kontekście specyficzny rozkaz nie był potrzebny. Narodowo-socjalistyczni rewolucjoniści rozumieli podświadomie o co chodziło. Irving przyznaje, że dokładnie tak było, ale wyciąga z tego zadziwiający wniosek, że to jest dowód, że Hitler ani o tym nie wiedział, ani tego nie rozkazywał: “The extermination programme had gained a momentum of its own... In fact, nobody needed any orders or written authority. There could be no clearer proof that the former Führer-State had become a state without a Führer.” (s. 454) I dalej: “The killings on this scale had simply begun, without orders from the highest level. There were never any such orders.” (Irving, s. 457); oraz, jeśli chodzi o Holokaust, “there is hardly any evidence of any initiative coming from Hitler.” (Irving, s. 495). Irving co prawda przytacza notatkę Himmlera z instrukcjami Hitlera z 18 grudnia 1941 r., gdzie Wódz nakazywał, że Żydów należy “jako partyzantów wybić” (als Partisaner auszurotten), ale nie wpływa to na “Prawdziwą Historię” w wydaniu tego rewizjonistycznego historyka (Irving, s. 458). Twierdzi, że trzeba instrukcję zrozumieć “w kontekście stale narastającej bestialskiej wojny partyzanckiej na froncie wschodnim.” Ale w grudniu 1941 r. sowiecka partyzantka była prawie zupełnie w powijakach. Tą instrukcją Hitlera trafniej jest interpretować, że Żydów należy traktować w taki sam sposób, jak niechronionych przez konwencję genewską partyzantów – czyli rozstrzeliwać na miejscu. Irving przyznaje też, że Hitler rozkazał deportacje Żydów duńskich, ale naturalnie nie wyciąga z tego innych wniosków niż zwykle (Irving, s. 616). Wyszłucha innych badaczy i żąda, aby dostarczyli mu dokument stwierdzający, że Hitler wiedział albo rozkazał eksterminować Żydów (“Hitler was aware of, or ordered”). Irving, s. 887.

Rewolucja była przeciw Żydom i innym podludziom. Musiała jednak być wpisana w kontekst wojny totalnej. Priorytetem było zwycięstwo: tak jak i u bolszewików.

Kiedy Leninowi pasowało – podczas wojny z Polską – rzezie „białoruczków” skończyły się magicznie, a „wrogów ludu” zaproszono do współudziału w obronie Rosji przed „polskimi panami”. Po 1921 r. eksterminację starych rosyjskich elit kontynuowano. Po nich przyszła kolej na chłopów i innych „wrogów klasowych.” Trudno dziwić się więc, że Hitler, który miał mniej czasu, a w końcu i przegrał też swoją rewolucję, nie przeprowadził eksterminacji Żydów w sposób stały i całkowity. Mordował ich wtedy, kiedy mógł na danym odcinku frontu, w danym miejscu okupowanej Polski i w odpowiednim czasie, zwykle wtedy (a przynajmniej początkowo) gdy najmniej szkodziło to wymaganiom wojny. Irving uważa, że “dyktatury są fundamentalnie słabe w czasie wojny,” w tym sensie, że nie można kontrolować tak dobrze żołnierzy na froncie. Irving nie badał nigdy dyktatury Stalina. Poziom kontroli naturalnie był niższy na froncie w latach 1941–1945 niż choćby na

wsi sowieckiej w latach trzydziestych, ale NKWD więcej niż dostatecznie trzymało w garści wojska frontowe, a doskonale sobie radziło z zapleczem frontu. Stalin kontrolował odpowiednio wszystko, co było najważniejsze. Szczegóły naturalnie zostawiał swoim zaufanym. Podobnie Hitler. "In wartime, dictatorships are fundamentally weak – the dictator himself, however alert, is unable to oversee all the functions of his executives acting within the confines of his far flung empire; and in this particular case, I concluded the burden of the built for the bloody and mindless massacres of Jews rests on a large number of Germans (and non-Germans)... and not just one mad dictator." Irving, s. xxix.

Pod koniec jednak tego rewolucyjnego szaleństwa w dużym stopniu przestano zwracać sobie głowę pragmatyzmem i potrzebami frontu. Wymordowano większość tzw. „użytecznych Żydów”. W celu dowiezienia ofiar do obozów eksterminacyjnych ściągnięto z frontu transporty kolejowe, zmarnowano paliwo oraz wyzyskano strażników – wszystko to kosztem wojny. Wszystko jednak odbywało się z logiką narodowo-socjalistycznej rewolucji.

Naturalnie analogia leninowskiej rewolucji ma swoje ograniczenia, jeśli chodzi o rozumienie Holocaustu. W okresie 1917–1921 bolszewicy nie kontrolowali całego obszaru przyszłego Związku Sowieckiego. Wprost przeciwnie. Jakkolwiek ich władza stopniowo się rozszerzała, całe obszary byłego imperium rosyjskiego albo pozostawały poza czyjąkolwiek kontrolą, albo uznawały rozmaitych „Białych” (min. od lewicowych socjal-rewolucionistów aż po monarchistów). Były też enklawy pod władzą „Czarnych” – anarchistów (np. Nestor Machno na Ukrainie), czy „Zielonych” – chłopskiej rebelii i samoobrony. Aż do pokonania tych wrogów, Lenin i jego bolszewicy nie mieli tam nic do powiedzenia.

Inaczej było w zdominowanej przez Hitlera Europie (1939–1945). Największy stopień kontroli III Rzesza miała nad krajami okupowanymi bezpośrednio (np. Polska). Najmniejszy nad satelitami (np. Bułgaria). Wszędzie zależało nazistom na utrzymaniu prawa i porządku, aby móc w spokoju eksploatować gospodarkę oraz siłę roboczą podbitych terytoriów. Wszędzie działały agendy państwowe III Rzeszy. Z wyjątkiem obszaru przyfrontowego w Europie wschodniej i środkowej, nawet na wsi panował niemiecki *Ordnung* przynajmniej do 1943 r. W takich warunkach można było przeprowadzić rewolucję odgórną.

W tym kontekście do zrozumienia Holocaustu przydatna jest również analogia odgórnej rewolucji Stalina (1929–1941). Były to głównie czasy pokojowe (oprócz granicznych konfliktów z Japonią w Mandżurii, najazdu na Polskę i kraje bałtyckie oraz Finlandię). Stalin kontrolował totalnie Związek Sowiecki. Sowiecki przywódca przez dyrektywy propagandowe, administracyjne, policyjne oraz militarne zorganizował swoją odgórną rewolucję: kolektywizację, Wielki Głód, industrializację, Wielką Czystkę, masowe deportacje, Gułag. Zginęły miliony. Odgórną rewolucję przeprowadzali na miejscu oddolnie komunistyczni fanatycy. Posługiwali się machiną państwa. W rozmaitych wypadkach – w ramach wytyczonych przez intencje Stalina – dochodziło do spontaniczności, nawet przyspieszenia rewolucyjnych „osiągnięć”. Sowiecki dyktator skarżył się na „zawrót głowy od sukcesów.” Piętnował „wypaczenia” kadr. „Dziwił się”, gdy słyszał o „ekscesach.” Naturalnie było to wszystko tylko proforma. Rewolucja toczyła się do zwycięstwa nad „wrogami ludu”.

Podobnie było z Hitlerem. „Dziwił się”, gdy słyszał o masakrach, gdy masowe mordy odbywały się zgodnie z logiką narodowo-socjalistycznej rewolucji. Jej ogólne założenia powstały odgórnie. Wprowadzano ją odgórnie, a jej wykonanie spadało na rzesze sfanatyzowanych narodowych socjalistów, którzy entuzjazmem swoim pobudzali rewolucję oddolnie. Mieli przy tym do dyspozycji machinę państwa. W tym sensie niemiecki wódz nie musiał „wiedzieć” o wiele więcej szczegółów niż Stalin.

Tak więc wszystkie elementy rewolucji bolszewickiej można zaobserwować w różnym miejscu, czasie i kontekście w trakcie narodowo-socjalistycznej rewolucji przeciw Żydom.

Trzy szkoły

Podsumowując: w sprawie Holocaustu na Zachodzie istnieją trzy szkoły: intencjoniści (*intentionalists*), funkcjoniści (*functionalists*), oraz negacjoniści (*Holocaust revisionists*). Pierwsi twierdzą, że istniał odgórny plan wymordowania Żydów od samego początku, Hitler był jego architektem, a III Rzesza logicznie kroczyła do tego celu od 1933 r. Główny przedstawiciel intencjonalistów to Lucy Dawidowicz. Funkcjoniści pod wodzą Raula Hilberga twierdzą, że planu takiego nie było, a Holocaust był rezultatem działań niższych szczebli państwowej biurokracji nazistów.

Negacjoniści twierdzą, że Holocaustu Żydów nie było. Ich najbardziej wpływowym przedstawicielem, to David Irving, który redukuje Zagładę Żydów do serii pogromów: spontanicznych, zdecentralizowanych, nie połączonych w logiczną całość. Na pogromy nałożyły się przypadkowe epidemie chorób. Masakry Żydów odbywały się w kontekście spisku milczenia przywódców narodowo-socjalistycznej policji, Himmlera i Heydricha szczególnie, którzy również zakulisowo intrygowali przeciw Hitlerowi aby nie dowiedział się o masowych mordach.

W rzeczywistości najłatwiej zrozumieć Holocaust można poprzez połączenie elementów funkcjonalizmu i intencjonalizmu. Po prostu, przed i w czasie II wojny światowej miała miejsce nazistowska odgórna rewolucja. Rewolucję umożliwiła, przygotowała oraz pchnęła do czynu antyżydowska retoryka i duch NSDAP, policji i wojska III Rzeszy. Działając w ramach ogólnych dyrektyw propagandowych, administracyjnych, policyjnych, oraz militarnych nazistowscy rewolucjoniści w pewnych warunkach i okresowo okazywali spontaniczność, a często fanatyzm. Rewolucja odgórna przeprowadzana była oddolnie, na miejscu przez gorliwych wykonawców.

Innymi słowy, rewolucję narodowo-socjalistyczną przeciw Żydom i innym „wrogom niemczyzny” można bardzo dobrze zrozumieć łącząc funkcjonalizm i intencjonalizm w świetle analogii zaczerpniętych z mechanizmów rewolucji bolszewickiej Lenina i Stalina.

Rewizjonizm Irvinga

Irving albo rzeczywiście nie rozumie tych spraw, albo nie chce rozumieć. Podkreśla tylko, że jego metodologia odzwierciedla przyjęty w Wielkiej Brytanii system postępowania sądowego.²⁵ Jednoznacznie przyznaje więc, że podjął się funkcji adwokata podsądnego.

A adwokat w systemie anglosaskim ma obowiązek przedstawić jak najbardziej pozytywny wizerunek swego klienta, umniejszając jakikolwiek jego udział w zbrodni.

Nie jest to jedynym mankamentem metodologicznym Davida Irvinga. Jego tok myślowy i głębia argumentów ograniczone są przecież tym, że przede wszystkim ustosunkowuje się on do istniejących konstruktów intelektualnych dotyczących Hitlera i Holocaustu.

[Irving wymienia następujące przeszkody w badaniach nad dziejami Hitlera: 1. aliancka propaganda; 2. „emocjonalna historiografia powojenna”; 3. tendencja do obwinienia Hitlera za wszystko – co pasowało zarówno jego najbliższemu współpracownikowi, jak również wielu Niemcom, którzy tym sposobem pozbywali się współodpowiedzialności za zbrodnie; 4. brak poważnych badań, szczególnie ze strony historyków eksterminacji Żydów, którzy zgodnie powielali swoje własne opinie. “The biggest problem in dealing with Hitler is the aversion to him deliberately created by years of intense wartime propaganda and emotive post-war historiography.” Irving, s. xii. Ponadto niemieccy wyżsi oficerowie sztabowi „spiskowali, aby zważyć winę za klęskę” na Hitlera (“contrived to divert the blame for final defeat.”) Irving, s. xii. Badacze Zagłady Irving określa jako tych nademocjonalnych historyków żydowskiej tragedii (“these over-emotional historians of the Jewish tragedy”) i oskarża ich, że nie prowadzą badań (Irving, s. xix). “For thirty years our knowledge of Hitler’s part in the atrocity rested on inter historian incest.” (Irving, s. xxv). “Many people, particularly in Germany and Austria, had an interest in propagating the version that the order of one madman originated the entire tragedy.” (Irving, s. xv).]

345

Zamiast nowatorsko interpretować świeżo odkryte dokumenty i źródła, Irving po prostu używa ich do zanegowania obowiązujących w historiografii standardowych wizerunków wodza III Rzeszy oraz modeli koncepcyjnych eksterminacji Żydów. Negacja fałszywego, spaczonoego, czy tylko nieadekwatnego i niedopracowanego rozumienia problemu nie daje nam automatycznie Prawdy. Tak też jest z rewizjonizmem Holocaustu pióra Irvinga.

Praca zawiera jeszcze inne problemy – zarówno interpretacji jak i faktografii. Często wydaje się, że Irving sam padł ofiarą nazistowskiej propagandy. Na przykład – powołując się na „niektórych autorów” (*some authors*), Irving określa zamach skrytobójczy Herszela Grynszpana na niemieckim dyplomacie jako prowokację syjonistyczną, a Noc Krysztalowa to „syjonistyczna pułapka” (*a Zionist trap*). Czyli autor sugeruje, że „syjoniści” sami wywołali pogrom.²⁶ Nie można zaprzeczyć, że pogrom ten wywołał falę sympatii do ludności żydowskiej wśród opinii światowej, ale jakiemu celowi miałyby służyć taki rzekomy spisek?

W innym miejscu Irving upiera się, że po zamachu na Reinhardta Heydricha na uroczystym wiecu zebrało się 30 tys. czeskich robotników, aby potępić zamachowców. Miała być to spontaniczna demonstracja, bowiem Czesi mieli być ponoć wdzięczni, że zabity nazistowski Protektor wprowadził po raz pierwszy w historii Czech i Moraw ubezpieczenie społeczne oraz emerytury dla robotników.²⁷ Instytucja ubezpieczeń społecznych oraz emerytur istniała jeszcze za Franciszka Józefa, a następnie ich zasięg został rozszerzony w niepodległej Czechosłowacji. Prawdą jest natomiast, że w czasie okupacji niemieckiej czescy robotnicy otrzymywali większe przydziały żywności niż niemieccy robotnicy w Rzeszy. Miało to związek z lokalizacją przemysłu czeskiego, strategicznie ważnego dla

Niemiec, a pozostającego bardzo długo poza zasięgiem alianckich bombowców. Okupant żywnością przekupywał doskonale pracującą na rzecz wysiłku wojennego III Rzeszy czeską siłę roboczą.²⁸

Hitler's War ocieka moralnym relatywizmem. Na przykład historyk pisze o francuskiej „inwazji” oraz o „niemieckiej” inwazji Belgii w 1940 r.²⁹ A wydawało się, że wojska alianckie po prostu wkroczyły do Belgii na prośbę Belgów, którzy chcieli obronić się przed napaścią III Rzeszy. Wbrew dokumentom i licznym monografiom Irving twierdzi, że Kościół katolicki popierał NSDAP i Hitlera. Co więcej, historyk ten naciska, że bohaterowie niemieckiego ruchu oporu – tacy jak Martin Niemöller czy Hans Oster – byli entuzjastycznymi zwolennikami Hitlera i narodowego socjalizmu, a przeszli do opozycji albo z przyziemnych powodów zawiści, albo ze strachu, że wojna będzie przegrana. Po prostu zdradzili.³⁰

Irving w podobny sposób pisze o sprawach polskich. Twierdzi choćby, że „wygląda na to, że Hitler rozkazał Hansowi Frankowi przeprowadzić zwykłe profilaktyczne masakry polskiej inteligencji.”³¹ Lecz Irving od razu dodaje, że informacja ta pochodzi od samego Hansa Franka, który – idąc tokiem myślowym naszego rewizjonisty – chciał się podeprzeć autorytetem Hitlera być może bez żadnego upoważnienia. Irving zaniża liczbę polskich ofiar. Twierdzi choćby, że między 1939 a 1943 tylko „365 tys. wywalono do Generalnego Gubernatorstwa” z Kresów Zachodnich.³² W rzeczywistości ofiar było dwa albo i trzy razy więcej. Naturalnie jeśli chodzi o ofiary niemieckie Polaków, to Irving daje wiarę propagandzie niemieckiej. Według niego w 1939 r. „Polacy zmasakrowali około 7 tys. Niemców w Bydgoszczy.”³³

Nawet gdy Irving w pewnym sensie opisuje stan faktyczny, to często wyraża się w sposób prowokacyjny. Na przykład Hersza Smolara określa jako „żydowsko-komunistycznego przywódcę ruchu oporu.”³⁴ Prawda, ale to skrót myślowy, który może zirytować. Gdzie indziej Irving pisze, że „w państwach bałtyckich Stalin naznaczył komisarzy (zwykle żydowskich), którzy nadzorowali deportacje i likwidację całej inteligencji w ciągu kilku tygodni; tych komisarzy zastąpiono potem Rosjanami, którzy pozbyli się swoich poprzedników.”³⁵ W taki sposób pierwszą fazę okupacji sowieckiej opisywała wieść gminna, nazi-stowska propaganda, oraz raporty policji i wojsk III Rzeszy. Najnowsze badania pokazują, że część zwolenników komunizmu spośród ludności miejscowej, a w tym pewna liczba osób pochodzenia żydowskiego, zwykle spośród młodzieży, kolaborowała spontanicznie. W początkowym okresie okupacji sowieckiej terror był często oddolny i odgórny, a miejscowi kolaboranci byli za niego odpowiedzialni. Wnet zastąpiono ich Sowietami, zwykle rosyjskiego pochodzenia. To oni nadzorowali deportacje i egzekucje. Takie mankamenty wyskakują dość często.

Nie oznacza to, że praca Davida Irvinga jest bezwartościowa. Jak podkreśla Raul Hilberg, jeden z czołowych badaczy eksterminacji Żydów, warto czytać rewizjonistów, a nawet negacjonistów Holocaustu, bowiem trzeba znać ich argumenty. Pomaga to wzmocnić własne argumenty, usprawnić metodologię i zapoznać się z nieznanymi źródłami, a często nawet z zapomnianymi faktami.³⁶

David Irving denerwuje wielu nie tylko swoim stosunkiem do zagłady Żydów, ale złośliwym przypominaniem niewygodnych faktów. Oto garść przykładów. Kto wiedział, że w latach dwudziestych Adolf Hitler pisał pod pseudonimem dla gazety *The New York Times* i otrzymywał za to honorarium?³⁷ W dobie, gdy polityczna poprawność dyktuje pisać tylko o „nazistach”, a nie Niemcach, Irving podaje, że w referendum lat 30. na Hitlera głosowało około 90% elektoratu.³⁸ Historyk upiera się, że „ta monolityczna solidarność Führera i ludu dotrwała do samego końca, mimo tego, co sobie wyobrażają następne pokolenia.”³⁹ Świętej krowie lewicy, czyli opinii o tym, jakoby powstańcy antykomunistyczni w Hiszpanii byli „nazistami,” a Franco hiszpańskim Hitlerem, Irving dedykuje następujący cytat z wodza III Rzeszy: „Poparliśmy złego konia w Hiszpanii. Byłoby lepiej gdybyśmy poparli Republikanów. Oni reprezentują lud. Zawsze moglibyśmy później przekształcić tych socjalistów w dobrych Narodowych Socjalistów. Ludzie wokół Franco to są wszyscy reakcyjni klerykowie, arystokraci, bankierzy – oni nic zupełnie nie mają wspólnego z nami Nazistami.”⁴⁰

Prowokator

Irving różni się od wielu sowietologów tym, że rzeczywiście przeprowadza solidne badania nad źródłami. Wyszukuje wszystko co nazistowskie lub pokrewne nazizmowi z niezwykle talentem i zapałem. Naturalnie brak mu kontekstu oraz wiedzy o tematach, które go nie interesują (np. sprawa eksterminacji polskiej elity). Lubi prowokować. Martwi nas głównie to, że ze względu na rozgłos, lekkość pióra, oraz szokujące i obrazoburcze teorie Irving stanie się tak popularny wśród polskiej inteligencji jak Norman Davies. Dziś przecież inteligencja nasza woli czytać cudzoziemców, bo swoim własnym pisarzom i naukowcom po prostu nie wierzy. Nie wierzy swoim, bo z jednej strony nie chce przyjąć postkomunistyczno-liberalnej historii Polski, a z drugiej strony obawia się rodzimych, nacjonalistycznych piewców przeszłości. Stąd przecież fenomen Normana Daviesa, Stanley Clouda czy nawet początkowo Jana Tomasza Grossa. Jest groźba więc, że Irving stanie się dla polskiej inteligencji guru od Hitlera i nazistów. Byłoby to groźne.

Profesjonalnych historyków Irving właściwie nie zaskoczy niczym szczególnie nowym. Wyjątkiem mogą być jakieś mało znane fakty, czy źródła, bądź ich interpretacje. Dla amatorów czytających Irvinga dla przyjemności autor ten nierzadko jest jedynym odniesieniem na temat dziejów III Rzeszy.

Ostrzegamy: rewizjonizm Irvinga nie jest na pokaz. Tu nie chodzi tylko o sprzedaż książek. Historyk ten doszedł do swych fałszywych wniosków w wyniku dużego wysiłku intelektualnego. Jest przeciwny utracie statusu największego mocarstwa przez Wielką Brytanię. Uważa, że wielkim błędem było wojować z Niemcami. Chciałby widzieć je jako brytyjskiego sojusznika raczej niż kultywować transatlantycki alians ze Stanami Zjednoczonymi.

Co więcej, Irvingowi podoba się system narodowo-socjalistyczny. Uważa go za lepszy od demokratyczno-liberalnego. Lubi i podziwia Hitlera. Z aprobatą cytuje jego wypowiednie, że „cudzoziemiec,” najpewniej „Anglik” sympatyzujący z Niemcami i znający je, zrozumie Wodza III Rzeszy lepiej niż historycy niemieccy. Hitler spodziewał się, że taki

cudzoziemiec zdobędzie się na “obiektywne i sprawiedliwe potraktowanie” *Der Führera*.⁴¹ W takim hitlerowskim sensie misja Irvinga została spełniona pracą *Hitler's War*. Z punktu widzenia standardu akademickiego, praca ta jest jednak naukowym ekwiwalentem komediowego musicalu z Hollywood i Broadway, „Springtime for Hitler.”

Wybitny sowietolog brytyjski i nasz nauczyciel Robert Conquest porównał Stalinofila Luciano Canforę do Hitlerofera Davida Irvinga.⁴² Obaj są siebie warci. Postawę obu odzwierciedla ulubione powiedzenie Adolfa Hitlera: „Zupełnie mnie nie obchodzi, co przyszłe pokolenia mogą sobie pomyśleć.”⁴³ Niestety z dwóch apologetów Zła tylko Irving jest wyklęty przez obecne pokolenie.

Przypisy:

¹ Recenzja ta oparta jest o dwa wydania: pierwsze i ostatnie. Cytaty pochodzą z ostatniego wydania i są przytoczone w oryginale albo tłumaczone przeze mnie. Zob. David Irving, *Hitler's War* (New York: The Viking Press, 1977); oraz David Irving, *Hitler's War and the War Path* (London: Focal Point Publication, 2002). Wydanie ostatnie rozszerzono nie tylko o materiały z archiwów sowieckich i innych, ale również o dyskusję lat 1933–1934, uprzednio opublikowaną jako osobną pracę. Ostatnie wydanie jest dostępne na internecie pod www.fpp.co.uk/books.

² “As the author I have had my home smashed into by thugs, my family terrorized, my name smeared, my printers firebombed, and myself arrested and deported by.... Austria. I was deported from Canada (1992), and refused entry to Australia, New Zeland, Italy, South Africa, and other civilized countries around the world (in 1993).” Irving, s. viii.

³ “What is the result of these twenty years' toiling in the archives? Hitler will remain an enigma, however hard we burrow.” Irving, s. xxxi.

⁴ “Wholly in keeping with his character, when Hitler was confronted with the facts he took no action to rebuke the guilty.... It is plausible to impute to him that not uncommon characteristic of heads of state who are over-reliant on powerful advisors: a conscious desire ‘not to know’. The proof of this is however beyond the powers of an historian.” Irving, s. xxvii.

⁵ Tak na przykład tłumaczy Irving plan Hitlera wysłania Żydów na Madagaskar: “He did not want the Jews to remain in their present settlement region around Lublin, as historical experience showed that they would raise the danger of epidemics.” Irving, s. 405. W końcu jednak “the Führer has decided that the Jews are not to be deported to Madagascar but the the East.” Irving, s. 406.

⁶ Edward Hallett Carr, *What is History?* (New York: Alfred A. Knopf Publisher, 1964).

⁷ Moshe Lewin, *Lenin's Last Struggle* (New York: Monthly Review Press, 1968).

⁸ “It was Heydrich and the fanatical Gauleiters in the East who were interpreting with murderous thoroughness Hitler's brutal decree that the Jews must ‘finally disappear’ from Europe. Himmler's personal role is ambivalent.” Irving, s. 454. Ale gdzie indziej Irving pisze, “Himmler continued to deceive his Führer” on the Holocaust. Irving, s. 500.

⁹ Theodore H. von Laue, *Why Lenin? Why Stalin? A Reappraisal of the Russian Revolution, 1900–1930* (New York: J.B. Lippincott Company, 1971).

¹⁰ Isaac Deutscher opublikował swoją trzytomową biografię Trockiego między 1954 a 1963: *The Prophet Armed: Trotsky, 1879–1921*, *The Prophet Unarmed: Trotsky, 1921–1929*, *The Prophet Outcast:*

Trotsky, 1929–1940 (Oxford and New York: Oxford University Press, 1980). Zob. też Isaac Deutscher, *Stalin: A Political Biography* (New York: Oxford University Press, 1967).

¹¹ Stephen F. Cohen, *Bukharin and the Bolshevik Revolution: A Political Biography, 1888–1938* (Oxford and New York: Oxford University Press, 1980). Pierwsze wydanie w 1971 r.

¹² Sheila Fitzpatrick, *The Russian Revolution, 1917–1932* (Oxford and New York: Oxford University Press, 1982).

¹³ J. Arch Getty, *Origins of The Great Purges: The Soviet Communist Party Reconsidered, 1933–1938* (Cambridge and New York: Cambridge University Press, 1985).

¹⁴ M. Lewin, *Russian Peasants and Soviet Power: A Study of Collectivization* (New York and London: W.W. Norton & Company, 1975). Po raz pierwszy opublikowano w 1966.

¹⁵ Jerry F. Hough and Merle Fainsod, *How the Soviet Union is Governed* (Cambridge, Mass., and London: Harvard University Press, 1979), s. 177. Jest to radykalna rewizja klasycznego tekstu – oparteo o model totalitarny – dokonana przez Hough i wydana po śmierci właściwego autora, Merle Fainsod. Porównaj z oryginałem: Merle Fainsod, *How Russia is Ruled* (Cambridge, Mass., and London: Harvard University Press, 1953).

¹⁶ “Nothing created such agony when this biography was first published as my analysis of Hitler’s role in the Jewish tragedy. Pure vitriol spilled from the pens of my critics, but I see no reason to revise my central hypothesis.... That Hitler grasped quite early on that anti-Semitism would be a powerful vote catching force in Germany; that he had no compunction against riding that evil steed right up to the portals of the Chancellery in 1933; but that once inside and in power, he dismounted and paid only lip service to this part of his Party creed.” Irving, s. xxiv.

¹⁷ Ale jednocześnie Irving sam przyznaje, że “the Führer has decided that the Jews are not to be deported to Madagascar but the the East.” Irving, s. 406. Deportacja “na Wschód” była eufemizmem, maskującym śmierć.

¹⁸ Jan Tomasz Gross, *Upiorna dekada: Trzy eseje o stereotypach na temat Żydów, Polaków, Niemców i komunistów, 1939–1948* (Kraków: Universitas, 2001); Jan Tomasz Gross, *Sąsiedzi: Historia zagłady żydowskiego miasteczka* (Sejny: Fundacja Pogranicze, 2000).

¹⁹ “In some regions, particularly the Baltic countries, the ‘Jewish problem’ had solved itself. The natives had already taken primitive revenge for ‘Jewish excesses’ after the Soviet invasion.” (Irving, s. 422)

²⁰ Irving, s. 491.

²¹ Lucy Dawidowicz, *The War Against the Jews, 1933–1945* (Toronto, New York, and London: Bantam Books, 1986).

²² Zob. Alexander B. Rossino, *Hitler Strikes Poland: Blitzkrieg, Ideology, and Atrocity* (Lawrence, Kansas: University Press of Kansas, 2003). Dobrą pracę osłabia fakt, że autor nie zna polskiego.

²³ Zob. Marek J. Chodakiewicz i Wojciech J. Muszyński, „W cieniu ‘Barbarosy’: Wybór niemieckich dokumentów policyjnych, maj 1941 – kwiecień 1942,” *Glaukopis: Pismo Społeczno-historyczne*, no. 1 (2003): 239–265, uzupełnione i dostępne pod <http://www.glaukopis.gross.pl>.

²⁴ Na ten i inne tematy związane z eksterminacją Żydów zob. Marek Jan Chodakiewicz, *Żydzi i Polacy, 1918–1955: Współistnienie, Zagłada, Komunizm* (Warszawa: Fronda, 2000), 157–159.

²⁵ Z jednej strony Irving twierdzi: “I offer no apology for having revised the existing picture of the man. I have tried to accord him the kind of hearing that he would have got in an English court of law – where the normal rules of evidence apply but also where a measure of insight is appropriate.” Irving, s. viii. Z drugiej strony Irving zaprzecza sobie: “I was always confident that if one adheres to original documents, one will not stray far from the Real History.” Irving, s. xxxii. Nie można być jednocześnie obrońcą podsądnego i zwolennikiem poznania “Prawdziwej Historii.”

²⁶ Irving, s. 142.

²⁷ Irving, s. 163. Gdzie indziej Irving podaje, że zgromadziło się 50,000 robotników: "Fifty thousand [Czech] workers demonstrated in Prague in a remarkable manifestation against the British-inspired act." (Irving, s. 502).

²⁸ Joseph Rothschild, *East Central Europe between the Two World Wars* (Seattle and London: University of Washington Press, 1974); Vojtech Mastny, *The Czechs under Nazi Rule: The Failure of National Resistance, 1939–1942* (New York: Columbia University Press, 1971).

²⁹ Irving, s. 271.

³⁰ Pastor Niemöller rzekomo chciał przejąć kontrolę nad częścią Kościoła Protestantckiego, ale Hitler go nie poparł (Irving, s. 185). Oficer wywiadu Hans Oster został usunięty z armii z powodu "skandalu moralnego" (Irving, s. 257), a ponadto Irving cytuje z aprobatą współczesną opinię, że Oster był "godnym pożałowania przypadkiem" ("pitiful specimen"). Irving, s. 291.

³¹ "Hitler does appear to have issued orders to Hans Frank for regular prophylactic massacres of the Polish intelligentsia." Irving, s. 268.

³² "365,000 Poles were dumped into the Generalgouvernement." Irving, s. 577

³³ "About seven thousand Germans were massacred by the Poles in Bromberg." Irving, s. 864.

³⁴ "Hersh Smolar, the Jewish-Communist resistance leader." Irving, s. 452.

³⁵ "In the Baltic countries Stalin had appointed commissars (usually Jewish) who had supervised the deportation and liquidation of the entire intelligentsia within a matter of weeks; these commissars had then been replaced by Russians who had disposed of their predecessors." Irving, s. 364.

³⁶ Raul Hilberg, *Sources of Holocaust Research: An Analysis* (Chicago, IL: I.R. Dee, 2001).

³⁷ Irving, s. 67.

³⁸ Irving, s. 84.

³⁹ "This monolithic solidarity of Führer and Volk persisted right to the end, despite what subsequent generations have assumed." Irving, s. 176.

⁴⁰ "We have backed the wrong horse in Spain. We could have done better to back the Republicans. They represent the people. We could always have turned these socialists into good National Socialists later. The people around Franco are all reactionary clerics, aristocrats, and moneybags – they have nothing in common with us Nazis at all." Irving, s. 44.

⁴¹ "objective and impartial treatment" Irving, s. 518.

⁴² Robert Conquest, "Stalinophilia," *The Wall Street Journal*, 5 December 2005.

⁴³ "It is a matter of supreme indifference to me what posterity may think." Irving, s. 550.

GL-UKOPIS VIKR 7-2006



PRO FIDE REGE et LEGE

Bogdan Musiał

Holokaust w oczach Polaków

_____ Klaus-Peter Friedrich, *Der nationalsozialistische Judenmord in polnischen Augen: Einstellungen in der polnischen Presse 1942–1946/47*. Überarbeitete Internetfassung der im Jahre 2002 an der Universität Köln eingereichten Dissertation [*Narodowosocjalistyczna zbrodnia na Żydach w polskich oczach. Nastawienie polskiej prasy 1942–1946/47*].

_____ Zmieniona wersja internetowa pracy doktorskiej przedstawionej na Uniwersytecie Kolońskim w 2002 r.] (<http://kups.uni-koeln.de/Volltexte/2003/952/>)_____

351

Polska zajmuje specjalne miejsce w międzynarodowej dyskusji o niemieckich sprawcach i tzw. *bystanders* (biernych widzach) Holocaustu. Jest ono m.in. uwarunkowane przez następujące czynniki: przed 1939 r. w Polsce żyła większość Żydów europejskich, ponad trzy miliony, co stanowiło więcej niż 10% całej ludności Polski; niemieccy okupanci założyli na polskim terytorium swoje wszystkie obozy zagłady, w których wymordowali polskich i europejskich Żydów; więcej niż połowa wszystkich ofiar Holocaustu zginęła na polskim terytorium; polscy Żydzi stanowili około połowy wszystkich ofiar Holocaustu. Jednym słowem niemieccy okupanci popełnili Holocaust przeważnie na okupowanym przez siebie polskim terytorium. I już tylko ta okoliczność kieruje wytężoną uwagę na zachowanie Polaków w obliczu tych tragicznych wydarzeń.

Klaus-Peter Friedrich w swoim doktoracie złożonym na Uniwersytecie Kolońskim w 2002 r. postanowił zbadać, jak polska prasa w latach 1942–1947 informowała o niemieckim (narodowosocjalistycznym, jak określa to Friedrich) mordzie na Żydach. Chodzi o polską prasę podziemną w latach 1942–1947 oraz komunistyczną i legalną prasę w latach 1944–1947. Podczas niemieckiej okupacji w Polsce ukazywało się w podziemiu ponad tysiąc periodyków. Była to niepowtarzalna sytuacja na terenie okupowanej przez Niemców Europy. Lecz również po sowieckim „wyzwoleniu” nadal ukazywały się liczne gazety konspiracyjne, które próbowały przeciwstawić się sowietyzacji narzuconej siłą przez sowieckich „wyzwolicieli”.

Te periodyki zawierają m.in. opisy przebiegu wyniszczenia Żydów w okupowanej przez Niemców Polsce, niemal równoczesne z wydarzeniami, a z dzisiejszej perspektywy zaskakująco wiernie oddające szczegóły. Dlatego są one bardzo ważnym źródłem, którego w dotychczasowych badaniach nad Holocaustem się nie zauważa, względnie nie docenia, co jest zaniedbaniem, którego nie ustrzegł się również autor tej pracy.

Wielka liczba tych gazet może zapewne wywołać mylne wrażenie co do rzeczywistego „opiniotwórczego” wpływu na polskie społeczeństwo w okupowanej Polsce. Większość z nich miała krótki żywot lub ukazywała się bardzo nieregularnie, a przede wszystkim

w ograniczonych nakładach. Przeważająca większość Polaków, co autor omawianej tutaj pracy niestety pozostawia bez komentarza, nie miała żadnego kontaktu z tymi gazetami, a jeśli miała, to sporadycznie.

Wprawdzie Friedrich wspomina, że w tym przypadku chodzi o prasę konspiracyjną, nie odnosi się jednak do wysiłku oraz niebezpieczeństw i ryzyka, na które byli narażeni nie tylko wydawcy i kolporterzy, lecz również jej czytelnicy. U niewtajemniczonego czytelnika mogłoby powstać wrażenie, że w okupowanej przez Niemców Polsce można było wydawać tak wiele gazet konspiracyjnych, gdyż niemiecka polityka okupacyjna wobec Polaków była stosunkowo łagodna. A było dokładnie przeciwnie. Polska odniosła proporcjonalnie najwyższe straty wśród nieżydowskiej ludności w porównaniu do pozostałych państw dotkniętych skutkami II wojny światowej. Obok około trzech milionów polskich Żydów będących ofiarami Holocaustu, zginęło również do półtora miliona etnicznych Polaków, przeważnie ludności cywilnej i to na skutek niemieckiego, ale także sowieckiego terrorku. W dyskusji o niemieckich zbrodniach w okupowanej przez Niemcy Polsce często się o tym zapomina, co w Polsce wywołuje coraz większe niezadowolenie.

Niezorientowanemu czytelnikowi omawianej tutaj pracy narzuca się dalej wniosek, że w okupowanej przez Niemcy Polsce odbywały się niemal publiczne debaty na temat treści niemieckiej polityki okupacyjnej. Tak mogło być we Francji, czy też w Danii (tam w 1943 r. przeprowadzono nawet wolne wybory parlamentarne – sic), gdzie niemiecka okupacja była stosunkowo łagodna, jednak z pewnością nie w okupowanej przez Niemcy Polsce.

Jest to tylko niewielki wybór przykładów, które ukazują jak niewłaściwe, względnie niedostateczne przyporządkowanie do historycznego kontekstu może doprowadzić u nieprzygotowanego czytelnika do fałszywych wniosków. Lecz autorowi omawianej pracy źle wyszło nie tylko omówienie kontekstu historycznego, również pod względem metodologicznym zadanie jawnie go przerosło.

Friedrich zdecydował się na zbadanie w odrębnych rozdziałach pojedynczych periodyków, które przyporządkował ugrupowaniom politycznym, takim jak: „Armia Krajowa”, „Lewica”, „Prawica”, „Prasa katolicka”, czy też „Komuniści”. We wprowadzeniu do każdego rozdziału krótko omawia on odpowiednią formację polityczną i czasopisma, które zostały do niej przyporządkowane. W dalszej części są wymienione niezliczone, krótko sformułowane przyczynki i cytaty z omawianych periodyków, odnoszące się do określonych zagadnień problemowych, jak: „informacje o nazistowsko-niemieckich akcjach mordowania polskich Żydów”, „współodpowiedzialność za mord Żydów”, albo „narodowosocjalistyczne zbrodnie na Żydach a ludność polska”.

Tak uszeregowany materiał zajmuje większą część każdego rozdziału, w zależności od długości poszczególnych rozdziałów od 20 do ponad 100 stron (sic), jak na przykład w podrozdziale IV/1. Tylko w odniesieniu do tych zestawień istniała możliwość skrócenia o dobre 2/3, liczącej ponad 700 stron pracy, i to bez najmniejszego ograniczenia siły jej wymowy – wręcz przeciwnie. Takie dłużyzny charakteryzują całą pracę.

Po zestawieniach cytatów i omówieniach artykułów następują krótkie podsumowania pełne częściowo wątpliwych wniosków. Na 167 stronie pisze Friedrich na przykład:

prasa „Armii Krajowej” donosiła wyczerpująco o udziale Litwinów w mordowaniu Żydów, z zamiarem instrumentalnego wykorzystania tego w polsko-litewskim konflikcie, aby zdyskredytować swoich przeciwników politycznych.

Jednak w porównaniu z dzisiejszymi twierdzeniami ówczesne sprawozdania gazet Armii Krajowej o litewskiej kolaboracji wydają się dość umiarkowane. Na przykład niemiecki historyk Christoph Dieckmann pisze o litewskiej kolaboracji: „obydwie razem – niemiecka i litewska – polityka prowadziły do Shoah na Litwie”¹. Jest jednak faktem, że w owym czasie nie mogło być żadnej samodzielnej „litewskiej polityki żydowskiej”, gdyż nie istniało wtedy żadne litewskie państwo, nawet litewskie państwo marionetkowe, które mogłoby uprawiać taką politykę. Jest jednak bezsporne, że niemieccy okupanci uwolnili i celowo wzmagali antysemicki, kryminalny i brutalny potencjał na Litwie, aby go ukierunkować przeciwko Żydom, w celu ich wyniszczenia. I dokonali tego: tysiące Litwinów wzięło udział w Holokauście, po części bardzo ochoczo. Znajduje to stosunkowo jasny wyraz w przytoczonych przez Friedricha artykułach „Armii Krajowej”.

353

Znamienny jest w związku z tym tytuł dysertacji Friedricha, z którego wynika, że mord na Żydach popełnili narodowi socjaliści („narodowosocjalistyczny mord na Żydach”). Natomiast Polacy („polska prasa”) przyglądali się temu „narodowosocjalistycznemu mordowi na Żydach” biernie, a nawet ciesząc się z niego. Przepuszczalnie ten dobór słów jest przypadkowy, jednak zniekształca on wspomnienie o tych tragicznych wydarzeniach. Zresztą podobnie jak określanie niemieckich obozów zagłady na polskim terytorium jako „polskie fabryki śmierci”, względnie „polskie obozy zagłady”. Łatwo zrozumieć, że w Polsce rośnie niezadowolony z tego językowego lenistwa i bez troski².

Autor omawianej pracy swoim sposobem wypowiedzi włącza się do tej tendencji, idzie nawet dalej³. Na stronie 690 twierdzi on na przykład, że po wojnie wielka część Polaków pozostała antysemicka i tego polskiego antysemityzmu zasadniczo nie da się odróżnić od „skierowanego przeciw Żydom »zoologicznego« rasizmu Hitlera”. Zbędne jest debatować o takich twierdzeniach, podobnie jak innym twierdzeniu Friedricha, że rzekome „zepchnięcie odpowiedzialności za zewnętrzną sowietyzację Polski na »Żydów«” po przełomie lat 1944 i 1945 było jednym z czynników, który zapobiegł rozszerzeniu się „wojny domowej”.

Rzeczywiście w Polsce po przełomie lat 1944/1945 nie było wojny domowej lecz siłowa pacyfikacja polskiego społeczeństwa, które w swojej większości, i to jest pewne, odrzuciło system sowiecki. Decydujące walki toczyły wówczas sowieckie wojska NKWD. Wycofały się one dopiero wtedy, kiedy przeważnie złamano zbrojny opór, a utworzone i kierowane przez sowieckich „wyzwolicieli” instytucje, takie jak aparat bezpieczeństwa albo Polska Partia Robotnicza okrzepły. Na przykład PPR utworzono na wyraźny rozkaz Stalina w lecie 1941 roku i kierowały nim sowieckie tajne służby NKWD i Komintern. Legendę o „wojnie domowej”, wywołanej przez „prawicę” i wygranej przez „lewicę” (czytaj: komunistów) kazali stworzyć komunistyczni władcy w celu dokonania legitymizacji własnej władzy.

Takie stwierdzenia, których nie da się utrzymać w obliczu faktów historycznych, odzwierciedlają fragmentaryczną wiedzę autora o wydarzeniach w ówczesnej Polsce. Nie-

stety dominują one w tej pracy obok tasiemcowych wyliczeń omawianych artykułów prasowych i cytatów.

Tłumaczenie: Paweł Kosiński (IPN Warszawa)

Przypisy:

¹ Christoph Dieckmann, „Deutsche und litauische Interessen. Grundlinien der Bestatzungspolitik in Litauen 1941 bis 1944“ [w:] Vincas Bartusevičius, Joachim Tauber, Wolfram Wette (Hrsg.), *Holocaust in Litauen. Krieg, Judenmorde und Kollaboration im Jahre 1941* (Köln: Böhlau Verlag, 2003): s. 64.

² W niemieckiej prasie (Spiegel, Stern, Bild, a nawet w DPA) znajduje się określenia „polskie obozy”, „polskie obozy śmierci”, pod którym to pojęciem rozumie się niemieckie obozy i obozy zagłady w okupowanej przez Niemców Polsce. Por. „Kłamstwo”, *Rzeczpospolita* 22 X 2004 r.; Trzeba ścigać autorów tekstów o „polskich obozach śmierci”, *Rzeczpospolita*, 25 I 2005 r. Lecz również nie niemieckie media nie są na to uodpornione. Tamże.

³ Już we wczesnych publikacjach Friedricha można stwierdzić tę tendencję. Na przykład już w 1998 roku napisał on, że Odilo Globocnik, którego określa jako odpowiedzialnego za zamordowanie około dwóch milionów polskich Żydów i Dieter Wisliceny, najbliższy współpracownik Adolfa Eichmanna, mieli być „narodowymi-socjalistami słowiańskiego pochodzenia”, przez co „sławizuje” on do pewnego stopnia dwóch największych masowych niemieckich zbrodniarzy pochodzących z Austrii. Klaus-Peter Friedrich, „Juden in Polen während der Schoa. Zu polnischen und deutschen Neuerscheinungen“, *Zeitschrift für Ostmitteleuropa-Forschung*, 47 (1998) z. 2, ss. 231–274, (s. 235).

www.iwp.edu

Marek Jan Chodakiewicz

Bez wspólnoty¹

Ewa Kurek, *Poza granicą solidarności: Stosunki polsko-żydowskie, 1939–1945*
(Kielce: Wyższa Szkoła Umiejętności, 2006) _____

W swoim eseju reinterpretacyjnym Ewa Kurek twierdzi, że różnice cywilizacyjne między chrześcijaństwem a judaizmem powodowały konflikty w stosunkach między Żydami a Polakami. Żydzi „byli współobywatelami i cudzoziemcami zarazem, swoimi i obcymi na polskiej ziemi” (s. 65). Przede wszystkim, wynikające z judaizmu przekonanie o wyjątkowości narodu wybranego prowadziło do hermetycznego i samoistnego samookreślenia się Żydostwa wobec otaczających ludów (s. 169–173). W rezultacie przywództwo polityczne społeczności żydowskiej w Polsce tradycyjnie uważało, że interesy tej mniej-

szości należy rozważać odrębnie od spraw chrześcijańskiej większości. Dlatego reakcje żydowskie na problemy polskie odzwierciedlały „postawę cudzoziemską” a nie „postawę obywatelską” (s. 55–56, 135). Po prostu – a dotyczy to okresu co najmniej dwóch ostatnich stuleci – Żydzi szukali porozumienia z każdą władzą, w tym zaborczą czy okupacyjną, która dominowała w Polsce w danym momencie historycznym. Ogólnie mieliśmy do czynienia z „brakiem solidarności” ze strony Żydów w okresie zaborów, a w ekstremalnym przypadku ze zdradą (s. 61). Powodowało to konflikt z Polakami, którzy zwalczali władze obce, cudzoziemskie.

Ponadto – argumentuje Kurek – istniały różnice cywilizacyjne w sposobie odnoszenia się jednostek do siebie w zależności od pochodzenia etno-religijnego. Na poziomie ideału uformowanego na wzorach chrześcijańskich, Polak stosował przykazania miłosierdzia Chrystusowego do każdego człowieka. W teorii wyznawca judaizmu rozróżniał między współwyznawcami a pozostałymi ludźmi. Z tego Kurek wysnuwa, że przywódcy polscy, których inspirowało chrześcijaństwo, powinni według wyznawanych przez siebie reguł traktować w oparciu o Jezusowe miłosierdzie zarówno swoich, jak i obcych. Przynajmniej w teorii byli zobligowani do stosowania jednego standardu podejścia do wszystkich ludzi. Przywódcy żydowscy nie.

355

Co więcej, ci ostatni również wyznawali zasadę, że – w okolicznościach ekstremalnych – można poświęcić część swojej społeczności dla dobra jej reszty. „Istniała..., wypływająca z Kuddush ha-Shem, tradycja składania w ofierze życia części Żydów w celu ratowania reszty społeczności żydowskiej” (s. 169). Przywódcy polscy odrzucali taką pragmatykę. Tu Kurek – oprócz przykazań chrześcijańskich – przywołuje zawołanie muszkieterów: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, czyli solidaryzm narodowy Polaków.

II wojna światowa

Jak takie podejście do rzeczywistości tłumaczy się na tragiczny czas II wojny światowej, a przede wszystkim na eksterminację ludności żydowskiej? Kurek argumentuje, że „postawa cudzoziemska” spowodowała, że tuż po klęsce Polski w 1939 r. przywództwo żydowskie pragmatycznie usiłowało się dogadać z okupantem niemieckim. Udało się i w rezultacie założono „żydowskie autonomiczne prowincje” (s. 112–113, 138) – eufemizm Ewy Kurek na getta. Miała to być nawet „forma żydowskiej państwowości” (s. 138). Po prostu, podkreśla autorka, w nowych warunkach okupacji niemieckiej starano się wprowadzić w życie plan żydowski z okresu I wojny światowej, który w 1920 r. nabrał swojej ostatecznej formy w wypowiedzi sejmowej jednego z czołowych posłów syjonistycznych. Zażądał on autonomicznego organizmu państwowego żydowskiego na terytorium Polski (s. 111). „Dla polskich Żydów... w roku 1939 najważniejszą kwestią nie była Polska jako państwo, lecz stworzenie polskim Żydom jak najlepszych warunków przetrwania wojny, zaś w sferze politycznej stworzenie faktów dokonanych, z którymi Polacy po zakończeniu wojny będą musieli się liczyć. W pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej przywódcy Żydów polskich uznali, że oba powyższe cele spełni zrealizowanie pod auspicjami niemieckiej władzy powstałej w roku 1920 idei żydowskich autonomicznych prowincji” (s. 176).

Autonomiczne prowincje

Koncepcja autonomizmu (wraz z realistyczną oceną układu sił po Wrześniu 1939 i tradycyjnym podejściem do władzy) spowodowała, że kierownictwo żydowskie nie współpracowało z polskim podziemiem. Uważano, że więcej uda się ugrać u Niemców. Kurek twierdzi, że w ten sposób „wynegocjowano” u okupanta owe „żydowskie autonomiczne prowincje” (s. 119). Były one zgodne z interesem żydowskim. Wszyscy Żydzi nareszcie żyli razem w zbudowanym przez siebie systemie, osobno od reszty ludzi.

W gettach było różnie. Zarządzali nimi sami Żydzi. Na czele stały rady żydowskie (*Judenräte*). Organem wykonawczym była tzw. policja gettowa, zwana Żydowską Służbą Porządkową (*Jüdische Ordnungsdienst*). Kipiało życie kulturalne i religijne, kręciła się gospodarka. Kurek podkreśla szczególnie przepych i wykwintne zabawy w eleganckim towarzystwie. Historyczka przeciwstawia tej rzeczywistości los „narodu polskiego” w latach 1939–1942. To przede wszystkim Polaków w pierwszym okresie okupacji dotknęła akcja eksterminacyjna, łapanki, deportacje, wywózki na niewolnicze roboty. Kurek przypomina mało znany fakt, że – aby uniknąć niemieckich prześladowań – polscy chrześcijanie niekiedy zakładali opaski z gwiazdą Dawida (s. 180).

A tymczasem – według Kureka – Żydzi przynajmniej cieszyli się autonomią. W porównaniu ze „stroną aryjską” do 1942 r. getta miały być raczej spokojne. Naturalnie ceną za „żydowskie autonomiczne prowincje” była kolaboracja. Kolaborując z Niemcami Żydzi „w sensie polityczno-militarnym i mentalnościowym byli bezbronni i osamotnieni. Skazani na siebie samych i łaskę Niemców” (s. 137). A żądania niemieckich nazistów eskalowały stale. Rękami kierownictwa żydowskiego spisano ludność żydowską, złupiono ją ze złota, kosztowności i gotówki, ściągano podatki i kontrybucje, oraz zapędzono do niewolniczych robot. Żydzi Żydom czynili zło (s. 134).

W końcu, jak podkreśla autorka, kierownictwo żydowskie uczestniczyło w procesie eksterminacji ludności żydowskiej. Jakkolwiek Żydzi bezpośrednio nie eksterminowali Żydów, jednak to właśnie żydowscy urzędnicy „autonomii”, osoby na kierowniczych stanowiskach, łapali ludzi po domach i ulicach „żydowskich prowincjach autonomicznych” i zapędzali do bydłęcych wagonów. Udział Niemców w tych makabrycznych przedsięwzięciach ograniczał się do wydawania rozkazów i obserwacji. Tym sposobem Niemcy byli katami, ale i niektórzy Żydzi pełnili funkcję katów własnych współbraci, zanim sami stawali się ofiarami (s. 139, 160–165).

Jak wytłumaczyć kolaborację żydowskiego przywództwa, która doprowadziła do współludziału w ludobójstwie, do samounicestwienia? Działo się to logicznie – twierdzi Kurek – zgodnie z zasadą o słuszności poświęcenia części społeczności żydowskiej dla dobra ogółu. Niestety nikt nie przewidział całościowej logiki eksterminacyjnej furii po-gańskiego socjalizmu narodowego. Wymordowano prawie wszystkich, łącznie z tymi, co nazistowskim mordercom pomagali.

Szukujące tezy

Tezy Ewy Kurek mogą być szokujące dla wielu. Jasne jest, że jej praca to politycznie nie-poprawna reinterpretacja najnowszych dziejów Żydów polskich, szczególnie w okresie

II wojny światowej. Autorka koncentruje się przy tym głównie na Polsce centralnej, tzw. Generalnym Gubernatorstwie (GG), a szczególnie na dużych miastach, Warszawie i Łodzi. Największą wartością tej pracy jest to, że zmusza nas do ponownego przemyślenia wielu założeń – wydawało się pewników – na temat społeczności żydowskiej w Polsce. Dotyczy to głównie mechanizmów eksterminacji tej ludności przez niemieckich narodowych socjalistów.

Na ile uprawnione są tezy Kurek? Zbadamy to analizując jej mistrzów, metodologię, źródła, faktografię i logikę. Autorka podkreśla, że jej zamiarem jest „odkryć *rzeczywistą prawdę* [kursywa EK]” (s. 9). Znaczy to, że Kurek opiera się na szkole logocentryzmu arystotelesko-tomistycznego. Autorka chwali „europejski aparat pojęciowy,” czyli metodologię wywodzącą się z Cywilizacji Zachodniej (s. 173). Natomiast jej główną ramą intelektualnego odniesienia są nauki Karla Jaspersa. Nota bene, Jaspers był też mistrzem Hannah Arendt, do której przemyśleń o eksterminacji Żydów odnosi się często Kurek, wręcz opierając się na wielu wypracowanych przez tą myślicielkę mechanizmach analizy.

Można się skrzywić, że Kurek odnosi się do tak nielicznych źródeł inspiracji intelektualnej. Jednak w dobie postmodernistycznego rozbuchania „teorii” zupełnie oderwanym od rzeczywistości, wstrzemięźliwość w eklektyce intelektualnej nie jest grzechem.

Szkoda tylko, że autorka nie wymieniła w przypisach innych szkół metodologicznych, łącznie z post-modernistycznymi konstruktami (strukturami? koncepcjami?), takimi jak choćby teorie tworzone przez Zygmunta Baumana. Wymienienie takich myślicieli pomogłoby Kurek odrzucić oskarżenie, że nie zna ich argumentów. Jeśli nie zna, to nie potrafi się do nich ustosunkować, a cierpi na tym jej własny przekaz. W zderzeniu z przeciwnymi opiniami umacniają się przecież nasze przemyślenia. Poza tym przemilczanie niemiłych sobie szkół interpretacyjnych powoduje, że szerzą się one bez żadnego oporu wśród niedoinformowanych maluczkich, zarówno przeciętnych inteligentów, jak i studentów wstępnych lat. Tym sposobem dostają się oni w sidła intelektualistów szerzących systemy wartości wprost przeciwne do tych umiłowanych przez Kurek. Dlatego warto w przypisach prace post-modernistów i innych tego typu naśladowców opatrzyć krótkim, ostrzegawczym komentarzem.

Dalej, w swoich postulatach metodologicznych, Kurek zakłada moralny parytet między polską a żydowską kolaboracją, „współpracą pewnej części obu narodów w dokonanej przez Niemców zbrodni zagłady narodu żydowskiego” (s. 10). Badaczka ostro występuje w tym kontekście przeciwko relatywizmowi. Zadaje prowokacyjne pytanie: „dlaczego wobec żydowskiego relatywizmu w ocenie postaw współpracujących z Niemcami Żydów, w ocenie postaw Polaków, ów żydowski relatywizm nie znajduje zastosowania”? I odpowiada: „Ponieważ bez zrozumienia przyczyn żydowskiego relatywizmu w ocenie współpracy Żydów w dziele dokonanego przez Niemców na polskich Żydach ludobójstwa, oraz przyczyn, dla których współpraca Polaków nie podlega relatywnym żydowskim ocenom, nie można wyjaśnić i zrozumieć stosunków polsko-żydowskich” (s. 10).

Relatywizm beznarodowy

Formalnie i logicznie propozycja powyższa jest raczej spójna. Razi tylko zastosowanie tutaj formuły „żydowski relatywizm”. Przecież relatywizm jest beznarodowy. Albo

jest, albo go nie ma. Nawet w Polsce relatywizm w sprawach polsko-żydowskich szerzą osoby nie wywodzące się z żydowskiej grupy etno-religijnej. Na Zachodzie wręcz jest to regułą, że relatywizm promują w większości nie-żydowscy intelektualiści. Szkoda, że Kurek tego nie dostrzega.

Natomiast jeśli chodzi o oceny świadków Zagłady, chrześcijan czy Żydów, Żydów i Polaków, to rzeczywiście zgoda. Bardzo trudno o indywidualny źródłowy przekaz przeszłości, który sprawiedliwie starałby się pokazać rację obu stron. U prawie wszystkich świadków jest tendencja do relatywizacji własnych doświadczeń oraz doznań osób z własnej grupy etno-religijnej. Ale to nie powód, aby naukowcy powielali ten model. I w tym sensie Kurek ma rację. Nie ma jej, gdy stara się zjawisku relatywizmu nadać narodowość.

Odrzucając takie podejście, możemy zgodzić się z grubsza z postanowieniem autorki, że celem jest „odrzucając żydowski relatywizm i polską jednoznaczność ocen – poddać Polaków i Żydów dokładnie takiej samej ocenie, jaką wobec Niemców przeprowadził po drugiej wojnie światowej Karl Jaspers, czyli poszukać odpowiedzi na pytanie, za jakie winy odpowiedzialność ponoszą wspomagający Niemców w dziele ludobójstwa Polacy, jakimi zaś winami obarczyć należy wspomagających w dziele ludobójstwa Żydów.” Kurek obiecuje stosować „jednolitą ocenę *nieprzyjemnych faktów* [kursywa EK] i według jednolitych miar mierzyć winę każdego narodu” (s. 12). Kurek dalej podkreśla, że „tylko porównując zło polskie ze złem żydowskim, uzyskać możemy prawdziwy obraz polsko-żydowskiej rzeczywistości” (s. 13).

GLAUKOPIS NR 7-2006

Parytet

I tu zaczynają się pewne kłopoty w sferze metodologii. Parytet moralny jest naturalnie pożądany. Zło jest złem i koniec. Jednak zasada parytetu stosowana metodologicznie we wszystkich okolicznościach ma pewien feler, bowiem może fałszywie zakładać takie same warunki, w których operowały obie społeczności.

W badaniach laboratoryjnych – przy stosowaniu tego samego rodzaju zasad testowania – możemy bowiem oczekiwać innych rezultatów jeśli warunki są inne. Może tak być, że w laboratorium pewna mieszanka w pewnych warunkach jest nieszkodliwa, a nawet pożądana. W innych warunkach taka sama mieszanka może być bardzo szkodliwa, nawet śmiertelna.

Tak samo ma się rzecz w badaniach nad ludnością polską i żydowską pod niemiecką okupacją. Pewne postawy polskie można było uznać pozornie za raczej neutralne, na przykład pracę rachmistrzów w ogólnym spisie ludności przeprowadzonym na początku 1943 r. przez władze Generalnego Gubernatorstwa. Analogiczne czynności żydowskich rachmistrzów w gettach, choćby w 1940 r., prawie natychmiast prowadziły do represji, a w tym ekspropriacji, przesiedleń oraz pracy niewolniczej, a w końcu do całkowitej eksterminacji. Naturalnie i działania rachmistrzów polskich były w podobny sposób wyszukiwane przez władze okupacyjne. Różnicą było zło, jakie powstawało z tej współpracy za sprawą polityki okupacyjnej.

Różnica więc polegała na zakresie terroru, na tym, że eksterminacja Polaków była częściowa, a nie całościowa. Czyli kolaboracja Żyda z Niemcami miała zwykle straszniejsze

skutki dla jego społeczności niż podobna współpraca Polaka z okupantem. W każdym razie to właśnie władze okupacyjne zyskiwały najczęściej na jakiegokolwiek czynności przeprowadzanej na oficjalny rozkaz przez niektórych przedstawicieli ludności podbitej. Ale jasne jest, że czynności wykonywane na rozkaz władz okupacyjnych mogły być mniej lub bardziej szkodliwe – w zależności od linii politycznej aktualnie preferowanej przez Niemców (czy innego okupanta).

W sprawach rozważanych przez Kurek jasne powinny być więc różnice w rezultatach takich samych działań podejmowanych przez urzędników tubylczych (Polaków czy Żydów), bo przecież nie trzeba wykazywać, że ludność żydowska miała ciężiej od ludności polskiej, chrześcijańskiej. Wszystkich bowiem Żydów od połowy 1941 r. przeznaczono na eksterminację. Co do Polaków, skupiono się głównie na elicie. W badaniach nad podobnymi zjawiskami (np. kolaboracja) wśród Żydów i Polaków trzeba więc wziąć poprawkę metodologiczną na różnice w kontekście i środowiskach, w których oba narody się znalazły w latach 1939–1945.

Źródła

Teraz o źródłach Ewy Kurek. Liczba przytaczanych przez nią źródeł okupacyjnych niemieckich i współczesnych polskich jest niezadowolająco mała. Ale autorka zastrzega się: „Podstawę źródłową prezentowanych badań stanowią przede wszystkim źródła żydowskie” (s. 13). Kurek przedstawia niestety bardzo wąską bazę źródłową też i w tym zakresie. Jeśli chodzi o tzw. źródła podstawowe (*primary sources*) to ogranicza się ona głównie do może kilkunastu opublikowanych dzienników i pamiętników oraz garści relacji ze zbiorów własnych. Badania archiwalne również przeprowadziła na bardzo małą skalę. Uzyskała bardzo niewiele relacji z Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego. Nic z Yad Vashem, YIVO w Nowym Jorku, czy US Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie.²

Jeśli twierdzi się, że podstawą metodologiczną naszej pracy jest analiza źródeł żydowskich, należy spodziewać się pogłębionych w nich badań. Dlatego dziwi wybór zaledwie kilku znanych i kilkunastu mniej znanych pozycji bez odpowiedniego komentarza. Zaiste Emanuel Ringelblum i Adam Czerniaków to znane postaci, ale czy ich pisane na żywo komentarze wyczerpują zagadnienie? A dlaczego brak odniesienia, przykładowo, do Hermana Kruka z Wilna, który przecież miał inną perspektywę – zarówno ideową, jak i geograficzną? A Cael Perechodnik? Zapiski tego policjanta żydowskiego były dwukrotnie publikowane po polsku i szeroko komentowane.

Można tutaj wymienić kilkadziesiąt opublikowanych bardzo ważnych źródeł podstawowych, których Kurek nie wymieniła. Mamy tysiące istotnych nieopublikowanych źródeł podstawowych, do których badaczka nie dotarła. Są one po prostu niezastąpioną kopalnią wiedzy nie tylko o relacjach polsko-żydowskich, ale przede wszystkim o stosunkach wewnątrz społeczności żydowskiej. Co więcej, nawet na podstawie *tylko* źródeł żydowskich można weryfikować obiegowe opinie zarówno w znanych powszechnie źródłach, jak również w monografiach naukowych ukazujących się głównie na Zachodzie, a powielających rozmaite stereotypy poprzez zaniechanie weryfikacji faktów.

W tym metodologicznym sensie zaniechania dogłębnej weryfikacji źródeł i opracowań książka Kurek nie odbiega od wielu innych naukowych monografii. Szkoda. Żałujemy również, że Kurek nie wymienia ani w przypisach ani w bibliografii podstawowych monografi, pióra takich jak Isaiah Trunk, Barbara Engelking Boni, czy Gunnar S. Paulsson. Prace te pomogłyby doszlifować Kurek własne argumenty dotyczące chociażby rad żydowskich, getta w Warszawie, czy żydowskich uciekinierów.³

Gdyby autorka знаła źródła dostępne w formie publikacji czy materiałów archiwalnych znajdujące się poza Polską, nie doszłaby do fałszywego wniosku, że „niemal wszyscy polscy Żydzi, którzy ocalili z zagłady, wywodzą się ze środowisk asymilatorów” (s. 28). Jest inaczej, po prostu w PRL, a potem w Polsce po 1989 r., większość opublikowanych źródeł pochodzi od asymilatorów, co jest naturalne. Syjoniści, religijni ortodoksi, oraz niezasymilowani, którzy przeżyli nazistów, w większości uciekli spod komunistycznego panowania w połowie lat czterdziestych. W związku z tym są prawie nieobecni w literaturze przedmiotu w Polsce. Odwrotnie sprawa ma się na Zachodzie. Tam prawie nie ma dostępnych materiałów od „Żydów-asymilatorów.”

Tutaj warto zauważyć sprawę, której Kurek nie podkreśla. Mianowicie historii nie piszą „asymilatorzy” czy „ortodoksi”. Historię pisze elita. Przecież dzieje Polski pisała szlachta, a nie chłopci. Tak było aż do profesjonalizacji fachu historyka w XIX wieku, kiedy to pojawili się dziejopisarze wywodzący się z różnych warstw, głównie z inteligencji, wciąż bazującej na etosie szlacheckim Rzeczypospolitej. Podobnie rzecz miała się z historykami zajmującymi się przeszłością żydowską.

I tutaj kolejny problem. Od czasu do czasu Ewa Kurek dzieli badaczy na „żydowskich” i „polskich”. Odsyła czytelnika do tych czy tamtych. Podobnie postuluje, aby jakimś tam zagadnieniem zajęli się „historycy żydowscy,” albo – równie dziwnie – że jakąś kwestię „pozostawić należy historykom żydowskim” (s. 90). Ale dlaczego nie mieli tym się zająć „historycy polscy”? Albo historycy w ogóle, bez względu na pochodzenie? Podziały etniczne naukowców nie są konieczne pomocne, chyba, że zakładamy, że każdy żydowski czy polski historyk to nacjonalista i będzie przez pryzmat własnych interesów narodowych opowiadać o zamierzonych sprawach. A co z tymi badaczami nie-żydowskimi, którzy zgadzają się co do joty z historykami żydowskimi? A co z tymi badaczami nie-polskimi, którzy się częściowo zgadzają z dziejopisarzami polskimi? A co z historykami żydowskimi, którzy nie zgadzają się między sobą? Odrzućmy więc złudną dychotomię etniczną, zachęcajmy do podziału na badaczy solidnych, niezależnych i tradycjonalistyczno-logocentrycznych oraz tych, którzy ulegają duchowi czasu w jakiegokolwiek formie: nacjonalistycznej, komunistycznej, czy post-modernistycznie moralnie relatywistycznej.

Faktografia

Odnieśmy się teraz bardziej do faktografii Kurek, a raczej do interpretacji faktów. „Żydzi polscy żyli w Polsce przez stulecia w gettach dlatego, że pełna izolacja była ich własnym wyborem sposobu przetrwania” (s. 33). To fakt. Ale warto powołać się tutaj na coś więcej niż Stefana Żeromskiego i pojedynczy pamiętnik żydowski. Dlaczego? Bowiem to

co jest truizmem dla Kurek i wielu jej polskich czytelników, na Zachodzie jest powszechnie kontestowane, co odzwierciedlają też prace tubylczych warszawsko-krakowskich naśladowców wybiórczo-stereotypowej zachodniej historiografii. Poza tym naprawdę przydałoby się solidne opracowanie, budujące na metodologii Salo W. Baron, Majer Bałaban, czy M.J. Rosmana, o odrębności bytu ludności żydowskiej w czasach I RP, podzaborowych, oraz międzywojennych, jak i o ich jednoczesnej współzależności od ludności chrześcijańskiej.⁴

Dalej, aby zilustrować różnice między polskimi a żydowskimi percepcjami i dążeniami, Kurek przytacza przykład Napoleona. Według niej, Żydzi polscy go odrzucili, podczas, gdy Polacy go hołubili, bo widzieli w nim zwiastuna wolności kraju. A Adam ks. Czartoryski? A inni, którzy mu nie ufali? Postawy polskie były tutaj bardzo zróżnicowane. A Żydzi francuscy Napoleona raczej popierali (szczególnie w Alzacji, gdzie sięgał oświeceniowy ruch Haskala). I znów podejście dualistyczne „Polacy”—„Żydzi” nie jest do końca dokładne.

Podobnie ma się rzecz, gdy ludność żydowską abstrahuje się od całej społeczności chrześcijańskiej i polskojęzycznej, a nie tylko narodowo świadomej elity. Kurek twierdzi, że:

361

Żydzi polscy, aczkolwiek mieszkali na polskich ziemiach niemal od tysiąca lat, nigdy nie identyfikowali się z Polską jako ojczyzną w powszechnym rozumieniu tego słowa, czyli krajem, o którego wolność oddaje się życie, choć na pewno identyfikowali się z nią jako z miejscem urodzenia. Po pierwsze, mieli ostrą świadomość do narodu wybranego przez Boga. Po drugie, mieli własną historię, a ziemia Izraela nigdy nie przestała być dla nich jedyną i prawdziwą ojczyzną, o powrót do której modlili się przynajmniej raz w roku. W tym kontekście walka Polaków o wolność ojczyzny nie była sprawą, o którą mogliby walczyć polscy Żydzi (s. 52–53)... Postawa Żydów polskich wobec kwestii niepodległości oraz warunki ekonomiczne będącego w rękach zaborców państwa polskiego były najważniejszymi czynnikami, które w wieku XIX raz na zawsze pogrzebały najlepsze polskie tradycje tolerancji i opieki w stosunku do żydowskiej mniejszości narodowej oraz ukształtowały nowego rodzaju postawy Polaków wobec żydowskich współmieszkańców (s. 54).

To bardzo śmiała analiza! Aż korci, aby poprosić Ewę Kurek o kontekst historyczny. Można przypomnieć, że Żydzi też służyli zbrojnie, na przykład w obronie Lwowa przed Kozakami, a badaczka słusznie wspomina Berka Joselewicza.

Zgoda, to były wyjątki. Lecz zachowując metodę parytetu można argumentować, że chłopci polscy właściwie też o Polskę się nie bili. Naturalnie były wyjątki, jak ochotnicy pod Płowcami czy piechota kmieca pod Grunwaldem, a na pewno już piechota wybraniecka, partie partyzanckie podczas Potopu, czy ochotnicy Kościuszki. Ale w większości wypadków chłopci pozostawali obojętni, a w tym w większości powstań narodowych. W wielu wypadkach włościanie reagowali na lokalną agitację religijną (anty-protestantyzm, anty-prawosławie), czy po prostu bronili swoich pojedynczych wsi (a nie całej Polski), albo wręcz atakowali w celach rabunkowych obcych, którzy przypadkowo też byli wrogami Polski.

Można wręcz twierdzić, że przecież pewna część chłopów polskich zachowywała się w obojętny sposób w stosunku do sprawy niepodległości Polski nawet jeszcze w początkowym okresie II wojny światowej. Jest to sprawa świadomości zbiorowej, którą może rozwiązać jedynie upowszechnienie nacjonalizmu, głównie poprzez państwo, jak argumentuje Eugene Weber.⁵ A Polska w XIX wieku państwa nie miała. Z drugiej strony, Kurek powinna była przypomnieć, że uniwersalistyczny polski nacjonalizm romantyczny nie przyciągnął zbyt wielu Żydów. Woleli własny rodzaj nacjonalizmu: syjonizm.

Niestety stwierdzamy brak pełnego zrozumienia tych mechanizmów u Ewy Kurek. Szerszy kontekst jest niezbędny, aby pojąć poszczególne czynniki dziejów. A kontekstu często brak. Zrozumienie mechanizmów pozwala opisać emocjom, pozwala też sprawiedliwiej ocenić przedmiot badań, a tutaj szczególnie stosunki żydowsko-polskie.

„Żydokomuna”

Następnie Kurek, znów polegając na wąskiej bazie źródłowej, zastanawia się nad zjawiskiem „żydokomuny”. Jako punkt kulminacyjny powstania stereotypu „żydokomuny” autorka podkreśla „żydowski charakter rewolucji 1905 r.” (s. 63). Hm. To strajk uczniowski i strajki chłopskie były żydowskie? A działania Frakcji Rewolucyjnej PPS Józefa Piłsudskiego? Stereotyp „żydokomuny” miał dużo głębsze korzenie niż polska percepcja jednej demonstracji w Warszawie. Chodziło tutaj zarówno o rozmaite trendy intelektualne, na czele z marksizmem i freudyzmem. Chodziło też o antychrześcijański, antytradycjonalistyczny i antypatriotyczny charakter nowoczesnej kultury masowej.

Natomiast celnie – choć znowu bez silnych podstaw źródłowych oraz dogłębnej analizy – Kurek uznała, że hasło „żydokomuna” jest krzywdzące, bo dotyczy „zaledwie kilku procent polskiej diaspory. Zdecydowaną większość wśród polskich Żydów stanowili bowiem religijni ortodoksyjni Żydzi... Dla nich komunizm był takim samym złem, jakim był dla Polaków” (s. 63).

Ciekawie też Kurek analizuje związaną z „żydokomuną” sprawę pojmowania wolności. Dla Polaków wolność oznaczała niepodległość Polski od zaborczego knuta. Dla „ruchu lewicowego (socjalistycznego)”, w którego szeregach znajdowali się też rewolucjoniści pochodzenia żydowskiego, liczyło się zaprowadzenie socjalizmu” (s. 63). Wzmacniało to stereotyp „żydokomuny” wśród Polaków.

Co więcej, wolność dla Żydów religijnych oznaczała kontynuowanie tradycji autonomicznej. Tym sposobem żydowski izolacjonizm, separacja od życia polskiego sugerowały w najlepszym wypadku indyferencję do niepodległości kraju. To wszystko wzmacniało powszechne przekonanie, że ludność żydowska lekceważy sobie sprawę wolnej Polski. Rezultatem był antysemityzm. Kipiał pod zaborami, a rozlał się szeroką falą po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Kurek w ten sposób opisała to zjawisko:

Zderzenie polskich doświadczeń i tradycji w postrzeganiu i rozumieniu pojęcia wolności, w którym niepodległość Polski grała rolę pierwszoplanową,

z płynącym z żydowskich doświadczeń i tradycji pojęciem wolności Żydów polskich, dla którego wolność wspólnej ojczyzny Polski była niezrozumiałym balastem, było – obok 123 lat braku solidarności w walce o wolność – przyczyną totalnego odrzucenia przez Polaków narodu żydowskiego jako współobywateli wolnej Rzeczypospolitej... Wiedzieli już, że żydowska wolność jest czymś innym niż wolność polska. Wiedzieli, że nie ma między nimi punktu stycznego. Dlatego coraz bardziej popularną wśród Polaków stawała się idea postrzegania Żydów jako uciążliwych lokatorów, cudzoziemców w Państwie Polskim, których Polska musi się pozbyć, m.in. przez emigrację do Palestyny, usunięcie z życia publicznego i odebranie silnej pozycji ekonomicznej. Ten polski bunt wobec wiecznych cudzoziemców Żydów polskich po wsze czasy polscy Żydzi nazwali polskim antysemityzmem, który ponoć wysysamy z mlekiem matki (s. 63).

Może i mieli rację polscy Żydzi. Nie ma sensu ukrywać, że żyjący w latach 1918–1939 Polacy mieli serdecznie dość uciążliwych żydowskich lokatorów. Pragnęli, aby Żydzi zostawili Polskę w spokoju, znaleźli sobie jakież inne Polin i tam w pomyślności i dobrobycie wiedli żydowskie życie. W tym sensie na pewno byli antysemitami (s. 64)...

Każdy obywatel Państwa Polskiego, także polski Żyd, otrzymywał od państwa określone prawa i brał na siebie określone prawem obowiązki względem tegoż państwa. Tak było w Polsce od zawsze. Zręby struktur demokratycznej władzy zostały w Polsce zbudowane już w wieku XV. Tymczasem Żydzi polscy, domagający się maksymalnego zakresu praw obywatelskich, nie poczuli się do wypełniania obywatelskich obowiązków względem Państwa Polskiego. Nie uważali, że lojalność względem Państwa Polskiego i walka o niepodległość Polski jest żydowską obywatelską powinnością – wobec Państwa Polskiego zachowywali się więc jak cudzoziemcy (s. 65).

Znowu Kurek była w stanie zaprezentować nam tylko część zjawiska, ponownie bez wystarczającego odniesienia się do źródeł. Tutaj logika Kurek sama pada ofiarą metodologii opartej na parytecie. Dla autorki podstawowym wyznacznikiem konfliktu polsko-żydowskiego miał być stosunek do patriotyzmu. Według tej diady Polacy mieli być patriotyczni, a Żydzi nie.

To jest bardzo elitarnie podejście do sprawy. Patriotyzm niestety nie był (i nie jest) powszechną cechą wszystkich Polaków (czy Amerykanów bądź Chińczyków). Dotyczy głównie szeroko rozumianej elity, której szeregi raz rosną, raz topnieją – zgodnie z falowaniem świadomości narodowej oraz potrzebą jej aktywnego demonstrowania. Według miary Kurek trzeba by przecież zaliczyć do „nie-obywatelskich cudzoziemców” również wszystkich nie-żydów, a polskojęzycznych, pochodzących z polskiej grupy etnicznej, którzy zachowywali się (i zachowują) w podobnie indyferentny czy wrogi sposób jak wielu przedstawicieli wszystkich mniejszości (a nie tylko Żydów). Jest to zjawisko naturalne. Umieszczenie dziejów ludności żydowskiej w odpowiednim kontekście pomoże odnieść się do jej postaw spokojniej.

„Haman” vs. „Judasza”

Trzeba przyznać jednak, że metodologia parytetu posłużyła Kurek bardzo dobrze w jej analizie stereotypu „Judasza” i „Hamana”. Stereotyp ten oparty był na wzajemnej, negatywnej percepcji Żydów i Polaków w okresie przedwojennym. Historyczka świetnie ujęła główną przyczynę mankamentów dotychczasowych badań antropologicznych, etnograficznych, czy folklorystycznych koncentrujących się na żydowskich i chrześcijańskich zwyczajach religijnych. Mianowicie częstokroć prowadzone są one w oparciu o sekularne wyobrażenia, poza ich właściwym religijnym kontekstem (s. 253–258). W rezultacie wiele opracowań o zwyczajach bożonarodzeniowych czy purimowych czyta się jak sowieckie bajki o Dziadku Mrozie. Tutaj Ewie Kurek świetnie posłużyło jej naukowe doświadczenie, a w tym docenianie elementu duchowego w kulturze.

Autorka przyznaje, że wśród polskiej ludności chrześcijańskiej utrwalony był stereotyp Żyda jako Judasza, zdrajcy, który sprzedał Jezusa. Corocznie robiono kukłę Judasza – stylizowaną na Żyda – bito ją, palono i topiono. Ten obrządek bezsprzecznie utrwał antyżydowskie stereotypy wśród ludu.

Jednak Judasz to nie jedyny stereotyp Żyda. Szopki przedstawiały Żyda jako „biednego, religijnego, mądrego błazna” przedstawionego „bez antysemitycznej agresji” (s. 78). Kurek podkreśla, że wizerunek Żyda w szopkach nie tylko odzwierciedla „ludowe chrześcijaństwo” (s. 78), ale również „mocno tkwi w najstarszych tradycjach zachodniego chrześcijaństwa” (s. 76). Ze znanstwem Kurek opisuje rozmaite tradycje kolędnicze, odrzucając oskarżenia o antysemityzm: „między bajki włożyć można dość powszechne w wielu żydowskich kręgach twierdzenia, że u źródeł postaci Żyda występującego w przedstawieniach polskich kolędników tkwi polski antysemityzm” (s. 72).

Dalej Kurek przeciwstawia sympatyczny stereotyp Żyda z obyczajów kolędniczych ohydnyemu stereotypowi chrześcijanina z *Purimszpilen*. W tej bardzo ciekawej ludowo-religijnej tradycji żydowskiej, autorka pokazuje, że corocznie bito kijami, palono i topiono kukłę przedstawiającą księdza, albo zwykłego chrześcijanina – Hamana. Niestety – jak przyznaje sama Kurek – bez znajomości języka *yidisz* trudno jest dogłębnie zbadać ten stereotyp (s. 83, 85, 92–93). Mimo to Kurek twierdzi, że „wpisana w liturgię i obrzędowość purimowego święta nienawiści, odnawiana i podsycana wiosną każdego roku, zaszczebiała i utrwałała pokoleniom polskich Żydów obraz zagrażającego im ZŁA [podkreślenie EK], a tym samym warunkowała ich stosunek do księży katolickich i chrześcijan w ogóle” (s. 93).

W rezultacie rozmaitych wzajemnych uprzedzeń w przededniu II wojny światowej wśród ludu żydowskiego pokutował anty-gojski stereotyp Hamana, a wśród polskich chrześcijan anty-żydowski stereotyp Judasza. Na dodatek, według Kurek, hołdujący „średniowiecznym uprzedzeniom” Żydzi nie znali języka polskiego i nierealistycznie oczekiwali, że Państwo Polskie potraktuje ich jak średniowieczny monarcha. „Było to ze strony Polaków i polskich Żydów karygodną lekkomyślnością, która w czasie wojny na pewno ułatwiła Niemcom realizację zbrodniczych planów” (s. 103).

Stereotyp Hamana zapewne funkcjonował najbardziej wśród religijnej części społeczności żydowskiej. Ale czy byli oni większością? Kurek właściwie zupełnie pomija fakt,

że pod koniec wieku XIX i na początku XX wybuchł bunt przeciwko religii i tradycji. Bunt dotyczył szczególnie żydowskiej młodzieży, której pewna część gwałtownie odrzuciła wiarę i łączywie zwróciła się ku nowym trendom nowoczesności: nacjonalizmowi i socjalizmowi. Często ta pierwsza kolektywistyczna ideologia nakładała się na drugą w rozmaitych formach syjonizmu. Bez uwzględnienia form nowoczesności w społeczności żydowskiej polski przedwojennej, cała dyskusja Kurek odnosi się właściwie do religijnego segmentu Żydów głównie małomiasteczkowych i prowincjonalnych.

II wojna

Najbardziej kontrowersyjna część pracy Kurek dotyczy II wojny światowej. I tu wychodzą największe mankamenty pracy odzwierciedlające jej wąską bazę źródłową. Według Kurek, wykluczając margines, czyli asymilatorów, spolonizowanych chrześcijan żydowskiego pochodzenia oraz żydowskich komunistów, zarówno Żydzi religijni jak i marksistowscy bundyści i folkłści chcieli autonomii. „Poza częścią narodowców (syjonistów), którzy łącznie stanowili wprawdzie dość szeroki, lecz jednak margines żydowskiego społeczeństwa, dla zdecydowanej większości polskich Żydów optymalnym modelem żydowskiego życia w Polsce były postulowane w 1920 roku przez Związek Posłów Narodowości Żydowskiej *autonomiczne prowincje* [kursywa EK]” (s. 111).

365

W rzeczywistości nawet syjoniści też chcieli autonomii. Mimo że podkreślali, że ich celem jest państwo żydowskie, najchętniej w Palestynie, większość syjonistów (religijni Mizrahi, Generalni, oraz Poalej Syjoniści prawicy i lewicy) na krótką metę popierali autonomię w Polsce. Tylko skrajnie prawicowi syjoniści z Nowej Organizacji Syjonistycznej traktowali ten pomysł raczej sceptycznie, co nie znaczy, że go zupełnie odrzucali. Kurek powinna o tym wiedzieć, szczególnie, że opisuje jak w 1920 r. poseł na Sejm RP Izaak Grünbaum wystąpił o utworzenie „autonomicznych prowincji” dla Żydów w Polsce. A poseł Grünbaum był syjonistą. Zresztą w latach trzydziestych wyemigrował do Palestyny.

Kurek podkreśla, że na początku społeczeństwo żydowskie nie odnosiło się do II wojny światowej jako do „żydowskiej sprawy” (s. 114). Wojna toczyła się poza ich sferą zainteresowania i oddziaływania. Żyli we własnym świecie. Pozory bezpieczeństwa dawało im przebywanie wśród swoich w getcie.

Kurek nie zauważa, że podobne przeciwie postawy można zaobserwować wśród pewnej, może nawet dużej części chłopów polskich. Dopiero z czasem Niemcy terrorem uzmysłowili wielu chłopom, że są oni Polakami, a nie po prostu polskojęzycznymi katolikami. Tym samym uzmysłowili im, że II wojna jest też ich sprawą. W postawie społeczności żydowskiej nie ma więc nic dziwnego. Terror nazistowski z jednej strony pomógł wzmocnić trendy wyjątkowości oraz samoidentyfikacji narodowej wśród Żydów, a z drugiej zmusił ich do zareagowania na sprawę wojny, która – odwrotnie niż wcześniejsze konflikty – toczyła się również (a czasami przede wszystkim) przeciw nim.

Władza w GG

Następnie Kurek pokazuje, że nie bardzo rozumie hierarchię zależności w Generalnym Gubernatorstwie (GG). Nie pojmuje też mechanizmów działania systemu okupacyj-

nego. Koniecznie trzeba je objaśnić. Jesienią 1939 r. chwilowo rządził *Wehrmacht*, który pragmatycznie pozwolił na działanie systemu okupacyjnego w oparciu o przedwojenne zasady. W momencie, gdy władzę przejęła policja i SS, zaczęto wprowadzać rozmaite rozwiązania narodowo-socjalistyczne, a w tym rasistowskie. Na szczycie drabiny byli *Reichsdeutsche* (Niemcy z Reichu), potem *Volksdeutsche*, następnie mniejszości nie-żydowskie (uprzywilejowane do różnego stopnia: „biali” Rosjanie, Gruzini, Ukraińcy, etc.), potem Polacy, a na końcu Żydzi. SS wymagało ścisłej „rasowej” segregacji instytucji. Przekazywało – zgodnie z zależnością hierarchiczną – rozkazy do Polaków, aby ci zakomunikowali je Żydom.

Dlatego też Polak, komendant Straży Obywatelskiej (SO), z rozkazu niemieckiego, wykluczył szefa Judenratu Adama Czerniakowa z jego funkcji w tej formacji (s. 118). Czerniaków naturalnie był aktywny w SO w ramach społeczności żydowskiej, w żydowskiej części miasta, co niekoniecznie wymagało uprzednio jego obecność na odprawach SO w czasie oblężenia Warszawy. Kurek tego nie rozumie, traktując jako przykład żydowskiej odrębności w sensie odcinania od Polaków po wejściu Niemców. Co więcej, autorka twierdzi, że

drogę izolacji od ‘spraw polskich’, polskich władz i Polaków, wybrał Adam Czerniakow zatem już w pierwszych dniach niemieckiej okupacji. Za przykładem żydowskiego senatora z Warszawy postawę taką obrało całe społeczeństwo polskich Żydów. Nie znam miasta ni miasteczka okupowanej przez hitlerowców Polski, w którym jesienią 1939 roku wspólnota żydowska odmówiłaby Niemcom jak najdalej pojętej współpracy, a tym samym uznania ich za nową władzę... Charakterystyczną cechą ich postawy było jednak to, że nie traktowali niemieckich okupantów jako wroga, lecz jak surową wprawdzie, ale prawowitą władzę, z którą prowadzi się rozmowy i negocjuje warunki koegzystencji (s. 120).

Z pewną dozą złej woli można w podobnym stylu napisać, że Andrzej Świetlicki z Ruchu Narodowo-Radykalnego („Falanga”) wraz z towarzyszami też nie widział w Niemcach wroga, a chciał z nimi negocjować jesienią 1939 r. Otóż nie. Niemcy byli i wrogiem i władzą naraz. Tak było dla przywódców polskich, tak też dla żydowskich. Jeśli niemieccy narodowi socjaliści byli rasistowskimi antysemitami, to mogli być uznawani tylko jako wrogowie przez kierownictwo żydowskie. Zgadza się jednak, że wśród kiepsko zorientowanego ludu obu wyznań, na pewno byli tacy, którzy mogli uznać, że Niemcy są po prostu nową władzą, a nie wrogami.

Dalej – idąc prowokacyjną logiką Kurek – można też zapytać, czy była taka miejscowość, gdzie wspólnota polska odmówiłaby Niemcom współpracy? Znów kłania się u autorki nieznamość mechanizmów okupacji. Otóż Niemcy przygotowali zespoły wojskowe, policyjne i cywilne, które miały zajmować się przejmowaniem władzy w zdobywanej Polsce. Istotne różnice zachodziły między Kresami Zachodnimi, które planowano inkorporować do Reichu, a Polską centralną, w której najpierw planowano zorganizować jakąś resztówkę polskiej państwowości, a potem zmieniono na kolonię pod nazwą Generalne Gubernatorstwo (GG).

W GG naturalnie pierwsze władze wywodziły się z niemieckich sił zbrojnych. W miastach i miasteczkach ustanawiano tzw. komendanturę polową (*Ortskommendantur*). Potem nadciągały okupacyjne załóżki władz policyjnych, niekiedy przekształconych z morderczych grup specjalnych (*SS-Einsatzgruppen*). Na samym końcu zjawiali się cywilni biurokraci.

Natychmiast po wkroczeniu do polskich miejscowości we wrześniu 1939 r. wojskowi niemieccy zarządzali, aby wszelkie ogniwa administracji cywilnej kontynuowały swoją działalność. Wzywano wszystkich urzędników, a w tym i polskich policjantów do pracy. Od razu szermowano groźbami, czasami stosowano terror, a w tym zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Działania te toczyły się w teorii osobno od akcji eksterminacyjnych przeciw elicie, choć czasami w praktyce się ząbebiały.

Gdy nie zastano na miejscu polskiego burmistrza, naznaczano jednego z wyższych polskich urzędników w danej miejscowości. Tak samo było z obsadzaniem innych funkcji, a w tym w spółdzielczości, instytucjach zapomogi społecznej oraz organizacjach mniejszości narodowych, łącznie z żydowskimi. Powołane w ten sposób instytucje były w rzeczywistości kontynuacją władz przedwojennych. Często były one tylko formalnie zaaprobowane przez Niemców, bowiem nigdy nie przerwały działania.

Na czele wszystkich instytucji – nie tylko żydowskich – stali przedstawiciele przedwojennej elity. Często pełnili oni analogiczne, a wręcz te same funkcje co przed wojną. Tym sposobem wielu lokalnych prominentów przedwojennych znalazło się „na urzędach” siłą inercji. Na dodatek często kierował nimi dalej ten sam etos służenia swojej społeczności. Dotyczyło to też naturalnie i Żydów. Trudno się więc zgodzić z Ewą Kurek, że „Judenraty zostały powołane przez niemieckich okupantów spośród osób deklarujących wolę wszechstronnej współpracy” (s. 122). Badania regionalne sugerują, że postawa służalczości została wymuszona dopiero po pewnym czasie terrorem oraz innymi sposobami polityki kadrowej oraz narodowościowej narodowych socjalistów. I dalej historyczka twierdzi: „Na czele żydowskich autonomii stali ludzie posiadający nieograniczoną wobec ludności żydowskiej władzę: przywódcy żydowscy pełniący jednocześnie funkcje przewodniczących żydowskiego samorządu i urzędników państwowych III Rzeszy” (s. 126). W zasadzie można tak powiedzieć, ale – jeśli już stosować regułę parytetu – to samo można napisać o polskich sołtysach, wójtach, burmistrzach, czy prezydentach miast. Zależało od jednostki i okoliczności jak taki urzędnik postępował z ludźmi.

W każdym razie, oprócz wypełniania podstawowych funkcji administracyjnych dla niemieckich władz wojskowych, zaaprobowane w ten sposób przez okupanta najniższe ogniwa zarządzania cywilnego Polaków i Żydów, były również wygodnym zbiorowiskiem zakładników. Wszędzie wojsko niemieckie ostrzegało, że w razie niepokoju będą rozstrzeliwani przedstawiciele elit na czele z kierownictwem władz terenowych oraz organizacyjnych, a w tym żydowskich.

Wnet, pod koniec września i na początku października 1939 r., nadciągały władze policyjne, a potem cywilne. Policjanci przeprowadzali czystki oraz wprowadzali pierwsze czysto ideologiczne rozwiązania, a w tym *apartheid*, podział na „aryjczyków” i „nie-aryjczyków.” Cywilni biurokraci niemieccy wprowadzali do systemu rutynę administracyjną,

opartą na narastającej eksploatacji zasobów naturalnych, własności państwowej i prywatnej, siły roboczej i gospodarki GG. Powstawała hierarchia nakazowa. Tubylczy urzędnicy mieli być pasami transmisyjnymi do mas. To podstawa modelu totalitarnego.

Kontekst autonomii

Jak widać, opisany tutaj cykl zupełnie nie przystaje do fałszywych dedukcji Ewy Kurek o mechanizmach powstawania „prowincji autonomicznych żydowskich.” Jest to jednak dla Kurek klucz do zrozumienia dziejów Żydów podczas Holokaustu. „Jeśli *autonomiczne prowincje* [kursywa EK] żydowskie (getta) były wynikiem zrealizowania przez polskich Żydów konkretnych założeń politycznych wymagających kompromisu z Niemcami, a nie narzuconą przez Niemców formą represji wobec polskiego żydostwa, cały szereg niezrozumiałych dotychczas kwestii związanych z zagładą polskich Żydów staje się jasny i oczywisty” (s. 235).

Sylogizm Kurek jest jednak niespójny. Można co najwyżej twierdzić, że rzeczywiście istniały dwa niezależne od siebie zjawiska: niemieckie represje i żydowskie aspiracje autonomiczne. Nie jest wykluczone jednak, że część przywódców żydowskich rzeczywiście łudziła się w początkowym okresie okupacji i starała się u Niemców coś ugrać. W tym sensie można się zgodzić z Kurek, że gdyby nie eksterminacja Żydów od lata 1941 r. pomysły autonomiczne „są raczej pozytywnym świadectwem dojrzałości politycznej przywódców polskich Żydów, którzy... [wybrali] dla swego narodu optymalną formę przetrwania wojny” (s. 236).

Przecież przywództwo żydowskie miało pozornie solidne przesłanki ku temu aby grać z Niemcami. Po pierwsze, zgodnie z tradycją mniejszości na całym świecie starają sobie zapewnić bezpieczeństwo poprzez dogadanie się z najsilniejszym. Po drugie, doświadczenie z I wojny światowej dyktowało, że z Niemcami można współpracować ku obopólnej korzyści. Po trzecie, nawet naziści poważnie rozważali możliwość ustanowienia żydowskiego „rezerwatu” autonomicznego na Lubelszczyźnie oraz wykonali ku temu pewne praktyczne kroki (np. deportacje ludności żydowskiej z Rzeszy). Po czwarte, naziści całkiem poważnie starali się wprowadzić w życie plan „ewakuacji” Żydów. Rozważano Palestynę, Madagaskar, a nawet Amerykę Łacińską. Do roku 1942 r. dyplomacja III Rzeszy starała się znaleźć kraj, który Żydów europejskich przyjąłby do siebie. Nikt nie był przygotowany na tak masowy exodus. Mówiąc dosadniej: żaden kraj nie chciał pomóc Żydom.

Jednak negocjacje „ewakuacyjne” kontynuowano nawet po tym, jak akcja eksterminacyjna rozwijała się w najlepsze po czerwcu 1941 r. Społeczność żydowska, poprzez swoje kierownictwo, dowiadywała się o tych wysiłkach w ramach plotek. To wzmacniało nadzieję, że może się uda u Niemców coś ugrać, chociażby ocalając niektórych Żydów od śmierci. Niestety Kurek nie zgłębiła tych spraw; nie zna nazistowskich źródeł; nie wymienia właściwie żadnych autorów monografii traktujących o tych sprawach; *ergo*, nie potrafi się do tego wszystkiego odpowiednio ustosunkować.

Struktura zależności

Wróćmy teraz do zależności hierarchicznych, z których autorka również nie zdaje sobie sprawy. Wyjaśniamy: w każdej miejscowości na obszarze całego Generalnego

Gubernatorstwa komendant policji żydowskiej formalnie podlegał komendantowi policji polskiej, który dostawał rozkazy od komendanta policji niemieckiej. Podobnie prezes Judenratu podlegał polskiemu wójtowi, burmistrzowi, bądź prezydentowi miasta, a ten słuchał poleceń niemieckich władz nadrzędnych. Lekarz naczelny przy Judenracie podlegał polskiemu lekarzowi powiatowemu bądź miejskiemu, który był pod władzą odpowiedniego urzędnika niemieckiego w powiatowym, miejskim, czy dystryktowym wydziale zdrowia. To samo z poborcami podatków, zarządcami nieruchomości i tak dalej.

Warto to sobie zapamiętać, aby zrozumieć, że rzekome „negocjacje” z Niemcami sprowadzały się częstokroć tylko do wykonywania rozkazów, a rzadkie bezpośrednie spotkania twarzą z twarzą kierownictwa żydowskiego z nazistowską „Rasą Panów” (*Herrenvolk*) ograniczały się do tego, że Niemcy wyzyskiwali te momenty do bezkompromisowego komunikowania swej woli. Co najwyżej, budując getta, naziści psychologicznie zyskiwali na ludzkim przywiązaniu do tradycji. Wlewali bowiem nową rasistowską, narodowo-socjalistyczną treść w stare, tradycyjne ramy autonomii żydowskiej opartej na gminach religijnych oraz niespełnionych postulatach polityków żydowskich. Taką gorzką pigułę łatwiej Żydom było przełknąć, łudząc się, że ma to coś wspólnego z ich ideałem odrębności czy postulatem politycznej autonomii.

369

W tym kontekście jest jasne, że przywódcy żydowscy „negocjowali” jedynie w tym sensie, że starali się dostosować do niemieckich rozkazów w taki sposób, aby wyrządzić sobie i swojemu ludowi jak najmniej krzywdy. To samo dotyczyło tzw. „provincji autonomicznych żydowskich,” czyli gett. To nie było spełnienie się żydowskiego snu o autonomii, ale dostosowanie się do planów niemieckich.

Naturalnie nie można się dziwić, że początkowo – ze względów psychologicznych – przywódcy żydowscy odnieśli się do gett do pewnego stopnia jak do koncepcji autonomicznych przedwojennych w innych warunkach. Robili dobrą minę do złej gry. Trudno się dziwić, że w swoich notatkach na żywo tacy jak Adam Czerniaków starali się wykazać sami przed sobą jakimś sukcesem, a siebie opisać jako niezależnego gracza. Przecież człowiek aby pozostać aktywny w tym szaleństwie nie mógł sam przed sobą stracić nadziei. Musiał stale podkreślać, że wierzy w sens swojej misji. Musiał wykazywać się przed sobą samym jakimiś osiągnięciami.

Trudno się też dziwić, że na ograniczonym przez nazistów polu przywódcy żydowscy starali się coś ugrać u Niemców. Alternatywą był opór pasywny, którego rezultatem byłoby to, że getta tworzyliby i organizowali obcy – sami Niemcy, albo – z ich rozkazu – Polacy.

Kolaboracja

Charakterystyczną cechą kolaboracji jest to, że współpracujący z okupantem tubylcy mogą do pewnego stopnia osłonić swoją ludność cywilną przed horrorem bezpośredniej władzy przez okupanta. Jednak stałą cechą kolaboracji jest to, że parametry kolaboracji naznacza okupant.

Powtórzmy: okupant nakreśla ramy, w których możemy się poruszać. To on nam daje takie, a nie inne pole do manewru. Tylko od nas zależy, jak będziemy manewrować

w tych ramach: egoistycznie, zbrodniczo, służalczo czy patriotycznie, altruistycznie, po chrześcijańsku. Zwykle zjawisko czystej kolaboracji nie występuje tak często. Większość po prostu dostosowuje się. Dostosowanie oparte jest na umiejętności stawiania oporu, a natężenie oporu znów zależy od polityki okupanta. Im mniej okupant przerywa utarte, tradycyjne cykle życia, tym mniejszy opór. Łagodna polityka pozwala nam bardziej współpracować. Represyjna polityka brutalnej siły zarówno budzi, jak i tłamsi otwarty opór. Zwykle dostosowujemy się do okupacji, ale – aby przeżyć – stawiamy opór bierny. Jego najbardziej rozprzestrzenioną formą jest oszukiwanie okupanta w rozmaity sposób. Opór zbrojny jest ostatecznością, ograniczoną do elity narodowej.

Kurek nie wspomina właściwie takich uwarunkowań. Według niej mniejszości narodowe kolaborowały z okupantami. Autorka twierdzi kategorycznie, że „jesienią 1939 roku Żydzi polscy, podobnie jak Ukraińcy i Białorusini, przyjęli wobec przegranej wojny obronnej Polski postawę cudzoziemską, która objawiła się zerwaniem kontaktów z ostatnimi przedstawicielami polskiej oficjalnej władzy państwowej i nie nawiązaniem kontaktów z rodzącym się Polskim Państwem Podziemnym z jednej strony, z drugiej zaś natychmiastowym ustanowieniem ożywionych stałych kontaktów z niemieckimi władzami okupacyjnymi i przystąpieniem do budowy na ziemiach polskich pod kuratelą Niemców żydowskich autonomii terytorialnych zwanych potocznie gettami” (s. 122).

Można się zgodzić, że jesienią 1939 r. zachodziła pewna analogia między postawami wszystkich mniejszości RP. Na pewno doszło do „zerwania kontaktów” przez mniejszości na Kresach Zachodnich i Wschodnich, gdzie niemieccy i sowieccy okupanci przeprowadzili totalne zniszczenie aparatu państwowego RP. To pomoże zrozumieć pełne odcięcie od polskiego świata getta w Łodzi. Ale trudno mówić w Polsce centralnej o zerwaniu kontaktów przez Żydów „z ostatnimi przedstawicielami polskiej oficjalnej władzy państwowej.” Przecież ci ostatni znaleźli się bardzo często w odtwarzanej przez okupanta strukturze administracyjnej GG. Siłą rzeczy, kontynuowano kontakty przedwojenne w nowym, okupacyjnym kontekście. Tak skonstruowali Niemcy system, włącznie z drabiną hierarchicznej zależności.

Ponadto nazistowska polityka okupacyjna ewoluowała w harmonii z sytuacją na frontach. Stąd na przykład po kampanii francuskiej jesienią 1940 r. Niemcy wprowadzili kolejne obostrzenia, które zakomunikowali Żydom. Chodziło między innymi o stworzenie „dzielnic zamkniętej” w Warszawie (s. 124). Kazano wybudować mur, powiększyć policję żydowską, przyjąć Żydów spoza Warszawy. Judenrat oczywiście dostosował się w najlepszy sposób, w jaki potrafił. Niemcy łaskawie zgodzili się na żydowskie szkoły. Zaskakująco, dla Kurek były to „negocjacje”, „dyskusje” (s. 130).

Następnie w maju 1941 r., spodziewając się po Żydach prokomunistycznych wystąpienie przed kampanią przeciw Sowietom, wprowadzono zabezpieczenie tyłu frontu przez dalsze hermetyczne odcinanie getta od reszty Warszawy. Kurek uznała, że tym sposobem terytoria wszystkich gett stały się autonomiczne w stosunku do Generalnego Gubernatorstwa i przeszły pod bezpośrednią jurysdykcję Rzeszy. Po prostu „autonomiczne prowincje żydowskie” wyłączono z GG. Na czele autonomii warszawskiej stanął burmistrz Adam

Czerniaków. Miał swój własny „Zarząd żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej”. Dla Kurek to dowód na autonomię.

Ale przecież było to głównie formalne przekształcenie Judenratu i jego prezesa z de facto tradycyjnej roli samorządowej i społecznej na de jure – administracyjną. Oszczędziło to Niemcom na sile roboczej: funkcje samorządu i administracji dublowały się. Można było zwolnić z biurokracji „zbędnych Żydów” i zagnać do pracy. Ponadto przekonanie o wyłączeniu gett z jurysdykcji GG jest fałszywe. Na prowincji funkcjonowały one nadal w sposób bardzo podobny do pierwotnego z jesieni 1939 r. Obowiązywały te same zależności, w większości miejscowości nie zbudowano nawet muru. A przede wszystkim nazistowski Gubernator Generalny Hans Frank nigdy nie wyrzekł się formalnie zwierzchnictwa nawet nad „autonomią” w Warszawie. Władze policyjne i cywilne władające gettem i wydające polecenia jego żydowskim administratorom podlegały bezpośrednio strukturom organizacyjnym Generalnego Gubernatorstwa. Instytucjonalnie, administracyjnie i jurysdykcyjnie zależność gett w Polsce centralnej od III Rzeszy była niebezpośrednia. Pozostawały one formalnie w Generalnym Gubernatorstwie. Inaczej rzecz miała się naturalnie z gettami na Śląsku czy w Łodzi. Ale były to tereny wcielone do Reichu.

Kurek tak bardzo chce wierzyć w swoją tezę o „autonomiach”, że ociera się o absurd. Twierdzi bowiem, że dowodem na jej istnienie jest to, że Żydzi sami zapłacili za mur wokół getta, a nawet go wybudowali. A co mieli zrobić? Zlekceważyć rozkaz Niemców?

Dalej autorka kuriozalnie upiera się, że fakt sfinansowania muru przez gminę żydowską dowodzi, że „izolacja żydowskiej autonomii terytorialnej w Warszawie, zwanej potocznie gettem, od mieszkających za murami Polaków, mieściła się w granicach żydowskiej idei” (s. 128). Kurek myli się. Jedynie samoizolacja była dopuszczalna. Ludność żydowska nie miałaby nic przeciw gettu, gdyby nie odcięto jej od tradycyjnego źródła utrzymania: handlu z Polakami, świadczenia usług dla nich. A to możliwe było tylko, gdyby getto pozostało otwarte. Nawet ultraortodoksi zamykają swoje dzielnice całkowicie jedynie od piątku wieczorem do zachodu słońca w sobotę. W pozostałe dni żyją z tego, że mają kontakt komercyjny głównie z nie-Żydami.

Według Kurek, do 1942 r. w getcie toczyło się w miarę normalne, autonomiczne życie. Najciężej mieli chrześcijanie pochodzenia żydowskiego, bowiem na nich jako pierwszych spadły razy wymierzane przez uprzedzone wobec nich jako „chrzczaków” przywództwo żydowskie (s. 213–14).⁶ Lud żydowski nie miał lekko, ale większość pocieszała się faktem przebywania wśród swoich. Doceniano wagę autonomii. Działała żydowska poczta, funkcjonowały żydowskie instytucje. Legalnie kwitła kultura, ukazywały się gazety, działały teatry, słuchano koncertów, przynajmniej niektórzy mieszkańcy bawili się w wykwintnych lokalach. Tymczasem Polacy (chrześcijanie) poza murem nie cieszyli się większością tych przywilejów. Co więcej, w pierwszym okresie wojny okupanci skupili się na eksterminacji polskiej elity.

Terror

To do dużego stopnia prawda. Kurek przerysowuje jednak kontrast między gettem a tzw. „stroną aryjską”. Autorka pisze: „W latach 1939–1942 Warszawa gojów, czyli Polaków,

była ponura i smutna. Żyła w niej ludność zaszczuta niemieckimi łapankami, egzekucjami i wywózkami do obozów koncentracyjnych. W tych samych latach żydowska autonomia terytorialna, getto bawiło się” (s. 131). To już naprawdę hiperboliczna przesada.

Badania własne sugerują, że Żydzi byli proporcjonalnie reprezentowani wśród rozstrzelanych zakładników we wczesnych miesiącach okupacji. Następnie śmiertelność wśród ludności żydowskiej – a w tym i w getto w Warszawie – była większa niż wśród chrześcijan już w latach 1939–42. Spowodowane to było epidemią chorób oraz głodu. Choroby wybuchały w związku z przeludnieniem gett, oraz ich odcięciem od świata: wręcz laboratoryjny *casus* wylęgarni epidemii. Głód był wynikiem polityki żywnościowej dyskryminującej ludność żydowską najbardziej.

Ponadto na terytorium okupowanej przez Niemców Polski obowiązywał dla Żydów przymus pracy, a dla Polaków „tylko” obowiązek pracy. Na przykład, obóz pracy niewolniczej w Bełżcu powstał już w 1940 r. Wysyłano tam głównie Żydów. W całym GG Żydzi pracowali niewolniczo przy rozmaitych projektach, a w tym odśnieżaniu, pracach melioracyjnych, czy budowie dróg.

W tym kontekście jasne jest, że niemal idylliczny wizerunek getta kreowany przez Kurek jest po prostu fałszywy. Podkreślmy jednak mocno: nie jest to jednak wynikiem świadomych kłamstw czy złej woli autorki, a jedynie oparcia się na bardzo ubogiej bazie źródłowej. Odbija się to na jakości całej pracy.

Współkaci

Weźmy rozdział „Żydzi-kaci żydowskiego narodu.” Autorka zastanawia się, jaki procent był „katami”, jaki był ich profil społeczny, oraz co uzyskali za współudział w eksterminacji.

Kurek powtarza za Ringelblumem, Władysławem Szpilmanem oraz za kroniką getta w Łodzi, że na przykład policjanci żydowscy wywodzili się z zamożnej inteligencji.⁷ Ale czy tak samo było na prowincji? W innych miastach poza Łodzią i Warszawą? Badania własne pokazują, że niekiedy tak, a niekiedy nie. Bez całościowych badań regionalnych trudno powiedzieć. Warto jest partykularyzować. To pierwszy krok niezbędny przed powstaniem każdej syntezy. Lecz odradzamy generalizowanie na podstawie wysoce subiektywnych opinii pojedynczych źródeł.

W każdym razie na podstawie garstki przekazów Kurek doszła do wniosku, że „6–10% ogółu ludności żydowskiej pełniło rolę katów – co najmniej 1/3 lub, co bardziej prawdopodobne, nawet 2/3 żydowskich inteligentów (adwokatów, lekarzy, urzędników itp.) pełniło rolę katów własnego narodu” (s. 144). To jest prowokacyjna teza. Nie zgadzają się z nią nie tylko odruchowi wrogowie przykładania tej samej miary do Żydów i chrześcijan, jak apologetka żydowskich kapo Hana Jablonka, ale również raczej solidni znawcy tematu, jak Isaiah Trunk. Szczególnie ten ostatni kreśli bardziej zniuansowany obraz kierownictwa żydowskiego.

Co do pytania o korzyść z kolaboracji, odpowiedź na nie również udziela Trunk. Jego badania pokazują, że tzw. prominentom udało się przeżyć znacznie częściej niż prze-

ciężnemu Żydowi. Trunk szacuje, że przeżyło 25% policjantów żydowskich, oraz około 12% członków Judenratów.⁸ Takie szczęście wśród przeciętnych ludzi miało około 5% Żydów. Czyli kolaborant miał wymierne korzyści ze swojej postawy nie tylko do 1942 r. Kurek o tym nie wie. Brak znajomości źródeł oraz publikacji naukowych odbija się też w innych kwestiach.

Polacy i Żydzi

Przemyślenia autorki na temat stosunków polsko-żydowskich są raczej solidne. Są też samorodne. Na przykład, historyczka słusznie twierdzi, że „warunkiem koniecznym do uratowania polskiego Żyda było podjęcie przez niego decyzji o szukaniu wśród Polaków ratunku” (s. 175). Ale przecież pisał o tym obszernie już Gunnar S. Paulsson. Po co wywajać otwarte drzwi?

Natomiast należy autorkę pochwalić za powtórzenie niepopularnej dziś opinii, która była niewypowiedzianym *constans* w dyskursie o ratowaniu Żydów, gdy dominował w nim „europejski aparat pojęciowy” (s. 173). Mianowicie prostą prawdą jest, że „narażanie własnego życia i życia swojej rodziny dla ratowania życia drugiego człowieka jest decyzją, której nikt nie ma prawa wymagać od nikogo” (s. 186). Co więcej, Kurek odnosząc się do tej tradycji nieświadomie usprawia wprowadzone przez Paulssona pojęcia argumentując, że:

373

Żydowskie uwarunkowania ratunku życia polskich Żydów w okupowanej przez Niemców Polsce sprowadzają się zatem do: sfery psychologicznej (utrata wiary w niemieckie i żydowskie władze, bunt przeciwko ich rozporządzeniom i odrzucenie stereotypu Polaka Hamana), społecznej (znajomość polskiego języka i posiadanie wśród Polaków przyjaciół) i materialnej (wyglądu, obrzezania w wypadku mężczyzn i zasobów finansowych). Innymi słowy mówiąc, aby Polak mógł podjąć wysiłek ratowania życia Żyda, Żyd musiał porzucić łatwowierność i posłuszeństwo wobec rozporządzeń władz niemieckich i żydowskich, a następnie odrzuciwszy oparty na stereotypach lęk, podjąć decyzję o opuszczeniu żydowskiej autonomii (getta) i szukaniu ratunku wśród Polaków, wyrażając tym samym wolę ratowania własnego życia (s. 194).

Opuszczenie gett nie było łatwe bowiem „autonomia żydowska z różnych względów była dla nich idealną formą żydowskiego życia w diasporze oraz realizacją przedwojennych politycznych marzeń, a środowisko Żydów jedynym, jakie znali, i w jakim potrafili sprawnie funkcjonować” (s. 211). Z tym można polemizować. Przecież ludność żydowska funkcjonowała bardzo sprawnie na polu komercyjnym w każdym środowisku, nie tylko swoim.

Dalej Kurek ciekawie argumentuje, że „przyczyną dla której Polacy nie brali udziału w represjonowaniu i zagładzie polskich Żydów, nie była solidarność z narodem żydowskim, lecz własny interes narodowy i zakodowane normy postępowania wobec propozycji składanych przez wrogów Polski” (s. 196). Kurek przyznaje jednak, że były wyjątki. Na przykład,

potępia zbrodnie na Żydach w Jedwabnem i innych miejscowościach Łomżyńskiego i Białostoczczyzny, ale twierdzi, że ich powodem było, że „Polacy w okrutny sposób odreagowali na ludności żydowskiej zarówno własne cierpienia z lat sowieckiej okupacji 1939–1941, jak i udział Żydów w ustanowieniu bolszewickich porządków” (s. 182). Oznacza to, że Kurek odrzuca tezę Jana Tomasza Grossa. Zgadza się z prof. Tomaszem Strzemboszem. Ale z bibliografii wynika, że autorka nie zna późniejszych opracowań dotyczących tych masakr. Na ile więc uprawnione jest twierdzenie o zemście Polaków na „żydokomunie”? Z badań własnych wynika, że ten czynnik był zupełnie drugorzędny w zrozumieniu dynamiki masakr antyżydowskich w lato 1941 r.

Spójrzmy teraz na przemyślenia Kurek związane z działalnością Polaków, która dotykała w różny sposób Żydów. Tutaj autorka jest na znacznie bardziej solidnym gruncie; zna źródła; orientuje się dobrze w dyskursie; jest raczej logiczna w swojej argumentacji.

Zacznijmy o stosunku podziemia polskiego do Żydów. Według autorki, instytucjonalna kolaboracja mniejszości narodowych spowodowała, że Polacy wykluczyli nie-Polaków z naszego podziemia. Zastosowali wobec nich zasadę kolektywną, taką jak stosowali indywidualnie wobec kolaborantów polskich. „Trzy pierwsze lata drugiej wojny światowej ugruntowały zatem wśród Polaków przekonanie, że w walce o wolność nie mogą liczyć na wsparcie mieszkających na polskich ziemiach Białorusinów, Ukraińców i Żydów, a ich obecność w szeregach konspiracyjnych struktur podziemnego państwa stwarza więcej zagrożeń niż korzyści. Skutkiem tego Polskie Państwo Podziemne w roku 1942 w sensie etnicznym było strukturą niemal jednorodnie polską” (s. 136). Jest to ocena do pewnego stopnia uprawniona.

Dalej Kurek koncentruje się na rozmaitych postawach Polaków wobec Żydów. Celnie zauważa, że

Szmalcownictwo i zbrodnie wskazywania Niemcom żydowskich kryjówek tworzą listę najcięższych polskich grzechów wobec mordowanych polskich Żydów.... Nie wolno jednak... fałszować historii rozpowszechnianiem tezy, że szantaże i donosy na ukrywających się Żydów były powszechną normą wśród Polaków, a ich jedynym źródłem był antysemityzm.

Przypisywanie antysemickich pobudek ludziom, którzy dla przyjemności lub dla pieniędzy wydawali Niemcom polskich Żydów (tak zresztą, jak wydawali Polaków czy Sowieców), jest wielkim nieporozumieniem i obrażą polskich antysemitów. Polscy antysemita bowiem nie mieli nic wspólnego z zagładą (s. 233)....

Polscy antysemita zachowywali się różnie. Jedni poprzez konkretne działania dawali wyraz solidarności z represjonowanym i mordowanym narodem żydowskim; większość przez całą wojnę pozostawała obojętna wobec spraw żydowskich; niektórzy nie uczestniczyli wprawdzie w zagładzie Żydów ani ich nie ratowali, ale nie współczuli i pod koniec ukuli powiedzenie, że ‘Hitlerowi należy się piątka za to, że uwolnił Polskę od Żydów.’ Dlatego tylko przy sporym wysiłku i ogromie dobrej woli nieznanymi źródłami historycznymi udaje się tłumaczyć tych wszystkich żydowskich historyków, którzy od

dziesięcioleci usiłują zrównać w randze i wartościach antysemityzm polski i antysemityzm niemiecki, który doprowadził do śmierci 6 milionów Żydów (s. 225–226).

Podkreślmy, że to nie „żydowscy historycy” tylko prawie wszyscy intelektualiści zachodni rutynowo uznają antysemityzm polski za równy niemieckiemu. Więcej, coraz częściej wymienia się po prostu Polaków jako równych „nazistom” (którzy nie mają narodowości). Polacy są rzekomo kolektywnie współsprawcami i współodpowiedzialnymi za Holokaust.

W kontraście do obowiązujących na Zachodzie dogmatów, Kurek natomiast doszła do wniosku, że o kolaborację w ludobójstwie można kolektywnie oskarżyć kierownictwo żydowskie. Polacy zaś za zbrodnie odpowiadają indywidualnie.

O ile... współpraca Polaków z Niemcami miała charakter indywidualny, bowiem szmalcownicy, tropiciele ukrywających się Żydów itp. nie reprezentowali zdecydowanie potępiającego ów proceder Polskiego Państwa podziemnego ani żadnej innej instytucjonalnej formy funkcjonującej w polskim społeczeństwie (np. Kościoła Katolickiego), o tyle współpraca polskich Żydów z dokonującymi zagłady narodu żydowskiego Niemcami miała charakter instytucjonalny, to znaczy, od początku do końca prowadzona była na rozkaz i za pozwoleniem funkcjonariuszy żydowskich prowincji autonomicznych w Polsce (s. 237)... Pojedynczy Polacy są winni współuczestnictwa w zbrodni, zaś cały naród ponosi odpowiedzialność za nie uczynienie wszystkiego, co w jego mocy, aby zapobiec dokonanej na Żydach zbrodni ludobójstwa. W wypadku narodu polskiego, w świetle obowiązującego Polaków w czasie drugiej wojny światowej niemieckiego prawa, uczynienie wszystkiego, co w jego mocy dla ratowania Żydów znaczyło oddanie za nich życia (s. 238).

375

Aby zilustrować swój argument autorka wylicza, że na 16 milionów dorosłych Polaków między 400 tys. a 1.7 miliona osób pomogło ocalić między 40 tys. a około 170 tys. Żydów. „W uratowanie życia jednego polskiego Żyda zaangażowanych było przeciętnie około 10 Polaków” (s. 231). Jednocześnie jednak historyczka otwarcie przyznaje, że „ci Polacy, którzy ratowali polskich Żydów, bez względu na ich ostateczną liczbę nie zmieniają rzeczywistości: Żydzi w czasach drugiej wojny światowej znaleźli się poza granicami solidarności Polaków” (s. 233). Nie miało to jednak nic wspólnego z współsprawstwem, a raczej z zaniechaniem. Ewa Kurek bowiem słusznie argumentuje, że Polacy byli w większości pasywni, a nie indyferentni w stosunku do mordowanych Żydów. Jest w tym wielka różnica:

Dominująca wśród Polaków postawa bierności wobec zagłady została przez Żydów nazwana obojętnością (choć bierność nie jest równoznaczna z obojętnością), i stała się podstawą do formułowania pod adresem Polaków różnorodnych oskarżeń... **Polska bierność nie była skazywaniem Żydów**

na śmierć i nie była mordowaniem polskich Żydów, bo Żydów zabijali Niemcy – była dramatycznym wyborem własnego życia i życia swoich rodzin... [wytluszczenie w tekście EK]. Polacy nie mieli obowiązku poświęcać polskiego życia dla ocalenia życia żydowskiego.... Postawa bierności Polaków wobec mordowanych polskich Żydów, aczkolwiek zgodna z prawem i religią żydowską, wchodzi w kolizję z chrześcijańskimi ideałami. Najważniejszy to miłość bliźniego, aż po oddanie za niego życia (s. 227–228).

W zasadzie co do powyższego Kurek ma rację. Zalecamy jednak ostrożność w uprawianiu teologicznej komparatystyki bez dogłębnych studiów nad judaizmem.⁹ Oprócz tego feleru, niestety są też inne w części pracy poświęconej postawom polskich chrześcijan wobec Holokaustu. Na przykład Kurek twierdzi, że „karuzela pod murami warszawskiego getta kręciła się naprawdę” (s. 231). Ale źródła twierdzą, że było odwrotnie. Jest to bardzo ważny szczegół, bowiem dzięki licencji poetycznej Czesława Miłosza urósł on do miary symbolu ilustrującego rzekomo radość albo przynajmniej indyferencję Polaków wobec tragedii Żydów.

Co ważniejsze jednak, męczą uogólnienia autorki o narodzie polskim: „Polacy nie bali się podziemia i podziemnych gazetek” (s. 135). Ludzie zwykle boją się, chyba, że są psychopatami. Sztuką jest bać się i mimo tego robić, co jest słuszne. Ale rozszyfrowując takie uogólnienia wydaje się, że dla Ewy Kurek Polak jest synonimem patrioty. Cieszy więc, że uznaje ona etyczne, a nie etniczne określenie polskości. Szkoda, że nie wyartykułowała tego wprost. Może, podobnie jak niektórych innych spraw w tej pracy, historyczka nie przeżyła tego do końca.

Chyba najbardziej nieprzemyślaną wypowiedzią jest opinia autorki, że „nie jest już jednak tak pewne, czy bez pomocy Żydów Niemcy zdołaliby zrealizować plan zagłady narodu żydowskiego, czyli zdołali tę ludność wysiedlić” (s. 160). To przecież z gruntu fałszywa konkluzja. Przecież każda władza państwowa, o ile ma wolę, środki, siłę i bezwzględność napędzaną ideologią nienawiści jest w stanie wprowadzić w życie każdy, nawet najbardziej szalony plan. Naturalnie plan ten nie musi być wypełniony w 100%, a rezultaty mogą odbiegać od zamierzeń. Jednak dzieje reżimów totalitarnych pokazują, że masowe mordy są jedną z najłatwiejszych spraw do przeprowadzenia (vide Sowiety, Chiny, Kambodża). To prawda: współudział żydowskich kolaborantów znacznie ułatwił robotę nazistom. Ale niemieccy narodowi socjaliści wymordowaliby Żydów tak czy owak. Jest to tak jasne, że frustrującą staje się konieczność jej powtarzania. Godzić się z opinią Kurek w tym względzie można tylko wtedy chyba, gdyby ktoś chciałby bronić tezy – ostatnio modnej na Zachodzie – że bez „polskich kolaborantów” nie byłoby „polskich obozów koncentracyjnych”, a więc nie byłoby Holokaustu.

Reinterpretacja

Powtórzmy: praca Kurek to esej reinterpretacyjny, do dużego stopnia politycznie niepoprawny, oparty na bardzo wąskiej bazie źródłowej. Pierwsza część nie jest ani odkrywczą, ani nowatorską. Mówi o tym, że – mimo tysiącletniej obecności na tej ziemi – związki

łącznie Żydów z Polską były słabe. Społeczność ta trzymała się osobno. Zarówno tradycja, jak i religia żydowska były anty-chrześcijańskie. Autorka skupia się na Żydach religijnych, wywodzi od nich swoją teorię o „żydowskich autonomicznych prowincjach”. Miały być one stworzone na kształt żydowskich autonomii przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Ale analogia ta ma ograniczone zastosowanie.

Kurek bowiem nie bierze pod uwagę wpływów nowoczesności na społeczność żydowską. Ignoruje fakt, że oprócz rzeszy Żydów religijnych i garstki asymilatorów, były całe szeregi Żydów w marszu do nowoczesności. Wybrali oni drogę nacjonalizmu czy socjalizmu, a głównie kombinację tych ideologii, także w formie rozmaitych odmian syjonizmu.

Dobrze, że Ewa Kurek podniosła sprawę kolaboracji – zarówno Żydów jak i Polaków. Szkoda jednak, że nie zdefiniowała zjawisk kolaboracji, oporu, czy dostosowania się. To jest wielki mankament metodologiczny. Główną zasługą autorki jest jednak to, że poszybowała ponad prymitywne stereotypy oraz oparła się syreniemu śpiewowi politycznej poprawności. Autorka uniknęła tak charakterystycznego dla wielu myślenia stadnego. Jest to praca wyjątkowa właśnie dlatego, że historyczka poszybowała wysoko poza szablony.

Nie u Ewy Kurek szukać modnego obecnie u wielu naukowców w Polsce powielania ułomnych teorii i żenujących klisz, które powstały na Zachodzie w okresie Zimnej Wojny, gdy dostępnych tam materiałów nie można było weryfikować w polskich archiwach, a kazirodczo powtarzane przez zachodnich historyków tezy nie trafiały pod lupę fachowych polemik badaczy znających zasoby polskich archiwów, do których przecież z powodu komunistycznego totalitaryzmu nie było przez pół wieku dostępu.

Miejmy więc nadzieję, że recenzowana tutaj praca Ewy Kurek jest tylko krótką syntezą, opublikowaną w celu wywołania debaty wokół tak drażliwego tematu, jakim są stosunki polsko-żydowskie, a szczególnie kwestia kolaboracji. Oczekujemy, że historyczka wnet przeprowadzi korektę swoich tez w świetle powyższej krytyki oraz wypuści swoje *opus magnum*, gdzie w przypisach i bibliografii ujawni wszelkie źródła, które doprowadziły ją do tak politycznie niepoprawnych i często kontrowersyjnych konkluzji.

Przypisy:

¹ Niniejsza krytyczna recenzja monografii Ewy Kurek oparta jest na badaniach własnych stosunków polsko-żydowskich opublikowanych między innymi w: Marek Jan Chodakiewicz, *Polacy i Żydzi, 1918–1955: Współistnienie, Zagłada, Komunizm* (Warszawa: Fronda, 2000, drugie wydanie 2005); Marek Jan Chodakiewicz, red., *Ejszyszki: Kulisy zająć w Ejszyszkach: Epilog stosunków polsko-żydowskich na Kresach, 1944–45: Wspomnienia-dokumenty-publicystyka, 2 tomy* (Warszawa: Fronda, 2002 [2003]); Marek Jan Chodakiewicz, *Between Nazis and Soviets: Occupation Politics in Poland* (Lanham, MD: Lexington Books, 2004); Marek Jan Chodakiewicz, *After the Holocaust: Jewish-Polish Conflict in the Wake of World War II* (New York and Boulder, CO: Columbia University Press and East European Mono-

graphs, 2003); Marek Jan Chodakiewicz, *The Massacre in Jedwabne, July 10, 1941: Before, During, After* (New York and Boulder, CO: Columbia University Press and East European Monographs, 2005). Kierujemy czytelnika do tych publikacji w celu dalszego zgłębienia tematu.

² Warto zacząć choćby od Hanna Volovici et al., eds., *Sources on Polish Jewry at the Central Archives for the History of the Jewish People* (Bergenfield, NJ: Avotaynu Foundation, 2004); Relacje z czasów Zagłady: Inwentarz: Archiwum ZIH IN-B, zespół 301, 3 tomy: Nr. 1-3000; Holocaust Survivor Testimonies: Catalogue: Jewish Historical Institute Archives, Record Group 301, 3 vols.: 1-3000 (Warszawa: Żydowski Instytut Historyczny, Instytut Naukowo-Badawczy, 2000–2002).

³ Isaiah Trunk, *Judenrat: The Jewish Councils in Eastern Europe under the Nazi Occupation* (Lincoln: University of Nebraska Press, 1996); Gunnar Paulsson, *Secret City: The Hidden Jews of Warsaw, 1940–1945* (New Haven: Yale University Press, 2002); Barbara Engelking Boni i Jacek Leociak, *Getto Warszawskie: Przewodnik po nieistniejącym mieście* (Warszawa: IFiS PAN, 2001).

⁴ Zob., Salo W. Baron, *A Social and Religious History of the Jews*, 20 tomów (zaplanowano 27 tomów) (New York: Columbia University Press, 1952–1983); M.J. Rosman, *The Lord's Jews: Magnate-Jewish Relations in the Polish-Lithuanian Commonwealth During the Eighteenth Century* (Cambridge, Mass.: Harvard University Press, 1993); Majer Bałaban, *Studia historyczne* (Warszawa: M.J. Fried, 1927); Majer Bałaban, *Dzieje Żydów w Galicyi i w Rzeczypospolitej Krakowskiej, 1772–1868* (Lwów: Nakładem Księgarni Polskiej B. Polonieckiego, 1914) (wyjątkowo ta ostatnia praca jest znana Ewie Kurek).

⁵ Zob. Eugene Weber, *Peasants into Frenchmen: The Modernization of Rural France, 1870–1914* (Stanford, CA: Stanford University Press, 1976).

⁶ Dzieje stosunku Żydów do chrześcijan pochodzenia żydowskiego są jedną z białych plam w historii II wojny światowej i zasługują na osobne opracowanie.

⁷ Sprawę tę badała na przykładzie Warszawy Aldona Podolska, *Służba Porządkowa w getcie warszawskim w latach 1940–1943* (Warszawa: Wydawn. Fundacji „Historia pro Futuro”, 1996), której pracy Kurek niestety nie zna.

⁸ Trunk, *Judenrat*, 490–92.

⁹ Szkoda, że autorka oparła się w swoim wywodzie teologicznym zaledwie na *Encyclopedia Judaica*. Warto odnieść się przede wszystkim do Maimonides, *Mishneh Torah: Hilchot Melachim U'Milchamateihem: The Laws of Kings and Their Wars*, tłum. i red. Rabbi Eliyahu Touger (New York and Jerusalem: Moznaim Publishing Corporation, 1987).

Marek Wierzbicki

Historyk w roli detektywa

_____Marek Jan Chodakiewicz, *The massacre in Jedwabne. July 10, 1941.* _____
Before, During, After (New York: Columbia University Press, 2005) _____

Historyk Marek Jan Chodakiewicz, doktor historii, profesor w *Institute of World Politics* w Waszyngtonie napisał monografię zbrodni w Jedwabnem. Nie jest to pierwsza praca tego autora z tej problematyki. Kilka lat wcześniej opublikował monumentalną monografię stosunków polsko-żydowskich w XX wieku pt. *Żydzi i Polacy 1918–1955. Współistnienie-Zagłada-Komunizm* (Warszawa: Fronda, 2000). Ta praca (mocno atakowana przez część historyków) – choć nie tylko ona¹ – postawiła go w gronie najlepszych znawców tej skomplikowanej problematyki. Monografia zbrodni jedwabińskiej była bez wątpienia jeszcze trudniejszym wyzwaniem, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że naukowa i społeczna debata wokół tego wydarzenia z 2001 roku zarysowała nowe, dodajmy w dużej mierze sztuczne, podziały w polskim, i nie tylko polskim, środowisku historycznym, na zwolenników i przeciwników poglądów Jana Tomasa Grossa. Należy zgodzić się z poglądem Chodakiewicza, że podczas tej publicznej dyskusji wielu historyków deklarowało się po „tej lub tamtej stronie barykady” nie dysponując głębszą wiedzą na ten temat. Na ich wybory wpływały wówczas emocje, światopogląd, osobiste sympatie i antypatie. Dopiero po zakończeniu debaty przyszedł czas na spokojne, długofalowe badania historyczne, które miały przynieść odpowiedź na pytanie: „kto zamordował jedwabińskich Żydów 10 lipca 1941 roku”?

379

Praca M.J. Chodakiewicza jest jednym z efektów kilkuletnich prac badawczych prowadzonych nad tym tematem przez historyków w Polsce i za granicą. Została skonstruowana w sposób umożliwiający optymalne przeanalizowanie wszystkich aspektów zbrodni w Jedwabnem. Autor podzielił swoją książkę na dwie zasadnicze części. W pierwszej opisał kontekst zbrodni, ukazując relacje polsko-żydowskie poprzez specyfikę funkcjonowania, a właściwe koegzystencji „małego miasteczka” i „sztetla” w okresie międzywojennym, podczas kampanii wrześniowej oraz okupacji sowieckiej. Przedstawił też okoliczności zbrodni w Jedwabnem, a także dalszy przebieg okupacji niemieckiej, a następnie rządów komunistycznych po wkroczeniu Armii Czerwonej w 1945, koncentrując się na zagadnieniu walki różnych nurtów polskiego podziemia z narzuconą z zewnątrz władzą. Dzięki temu zabiegowi ukazał warunki, w jakich przyszło żyć mieszkańcom Jedwabnego w trudnym okresie lat 1936–1949, umożliwiając czytelnikowi zrozumienie kontekstu stosunków polsko-żydowskich na tym terenie. W drugiej części książki znalazły się informacje na temat procesu mieszkańców tego miasteczka, oskarżonych w 1949 r. o mord na swoich żydowskich sąsiadach, jak również analiza wiarygodności źródeł polskich i żydowskich dotyczących tej kwestii, ze szczególnym uwzględnieniem zeznań złożonych w czasie

śledztwa i procesu przez Polaków i Żydów oraz relacji mieszkańców miasteczka. Autor szczegółowo omówił też wyniki badań kryminologicznych, będących owocem kilku ekspedycji na miejsce zbrodni, a szczególnie ekshumacji przeprowadzonej latem 2001 r. Opisał także przebieg debaty toczonej w mediach i w środowisku naukowym, nie tylko w Polsce, ale również (i to jest szczególnie cenne, a polskiemu czytelnikowi mało znane) za granicą. Rozważania kończy rozdział podsumowujący, zawierający wnioski autora, a ponadto dwa załączniki zawierające listę artykułów poświęconych zbrodni jedwabieńskiej w prasie krajowej i zagranicznej. Całość uzupełnia bibliografia najważniejszych źródeł i pozycji literatury przedmiotu. Natomiast rzuca się w oczy brak indeksów: nazwisk i miejscowości.

Pisząc niniejszą książkę M. J. Chodakiewicz postawił sobie kilka celów. Po pierwsze, postanowił jeszcze raz zbadać dzieje zbrodni w Jedwabnem, próbując odpowiedzieć sobie na zasadnicze pytanie: „czy Jan T. Gross w sposób prawidłowy opisał jej okoliczności i czy wnioski płynące z lektury „Sąsiadów” były słuszne?” Tak więc głównym celem pracy Chodakiewicza było znalezienie odpowiedzi na jakże ważne pytanie: „jak było?”, a następnie skonfrontowanie ustalonych faktów z uproszczonym – jego zdaniem – obrazem stosunków polsko-żydowskich, jaki funkcjonuje w intelektualnych i naukowych kręgach w USA. Jest to więc książka w dużej mierze skierowana do czytelnika amerykańskiego lub przynajmniej mieszkającego na Zachodzie, który na co dzień spotyka się z obiegowymi opiniami na temat „polskiego antysemityzmu” i „polskiej współodpowiedzialności za Holocaust”. Poprzez ustalenie lub chociażby zbliżenie do obiektywnej prawdy, autor chce, aby jego praca przyczyniła się do wznowienia procesu pojednania polsko-żydowskiego, poważnie zahamowanego na skutek niekorzystnego wrażenia, wywołanego tezami książki J. T. Grossa.

Chodakiewicz koncentruje się na dyskusji z zasadniczymi tezami „Sąsiadów” dotyczącymi przebiegu i kontekstu zbrodni w Jedwabnem. Słusznie wykazuje znaczne uproszczenia, jakie napotykamy w tej książce, jak chociażby pominięcie kontekstu okupacji sowieckiej i niemieckiej, które sprawiło, iż wydarzenia w Jedwabnem stały się w dużej mierze niezrozumiałe dla czytelnika. Należy zgodzić się ze stwierdzeniem Chodakiewicza (a pominiętym przez Grossa), że przemoc wobec Żydów, jaka ujawniła się po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej (22 czerwca 1941 r.) przebiegała w dwóch, w zasadzie niezależnych od siebie falach. Pierwsza nastąpiła po ucieczce Sowietów, w okresie „próżni”, kiedy nie funkcjonowała żadna władza i miała charakter spontanicznych wystąpień miejscowej ludności przeciwko sowieckim kolaborantom lub osobom uznanym za kolaborantów, niezależnie od ich narodowości (choć najczęściej atakowano Żydów). Druga fala była zaś związana z działaniami niemieckiej policji bezpieczeństwa, która mniej więcej od początku lipca 1941 r. realizowała wytyczne Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), polegające głównie na dyskretnym inspirowaniu bądź nawet organizowaniu pogromów na Żydach. To właśnie dlatego do tego rodzaju zbrodni, realizowanych w uderzająco podobny sposób, dochodziło wówczas w wielu miejscowościach regionu łomżyńskiego i zachodniej Białostoczczyzny. W świetle tej wiedzy staje się zrozumiałe, dlaczego tuż przed masakrą do Jedwabnego przybyło komando gestapo, które najprawdopodobniej wydało dyspozycje

miejscowym żandarmom niemieckim i polskim kolaborantom pracującym w niemieckiej administracji okupacyjnej najniższego szczebla. Autor słusznie podkreśla, że mord w Jedwabnem nie był klasycznym pogromem, do jakich dochodziło wcześniej na tych i innych terenach, wykazując, że był to masowy mord, który wymagał zaangażowania aparatu państwa okupacyjnego oraz organizacji i zaplanowania, nieobecnego w czasie spontanicznych wystąpień ludności.² Nie zgadza się dlatego z opinią Grossa, który napisał, że zbrodnia jedwabieńska była spontanicznym dziełem miejscowej, polskiej społeczności, owej „polskiej połowy miasteczka”, która wykorzystwała okazję do wymordowania swoich sąsiadów-Żydów, czyli „żydowskiej połowy miasteczka”. Znacznie lepszą okazję po temu miała ona przecież w ostatniej dekadzie czerwca, kiedy anarchia wojenna sprawiła, że w Jedwabnem nie istniała żadna władza okupacyjna, zaś rządy sprawowały samozwańcze, powstające ad hoc Straże Obywatelskie. Należy też zgodzić się z opinią Chodakiewicza, że ostro zarysowane tezy „Sąsiadów” zostały oparte o bazę źródłową wątpliwej jakości. Trudno bowiem bez zastrzeżeń uznać, że zeznania świadków i oskarżonych w procesie łomżyńskim z 1949 r. (notabene składane pod presją śledczych z Urzędu Bezpieczeństwa) oraz relacje żydowskich świadków, z których praktycznie żaden nie widział zbrodni na własne oczy, są wystarczające do wyprowadzenia radykalnej tezy, z jaką mamy do czynienia w książce J. T. Grossa.

Jaki zatem był rzeczywisty przebieg tej zbrodni? Autor nie formułuje kategori-
cznych sądów i opinii, co nawet może rozczarować czytelnika, oczekującego, że właśnie ta
książka przyniesie rozstrzygnięcie tej kontrowersyjnej kwestii. Moim zdaniem, ów brak
jednoznaczności jest w tym wypadku bardziej zaletą niż wadą niniejszej książki. Autor
wyraźnie, a zarazem uczciwie, pokazuje, iż mimo kilkuletnich badań wiedza historyka jest
wciąż ograniczona i że nie można precyzyjnie odtworzyć przebiegu tej ponurej zbrodni.
Nie oznacza to, że w tej książce nie znajdziemy jednoznacznych opinii. Najważniejsza do-
tyczy tego, kto dokonał zbrodni na Żydach z Jedwabnego. W oparciu o dostępną bazę źró-
dłową oraz analizę wydarzeń Chodakiewicz dochodzi do wniosku, że sprawcami zbrodni
byli Niemcy, zaś ich pomocnikami nieduża grupa – jak ich określa – „polskich kolaboran-
tów”. Swoje przekonanie opiera na tym, że uważny obserwator może bez trudu zauważyć,
iż, wbrew opinii J. T. Grossa, rola Niemców wykraczała dalece poza „robienie zdjęć” i bier-
ne przyglądanie się działaniom polskich zbrodniarzy. Chodakiewicz słusznie dowodzi, że
w rzeczywistości tylko Niemcy mogli zaplanować taki rodzaj zbrodni (istnieją dowody, że
palenie ludzi w budynkach żywcem podczas II wojny światowej było bez wątpienia autor-
skim pomysłem niemieckich nazistów, co zresztą wykazał w niniejszej książce) i ją zrealizo-
wać, używając do tego celu zachęty, przymusu i ludzi znajdujących się w strukturach władz
okupacyjnych. Tu powstaje jednak pytanie, czy autor nie popada w sprzeczność, bowiem
równocześnie podkreśla, że nie ma dowodów pozwalających na stwierdzenie, iż Niemcy
znajdowali się przy stodole, w której palono Żydów. Skoro nie ma na to dowodów, więc
nie powinno być też pewności, że rola Niemców była aż tak duża, zaś rola Polaków – tak
mała. Teoretycznie możliwy był przecież scenariusz, podobny do tego, jaki zrealizowano
w nieodległym Radziłowie, gdzie komando policji niemieckiej zainicjowało i zorganizowało

wało pierwszy etap mordu, lecz później opuściło miasteczko pozostawiając spalenie radziłowskich Żydów grupie miejscowych Polaków. Podobny (choć nie identyczny) scenariusz został uznany za najbardziej zbliżony do prawdy przez prowadzącego śledztwo w sprawie zbrodni w Jedwabnem z ramienia IPN, prokuratora Radosława Ignatiewa, który podkreślał sprawstwo kierownicze Niemców i bezpośrednio – oraz wyłączne – zaangażowanie miejscowych Polaków podczas dokonania mordu. W niniejszej książce zabrakło odniesienia autora do wyników tego śledztwa, co należy uznać za brak, gdyż ułatwiłoby czytelnikowi zorientowanie się, która z wersji wydarzenia była najbardziej prawdopodobna.

Należałoby również zapytać, czy autor słusznie ograniczył rolę Polaków w tej zbrodni do udzielania pomocy rzeczywistym zbrodniarzom, czyli Niemcom przez niewielką grupkę kolaborantów, podkreślając przy tym zastraszanie większości mieszkańców oraz pomoc udzielaną Żydom przez niektórych polskich mieszkańców miasteczka. Autor argumentuje m. in. że gdyby większa grupa Polaków znalazła się przy samej stodole, w której palono Żydów, to społeczność Jedwabnego wiedziałaby, gdzie dokładnie zamordowano i pochowano pierwszą grupę ofiar, złożoną z młodszych i silniejszych mężczyzn (do czasu ekshumacji w 2001 r. uważano, że zostali zamordowani i pogrzebani na żydowskim cmentarzu, w rzeczywistości stało się to w samej stodole, gdzie wykopano dół). Nie ma jednak racji, albowiem w małej społeczności, jaką było Jedwabne w czasie II wojny światowej wystarczyłby nawet jeden świadek, żeby wieść o zdarzeniu rozeszła się po całym miasteczku. Błędne przekonanie mieszkańców miasteczka w kwestii miejsca śmierci i pochówku pierwszej grupy ofiar nie może zatem stanowić dowodu potwierdzającego opinię, że liczba polskich uczestników zbrodni była niewielka, zaś dominowali w tej grupie Niemcy. Natomiast słuszny wydaje się wprowadzony przez autora podział populacji mężczyzn – Polaków zaangażowanych w czasie różnych etapów mordu na kilka grup w zależności od stopnia zaangażowania i przejawianej woli uczestnictwa w zbrodni. Dokonując takiego podziału otrzymujemy liczbę 40–50 mężczyzn zaangażowanych od początku do końca zbrodni, co zbiega się z wynikami śledztwa IPN-u. Należy przypuszczać – tu zgadzam się z autorem – że chętnych i aktywnych morderców mogłoby być ok. 20, co jednak nie pozwala na zwolnienie z odpowiedzialności z udziału w zbrodni pozostałych 20–30.

Najmniej wiemy o postawie świadków zbrodni, co daje pole do różnych interpretacji, z reguły opartych na przekonaniach własnych historyków, a nie źródłach historycznych. Na przykład Andrzej Żbikowski uważa, że większość świadków w pewnym sensie współuczestniczyła w zbrodni, odnosząc się wrogo lub obojętnie do maltretowanych Żydów.³ Chodakiewicz natomiast zakłada ich raczej pozytywne nastawienie, tłumacząc ich obecność przymusem okupanta i strachem. Trudno stwierdzić jednoznacznie jak naprawdę było, niemniej należy wziąć pod uwagę dwie okoliczności, które stawiają pod znakiem zapytania tę ostatnią opinię. Pierwsza z nich to stosunek Polaków do Żydów po zakończeniu okupacji sowieckiej, w którym dominowało uczucie niechęci, a niejednokrotnie nawet wrogości z powodu zaangażowania części z nich po stronie sowieckiego okupanta, wyrażanych jawnie prosowieckich sympatii lub zauważalnego awansu części społeczności żydowskiej, kontrastującego z dyskryminacją Polaków. Druga, to źródła żydowskie ukazujące stosunek

miejscowej ludności polskiej do prześladowanych Żydów. Należałoby tu wziąć pod uwagę przede wszystkim pamiętnik Chai Finkelsztein z Radziłowa, który jest moim zdaniem cennym, prawdopodobnie najważniejszym źródłem do dziejów stosunków polsko-żydowskich na tym terenie. Wynika z niego jednoznacznie, że część polskich świadków zbrodni (choć na pewno nie wiemy jak duża i na pewno nie wszyscy) z różnych powodów (np. z chęci zemsty za domniemany udział w zbrodniach sowieckich lub z żądzy rabunku mienia Żydów) przejawiała radość z powodu nieszczęścia żydowskich sąsiadów, a nawet starała się pomóc w realizacji poleceń niemieckiej policji.⁴ Podobnie jak M. J. Chodakiewicz uważam, że rola Niemców była znacznie większa niż to pokazał J. T. Gross, niemniej – moim zdaniem – brakuje dowodów, by stwierdzić jednoznacznie, że rola Polaków w tej zbrodni była aż tak minimalna.

Na uwagę zasługuje obszerna baza źródłowa (obejmująca źródła polskie, żydowskie, sowieckie i niemieckie oraz literaturę przedmiotu powstałą po obu stronach Atlantyku) i krytyczna, staranna analiza zgromadzonych źródeł. W ten sposób czytelnik może przekonać się z jak trudnym materiałem ma do czynienia badacz-historyk, który chciałby oddzielić przysłowiowe ziarno od plew. Szereg zeznań złożonych w śledztwach i w czasie rozpraw sądowych⁵, zawierało oczywiste sprzeczności. Podobnie sprzeczne ze sobą były niejednokrotnie relacje Żydów ocalałych z Zagłady lub relacje Polaków składane po ukazaniu się książki „Sąsiedzi” w 2000 r. Autor słusznie podkreślił, że większość ze świadectw złożonych po 2000 roku miała na celu bardziej obronę „dobrego imienia Polaków” niż ukazanie rzeczywistego obrazu wydarzeń, stąd nie ma większego waloru poznawczego. Autor nie unika też dyskusji z poglądami innych historyków lub opiniami zamieszczonymi w prasie popularnej, mozolnie odtwarzając obraz wydarzeń z 10 lipca 1941 r. W ten sposób jego praca zaczyna przypominać pracę detektywa, tym bardziej, że mamy tu do czynienia z prawdziwą, i dodajmy niezwykle okrutną i zagadkową, zbrodnią. Dzięki tym i wymienionym wcześniej zaletom, niniejsza książka staje się ważnym elementem dyskusji o charakterze i przebiegu zbrodni w Jedwabnem oraz o stosunkach polsko-żydowskich. Należy więc oczekiwać, że w niedalekiej przyszłości zostanie przetłumaczona na język polski, aby umożliwić szerszym kręgom czytelników zapoznanie się z jej treścią, zaś naukowcom dostarczyć materiału do dyskusji.

Przypisy:

¹ Por. np. M. J. Chodakiewicz, *After the Holocaust: Polish-Jewish conflict in the Wake of World War II* (New York: Columbia University Press, 2003); tegoż aut. *Between Nazis and Soviets: A case study of Occupation Politics in Poland, 1939–1947* (Lanham: Lexington Books, 2004).

² Autor nie napisał, że pierwszy wskazał na to Dariusz Stola w swoim artykule „Pomnik ze słów”, *Rzeczpospolita*, 1 i 6 czerwca 2001. Ten ważny z punktu widzenia dyskusji nad charakterem zbrodni w Jedwabnem artykuł został opublikowany w wersji angielskiej w czasopiśmie *Yad Vashem studies*, nr 30(2002). Wydaje się, że niesłusznie został pominięty w bibliografii do niniejszej książki.

³ Andrzej Żbikowski, *U genezy Jedwabnego. Żydzi na kresach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej wrzesień 1939–czerwiec 1941* (Warszawa: Żydowski Instytut Historyczny, 2006): s. 230.

⁴ Por. *Wokół Jedwabnego*, tom 2, Dokumenty, red. P. Machcewicz, K. Persak (Warszawa: IPN, 2002): s. 308–310.

⁵ W sumie odbyły się co najmniej trzy sprawy sądowe przeciwko domniemanym uczestnikom zbrodni w Jedwabne. Śledztwo było wznawiane kilka razy. Por. *Wokół Jedwabnego...*, dz. cyt., s. 415–862.

Peter D. Stachura

Polacy, Żydzi i polityczna poprawność

Robert Blobaum (ed.), *Antisemitism and Its Opponents in Modern Poland*
(Ithaca: Cornell University Press, 2005)

Pod koniec XIX wieku antysemityzm był wszechobecnym zjawiskiem, występował praktycznie we wszystkich krajach europejskich, chociaż jego najbardziej zajadłe przejawy miały miejsce we Francji (unaocznione przez aferę Dreyfusa), Niemczech, Rosji i Austro-Węgrzech. Z gruntu antysemitki partie polityczne, organizacje i pojedynczy demagogiczni politycy osiągnęli wpływy i złą sławę już przed rokiem 1914, otwierając drogę do dużo bardziej ekstremistycznych wystąpień w okresie międzywojennym.

Polska była więc tylko jednym z przykładów zgubnego podejścia, które znalazło swą makabryczną apoteozę w zorganizowanym przez nazistów holokauście ludności żydowskiej podczas drugiej wojny światowej.

Omawiana praca przedstawia rozwój i zmieniający się charakter antysemityzmu, jak również jego relatywną siłę i słabość oporu przeciw niemu w Polsce, poczynając od ostatnich dekad XIX w. aż po dzień dzisiejszy. Jak przyznaje we wstępie redaktor Robert Blobaum, nie ma bardziej skomplikowanego i kontrowersyjnego tematu w najnowszej historii Polski. Uczeni z USA i Polski, którzy są autorami 15 rozdziałów książki, uczestniczyli we wspólnym projekcie zapoczątkowanym w roku 2000 i stworzyli prace o zróżnicowanej wartości obejmujące różne aspekty stosunków polsko-żydowskich. Autorzy nie próbują wspólnie zaproponować pełnej oceny antysemityzmu w Polsce, podkreślając, że ich głównym celem jest otwarcie nowych obszarów badawczych poprzez odniesienie się do mało znanych, słabo zbadanych aspektów lub poprzez zaproponowanie nowych perspektyw i interpretacji. Stąd są tu omawiane po raz pierwszy: rola płci, seksualności i pojęcia dewiacji społecznej w kształtowaniu percepcji „inności” etnicznej i religijnej we współczesnej Polsce. Jednakże podstawową treścią tej książki jest debata na temat, jak najlepiej zdefiniować antysemityzm, związek między tradycyjną judofobią i bardziej współczesnymi formami ekspresji nienawiści, ponadto kwestia żydowskiej asymilacji w polskim społeczeństwie, natura osób indywi-

dualnych i skład grup, które aktywnie przeciwstawiały się antysemityzmowi w Polsce, wpływ stereotypowych przedstawień, powody i szersze znaczenie pogromów i innych form antyżydowskiej przemocy, społeczne i polityczne wymiary antysemityzmu oraz stosunek Kościoła katolickiego do antysemityzmu. Takie określenie tematyki pozostawia jednak dużą liczbę rzucających się w oczy merytorycznych i chronologicznych luk, jak rola żydowskich oponentów antysemityzmu, czy charakter oraz dynamika żydowskiej wspólnoty i jej instytucji w Polsce. Niestety, spójność z ogólnym trendem w historiografii stosunków polsko-żydowskich wykazuje pomijanie następstw żydowskiego antypolonizmu. Oznacza to, że temat książki we wszystkich rozdziałach jest nieuchronnie omawiany w ograniczonych i tendencyjnych ramach.

Jak dzieje się to w większości zbiorów artykułów różnych autorów, niniejsza pozycja ma nierówną wartość, poziom i oryginalność. Theodore R. Weeks, przypomina nam, że praktycznie nieistniejąca do czasu powstania styczniowego 1863 r. niechęć między Polakami i Żydami później stopniowo narastała wraz z rozwojem industrializacji, urbanizacji i masowej migracji, która nadwerżyła tradycyjne związki polsko-żydowskie i spowodowała oddzielny rozwój obu społeczności. Keely Stauter-Halsted podkreśla napięcia ekonomiczne, które skutkowały pogromami w Zachodniej Galicji w 1898 r., kiedy żydowscy lichwiarze i karczmarze zaczęli być postrzegani przez polskich chłopów jako wyzyskiwacze. Natomiast Jerzy Jedlicki wskazuje na rolę liberalnych i socjalistycznych intelektualistów, określonych jako „zżydzeni” (Jewified) Polacy, w walce z antysemityzmem przed pierwszą wojną światową.

385

Wydarzenia w II Rzeczypospolitej są badane mniej rzetelnie. Brian Porter, w formie podobnej jak w jego monografii *When Nationalism Began to Hate: Imagining Modern Politics in Nineteenth-Century Poland* (New York, 2000) „skalpuje” polski ruch nacjonalistyczny (endecję), a William H. Hagan błędnie określa śmierć około 150 Żydów we Lwowie w listopadzie 1918 r. jako pogrom, podczas gdy w rzeczywistości zostali oni zabici przez polskich żołnierzy jako bojownicy ukraińscy lub agenci bolszewicy. Hagan dodaje kuriozalną uwagę, że ten „epizod” był poprzednikiem dyskutowanej zbrodni w Jedwabnem – masakry Żydów z roku 1941. Niewiele od tego poziomu odbiega Szymon Rudnicki odgrzewający zdyskredytowane twierdzenie, że pewne elementy polskiego prawa uchwalone przez polski parlament (Sejm) w późnych latach 30. XX w. (które – co należy podkreślić – nie zostały wprowadzone w życie) miały charakter antysemitowski, a nie socjalno-reformistyczny. Do tych autorów przyłącza się Konrad Sadkowski krytykujący ogólnie Kościół katolicki i większość kleru za odgrywanie instrumentalnej roli w propagowaniu antysemityzmu, ze szczególnym uwzględnieniem Kościoła w diecezji lubelskiej w okresie przed rokiem 1939. Wtóruije im także Dariusz Libionka w studium na temat reakcji Kościoła na nazistowskie prześladowania Żydów w czasie drugiej wojny światowej – określając ją jako ograniczoną i nieskuteczną. Katherine R. Jolluck przedstawia niepocholebną opinię, jaką deportowane do ZSRS Polki miały o swoich niepatriotycznych (żydowskich) i prymitywnych (rosyjskich) towarzyszach niedoli. Uderzający brak równowagi i obiektywizmu w większości tych rozdziałów stanowi najmniej satysfakcjonujący element omawianej książki.

Spośród tekstów czterech autorów zajmujących się epoką powojenną najbardziej godne uwagi są argumenty Dariusz Stoli, który dowodzi, że antysyjonistyczna kampania prowadzona przez frakcję w rządzącej partii komunistycznej (PZPR) w 1968 r. była dogodnym pretekstem do uporania się z innymi problemami, takimi jak protesty studenckie czy spadek popularności po Praskiej Wiośnie. Wyróżnia się także analiza Janine R. Holc dotycząca gorzkich sporów Żydów i katolików o rozumienie Auschwitz. Stephen D. Corrsin uzupełnia tom użyteczną wybraną bibliografią prac o stosunkach polsko-żydowskich, które zostały wydane po 1990 r.

Niezamaskowane liberalno-lewicowe sympatie – widoczne niemal we wszystkich rozdziałach – są przyćmione przez nieuzasadnioną diatrybę wydawcy przeciw prawicowo-nacjonalistycznym i katolickim partiom we współczesnej Polsce (s. 18). W rezultacie nie może być zaskoczeniem, że ostateczną konkluzją tej książki jest nie tylko dostarczenie użytecznych informacji i interesujących, choć zwykle nieprzekonujących dyskursów na temat stosunków polsko-żydowskich, ale przede wszystkim utwierdzenie błędnego poglądu, że jedna ze stron była zawsze ofiarą, a druga zawsze agresorem w tej trudnej symbiozie.

GL-UKOPJIS 01R 7-2006

Piotr Gontarczyk

Biografia „antykomunistycznego” komunisty

Janos M. Reiner, *Imre Nagy. Biografia polityczna*

(Warszawa, Instytut Studiów Politycznych PAN, 2003), s. 234

Książka Janosa M. Reinera jest jedyną polskojęzyczną biografią tego węgierskiego komunisty, który – cóż za paradoks historii – stał się jedną z czołowych postaci narodowego powstania w 1956 r. Jak wyglądało życie i kariera polityczna Imre Nagya? Jakie poglądy prezentował? Co spowodowało, że ostatecznie Nagy wypowiedział się przeciwko członkostwu Węgier w Układzie Warszawskim i jednoznacznie potępił sowiecką interwencję zbrojną? Na to i wiele innych pytań spróbował odpowiedzieć jeden z prominentnych historyków zajmujących się historią najnowszą Węgier i niejako oficjalny biograf Nagya.

Swoja opowieść rozpoczyna w małym węgierskim miasteczku Kaposvar, gdzie w ostatniej dekadzie XIX wieku w rodzinie pokojówki i stangreta urodził się Imre Nagy. Ponieważ nie dysponował lotnym umysłem, szybko zakończył edukację i został ślusarzem. Jego życie odmieniła I wojna światowa, podczas której dostał się do rosyjskiej niewoli. W Rosji na Syberii został rewolucjonistą i wstąpił do Nadzwyczajnej Wszechzwiązkowej Komisji do Spraw Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem, czyli osławionej „Cze-ka”. Nagy nie wziął więc udziału w krwawej orgii zorganizowanej Węgrom przez komunistów w 1920

roku (Węgierska Republika Rad). W 1921 r. Sowieci wmieszali w tłum żołnierzy wracających na Węgry z terenów dawnego Imperium Rosyjskiego około 300 przeszkolonych funkcjonariuszy, którzy mieli stać się zaczątkiem nowej siatki konspiracyjnej i przyszłej rewolucji. Wśród tych komunistów był i Imre Nagy. Ale po kilkuletnim pobycie w kraju powrócił on do Rosji i został funkcjonariuszem Kominternu. Tu szczęśliwie – jak opisuje to Janos M. Reiner – przeżył „wielką czystkę” i dotrwał do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Nagy został wówczas zmobilizowany do NKWD. Prawdopodobnie trafił do Samodzielnej Brygady Strzelców Zmotoryzowanych Specjalnego Przeznaczenia (OMBSON NKWD), w której wówczas szkolili się późniejsi przywódcy PPR. Niedługo potem Nagy został przeniesiony do sowieckiego wywiadu wojskowego (GRU). Zdemobilizowany w początku 1942 r., Nagy trafił do kominternowskiego radia. Tu pracował do 1944 r., czyli do wyjazdu na Węgry. W nowych władzach zainstalowanych przez Moskwę w Budapeszcie był początkowo ministrem rolnictwa. Potem jako Minister Spraw Wewnętrznych, przewodniczący parlamentu i Minister Skupu i Minister Apropowizacji, należał do czołowych przywódców brutalnej i bezwzględnej dyktatury. Fakt, że jako jeden z nielicznych partyjnych przywódców nie był z pochodzenia Żydem powodował, że Nagy był chętnie wykorzystywany w propagandzie jako ludowa, jowialna twarz systemu. To spowodowało, że w momencie wybuchu protestów w 1956 r. skandowano jego nazwisko jako pożądanego przywódcy. Nagy został premierem i, uginając się krok za krokiem przed nastrojami i żądaniem powstańców, z którymi początkowo bezskutecznie chciał rozprawić się za pomocą siły, zadeklarował wyjście Węgier z Układu Warszawskiego i wycofanie z terytorium kraju wojsk sowieckich. Po brutalnej interwencji Armii Czerwonej Nagy skrył się w ambasadzie Jugosławii, skąd został wydany do strefy sowieckich wpływów i internowany w Rumunii. Po przekazaniu na Węgry Nagy został skazany na śmierć i powieszony w 1958 r.

387

Jednak historia życia przedstawiona przez Janosa M. Reintera, choć rzeczowa i interesująca, budzi rozliczne wątpliwości. Wiele przedstawionych przez autora zdarzeń nijak ma się do wyciąganych na ich podstawie ocen i interpretacji. Wiele faktów z historii Nagya zostało przemilczanych lub zafałszowanych. Przekładów można podać wiele.

Na stronie 10., opowiadając o walkach Nagya po stronie bolszewików Reiner ani słowa nie wspomniał o historycznym wydarzeniu, jakie rozegrało się w Jekaterynburgu 17 lipca 1918 r. W domu inżyniera Ipatiewa trzymano uwięzionego cara Mikołaja II i jego rodzinę. Niedługo po północy w wili pojawiła się 11-osobowy oddział specjalny „Czeka” pod dowództwem Jankiela (Jakowa) Jurowskiego. Czekaści sprowadzili carską rodzinę do piwnicy zamordowali strzałami pistoletowymi i bagnetami. W grupie oprawców był Imre Nagy.

W podobny sposób potraktował Reiner inny znaczący fakt, rzucający istotne światło na karierę polityczną Nagya. Otóż wiadomo, że od swojego przyjazdu do Związku Sowieckiego w 1929 r. Nagy intensywnie poszukiwał kontaktów z organami bezpieczeństwa. Dopiero w 1933 r. udało mu się zostać agentem NKWD pseudonim „Wołodja”. W czasie „wielkiej czystki” donosił na swoich współtowarzyszy, z których znaczna część została aresztowana i stracona.

Dokumenty dotyczące agenturalnej przeszłości Imre Nagya były publikowane i omawiane w Rosji co najmniej kilkakrotnie (ostatnio w książce Mikołaja Zenowicza, *Na KGB rabotali i „Star i „Mlad”* wydanej w Moskwie w 2003 r.). Są wśród nich i raporty z lat trzydziestych, i opracowania mówiące, że „Wołodia” donosił masowo i przyczynił się do aresztowania i stracenia wielu osób. Nagy nie przeżył więc, dzięki zrządzeniom losu, jak twierdzi jego biograf, tylko dlatego, że jako wartościowy agent NKWD ochoczo denuncjował innych. Reiner nie mógł tych faktów przemilczeć. Ale przyjęcie do wiadomości powyższych faktów musiałyby spowodować rewizję jego ocen na temat Nagya, którego przedstawia jako człowieka o „wyjątkowej postawie moralnej” (s. 213). Janos M. Reiner rozwiązał więc problem inaczej:

jego sprawą [Nagy – przyp. P.G.] zainteresowało się natomiast moskiewskie kierownictwo NKWD. Wykorzystało ono informacje na temat wielu osób uzyskane od Imre Nagya w latach wcześniejszych, dotyczące przede wszystkim węgierskich komunistów w Moskwie (...) Tak zwane akta Wołodii (podobno był to jego pseudonim), potwierdzające „działalność agenturalną” Imre Nagya, z całą pewnością skompletowano później, w 1989 roku, aby w ten sposób skompromitować jednego z „głównych bohaterów” demokratycznych przeobrażeń na Węgrzech. (s. 31–32).

Trudno podobne twierdzenia traktować inaczej, jak oczywiste kłamstwa i przeinaczenia. W równie rzetelny sposób Reiner opisuje wiele faktów i zjawisk z bogatego życiorysu swojego bohatera. Jednym z nich jest na przykład działalność Nagya w czasach stalinowskich. A jest o czym pisać, bo był on wówczas jednym z czołowych realizatorów polityki komunistów na wsi. Różnego rodzaju podatki, kontyngenty i grzywny rujnowały węgierską wieś za czasów rządów Nagya w tempie zastraszającym. Jego największym dokonaniem był tak zwany Dekret nr 10 wprowadzony w 1951 r. Nie tylko podnosił on dotychczasowe obciążenia wsi (w różnych towarach) o ok. 20 do 50%, lecz prawnie usankcjonował istnienie obywateli drugiej kategorii zwanych „kułakami”. Podludzi tych poddano wyjątkowo dotkliwym obciążeniom i szykanom. Nagy zachowywał się wówczas w sposób wyjątkowo perfidny. Publicznie mówił o „nadużyciach” przy realizowaniu polityki wobec wsi, natomiast na zamkniętych spotkaniach mobilizował podległy aparat do „walki z wrogami” i egzekwowania za wszelką cenę nałożonych kontyngentów. Dochody chłopów spadły o połowę. Ponieważ rolnictwo stało się nieopłacalne, coraz więcej ziemi leżało odłogiem. Plony spadły o ok. 50%. Z powodu ścigania rozmaitych wymaginowanych przestępstw i braku możliwości wywiązania się z kontyngentów i różnych kar finansowych w 9-milionowym kraju kłopoty z „wymiarom sprawiedliwości” miało już ponad 1,2 mln obywateli. Węgry stanęły na krawędzi katastrofy.

Jak wszystkie powyższe fakty skomentował Janosz Reiner?

Imre Nagy jako minister aprowizacji, a później minister skupu, a także jako członek Biura Politycznego i sekretarz KC nie stał się częstszym, aktywniej-

szym uczestnikiem posiedzeń najwyższych partyjnych gremiów niż w poprzednich latach. Wypełniał jedynie zlecone mu zadania. Przejawiał mało inicjatywy, pozostawał tylko wykonawcą, bez własnego zdania (s. 61).

Czy fakt, że w tym okresie Nagy *nie stał się częstszym, aktywniejszym uczestnikiem posiedzeń najwyższych partyjnych gremiów niż w poprzednich latach* jest wystarczającym świadectwem jego osobistej odpowiedzialności za ówczesną politykę komunistów? Cóż można by rzec: Nagy mógł po prostu pójść do domu i znaleźć sobie uczciwą pracę. Interpretacje Reinera jako żywo przypominają opowieści o „dobrych, sumiennych i wykonujących jedynie rozkazy” komendantach hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Podobne interpretacje pojawiają się w książce Rainera zbyt często.

Nagy był ościężałym umysłowo partyjnym funkcjonariuszem, który, zdaniem wielu mu współczesnych, znał Węgry głównie z pism, które sam pisał. Jednym z aktywistów, który w latach 40-tych i 50-tych odgrywał wybitną rolę w procesie brutalnego komunizowania Węgier. Jego mandat do czołowych stanowisk państwowych był zapewne pochodną jego agenturalnej przeszłości i służby w sowieckich organach bezpieczeństwa i GRU. Jego postawa w czasie zrywu 1956 r. i męczeńska śmierć dwa lata później zapewniły mu niekwestionowane miejsce w panteonie narodowym Węgier. Ale biorąc po uwagę całość jego żywota nie sposób oprzeć się wrażeniu, że – bez względu na „metody naukowe” Janosa M. Reinera – Nagy znalazł się tam jedynie przypadkowo.

389

www.iwp.edu

Marek Jan Chodakiewicz

Władza i nowy proletariat

Michel Foucault, *The History of Sexuality*, vol. 1: *An Introduction*

(New York: Vintage Books, A Division of Random House, Inc., 1990)

Mieliśmy w *University of California*, Berkeley, całą masę postaci ekscentrycznych. Na przykład pamiętam parę lesbijek, kobiet pod pięćdziesiątkę, które paradowały pół nagię – od pasa wzwyż. To swoisty manifest feministyczny, bo – jak twierdziły – chłopcy bez podkoszulek nikogo nie dziwili. Paradują do dziś. Był też „nagi facet” (*naked guy*), student, który zdecydował przychodzić na zajęcia rozebrany do rosołu. Według niego nagość to wyraz wolności słowa. Trwało to semestr czy dwa, aż prawnicy uniwersyteccy wydumali, że student ten naruszył obowiązujące przepisy higieniczne. Siadając gołym tyłkiem na krześle w auli wykładowej, narażał innych na choroby. Nie dawał gwarancji bowiem, że podtarł się wystarczająco dokładnie. Higiena zwyciężyła nad wolnością słowa. Ale to był tylko przypadek.

Święcił bowiem triumfy inny dziwak z Berkeley, mimo że stanowi on większe zagrożenie dla zdrowia. Wyróżniał się z tłumu palącymi oczyma i łysą głową. Czarna kurtka skórzana z nabitymi ćwiekami z dala reklamowała jego preferencje: sado-masochizm homoseksualny. Lubił kluby dla kochających ból. Zabierał tam swoich studentów. Kopulował z nimi, mimo że wiedział, że jest chory na AIDS. Wnet umarł wierny swojej moralnie relatywistycznej filozofii.

Michel Foucault, bo to o niego chodzi, był wizytującym profesorem z Francji. Foucault zasłużył sobie na Berkeley jako twórca nowej teorii władzy (*power*) oraz nowej kategorii prześladowanych (*oppressed*). Jest to teoria spiskowa seksualności. Chodzi o kontrolę. Ofiarą jej pada całe społeczeństwo, które wtłacza się w sztywne ramy seksualności. Najbardziej cierpią naturalnie ekscentrycy seksualni.

Według teorii Foucault, każda władza tajemnie stosuje wyrafinowaną politykę seksualną, aby uzyskać pożądane zachowanie w sferze seksualności, a ludzie nie mają pojęcia, że zachowują się zgodnie z instrukcjami odgórnymi. Czasami nawet wydaje się niektórym jednostkom, że zachowując się w pewien seksualny sposób buntują się przeciw prześladowaniom (*oppression*). W rzeczywistości są manipulowani. Bowiem władza i seksualność to subtelna gra wielowątkowych i wielorodnych czynników, które zrozumieć mogą tylko wtajemniczeni, naturalnie pod batutą Foucaulta.

Słowo o metodologii. Myśliciel ten epatuje gnozą, sekretną wiedzą. Po manichejsku zestawia układy dualistyczne, podszywa je natychmiast moralnym relatywizmem. Na przykład porównuje (wręcz zrównuje) spowiedź (*confession*) w Kościele katolickim z wymuszonymi zeznaniami (*confession*) przez tajną policję komunistyczną.

Zawłaszcza koncepcje, słowa, symbole związane z kultem religijnym i wstawia je w swoje rozważania sekularne, szczególnie lubując się ich obecnością w opisach perwersji. Na przykład pisze o „wielkim kazaniu seksualnym”. Nie chodzi tutaj li tylko o obrazoburstwo czy profanację, ale o to, że stosując tradycyjną terminologię łatwiej jest wciągnąć wychowanego w starej tradycji czytelnika, użyć wypracowany przez chrześcijaństwo kontekst intelektualny, symbolikę, aby przemycić swoje buntownicze treści.

Foucault lubi konstruować argumenty na zasadzie negacji. Opowiada, czym opisywane przez niego zjawiska *nie* są. Wstrzymuje się z definicją ostateczną, bowiem bezpośrednio narzucanie takowej byłoby „prześladowaniem”. Ale brak definicji to też definicja: moralnego relatywizmu. Każda definicja staje się wtedy dobra w zależności od potrzeb. Sztuczkę tą znamy z marksizmu-leninizmu. Foucault również w bardzo sprytny sposób dekonstruuje rzeczywistość, obnaża „zło”, i wskazuje na jego źródła: Wiara, Tradycja, Rodzina, Patriotyzm, Własność Prywatna.

Foucault wychodzi jednak poza prymitywny marksizm. Jest dużo bardziej wyrafinowany. Argumentuje, że prześladowanie seksualizmu nie wzięło się li tylko z kapitalizmu. Nie można przykładać wszelkich zasad walki klas na rzeczywistość walki seksualności. Przecież sadomasochistyczna hermafrodyta wywodząca się z rodziny multimilionerów bankierów również jest ofiarą prześladowania przez ohydnie, niesprawiedliwie ułożone społeczeństwo. Hermafrodyta nie może figlować jak by chciała, bo władza prześladowuje.

Każdy może być więc ofiarą, bez względu na pochodzenie, tak długo jak jego preferencje seksualne są, powiedzmy, ekscentryczne. Tym sposobem ultra-uprzywilejowani finansowo pedofile mogą też doszlusować do szeregów ofiar.

I tutaj Foucault rozpisuje się na przykład o wioskowym zbereźniku. Przed nastaniem kapitalizmu, Oświecenia, państwa narodowego, zbereźnik hasał sobie z dziećmi, jak mu się podobało i rzekomo był tolerowany przez społeczność lokalną. Ale w wieku dziewiętnastym coś się popsło. Gdy zbereźnik zapłacił lizakiem kilkuletniej dziewczynce za usługi, rzuciła się na biedaka władza. Osądziła, odizolowała. Czyli prześladowała. Zrobiła ofiarą.

Foucault twierdzi, że władza obsesyjnie chciała kontrolować sprawy intymne. Dla francuskiego myśliciela najbardziej nieznośne są usiłowania regulacji spraw w rodzinie. Kiedyś – twierdzi Foucault – szczególnie w czasach antycznych, w każdym domu aż kipiało od seksu. Tata nie tylko z mamą, ale jak chciał to dokazywał z własnymi dziećmi, nie mówiąc już o niewolnikach i sługach. Dzieci mogły natomiast masturbować się do woli. Wyzwolone, taplały się w rozmaitych przyjemnościach. A potem – oświeca czytelnika Foucault – przyszła ciemna noc zniewolenia, któremu na imię chrześcijaństwo i wszelkie wywodzące się z niego normy. A normy – jak wiadomo z definicji – to zło, prześladowanie. Niestety, aż do rewolucji kulturowej lat sześćdziesiątych, „sielanka” się skończyła.

Naturalnie, według Foucault, „zło” ma swoje korzenie w Kościele katolickim. Otóż po rzekomych mrokach średniowiecza – gdzie ekscentrycy mogli sobie jeszcze pożyczyć z względu na decentralizację – na początku ery nowożytnej Kościół zaczął domagać się od wiernych spowiedzi. Co więcej, spowiednicy mieli szczegółowe instrukcje, o co pytać grzeszników. Dotyczyło to też spraw płciowych. Księża – jak później psychoanalizy – wypytywali wiernych o wszelkie perwersje, wszelkie aspekty życia intymnego. To wywołało temat, o którym nikt nigdy nie mówił otwarcie od luzackich czasów antycznych. Przecież Kościół takie przyjemności stłamsił. Reformy dotyczące sakramentu spowiedzi w wieku XVI były więc straszliwym początkiem gremialnej kontroli spraw intymnych przez władzę.

Potem zwolennicy kazirodztwa, homoseksualizmu, pedofilii i innych „ekscentryczności” mieli jeszcze gorzej. Przyszło tzw. „Oświecenie”, a z nim naukowe (i pseudonaukowe) podejście do patologii. Żniwo cierpienia przyniosło zaprowadzenie państwa narodowego, opartego przecież na uniformizmie i egalitaryzmie. Ekscentryków wsadzano do wariatkowa, ścigano sędowo. Cierpiał hrabia (wcześniej markiz) de Sade; cierpiały zastępy jego zwolenników.

Aż wreszcie przyszła rewolucja kulturowa lat sześćdziesiątych zeszłego stulecia. Wyzwolenie osiągnęło zenit w sferze nieformalnej, choć jeszcze daleko do pełnej wolności kopulacyjnej w sferze prawnej. Rozmaici „wstecznicy,” a fe! starają się zapobiec słusznym postulatami o „równouprawnienie dzieci” (czytaj: legalizacja pedofilii); czy „równouprawnieniu alternatywnych stylów życia” (czytaj: normalizacja homoseksualizmu, poligamii, poliandrii, zoofilii, nekrofilii oraz rozmaitych innych „postaw”). I dzięki Foucault „wsteczników” udaje się dekonstrukcyjnie zidentyfikować oraz intelektualnie rozbić w puch. Zresztą przecież „wstecznicy” sami się identyfikują, bowiem od zarania dziejów są winni rasizmowi, seksizmowi, prześladowaniu kobiet oraz wszystkiemu co dobre i postępowe.

Jasne jest, że konserwatyści i ich tradycjonalistyczni zwolennicy po raz kolejny stają naprzeciw straszliwemu zagrożeniu czyhającemu na Cywilizację Zachodnią. Rozwaliwszy monarchię (jakobinizm), podkopawszy wolny rynek (socjalizm), podważywszy ideę równości ludzkiej przed Bogiem, a nie państwem (komunizm i narodowy socjalizm rasistowski), siły „postępu” zabierają się za rodzinę. Tworzą zręby piekła kobiet i dzieci. Koryfeusze postępu tym razem używają jako pokrywkę liberalne hasła o wolności i katolicką koncepcję wolnej woli. Znaleźli sobie też nowy proletariatus, homoseksualistów i innych ekscentryków płciowych, w którego imieniu uzurpatorsko przemawiają. Walka klas i walka ras ma przejść w walkę płci: ekscentrycy przeciw normalnym. Ale najpierw – jak uczy Foucault – trzeba zniszczyć pojęcie normalności narzędziem moralnego relatywizmu. Rezultat będzie taki jak za Bolszewii. Powszechne zniszczenie, degrengolada, cywilizacja śmierci.

Co to wszystko nas obchodzi? Pamiętajmy, że intelektualna metoda wypracowana przez Foucault ma zastosowanie uniwersalne. Najpierw zachodzi identyfikacja źródła „zła” (prawdziwego czy wydumanego), a następnie podaje się moralnie-relatywistyczne alternatywy jego naprawienia.

Metoda Foucault pojawia się nie tylko w sprawach płciowych, ale również we wszystkich innych, choćby w konstrukcjach o „polskim antysemityzmie”. Musimy znać argumenty przeciwników cywilizacji życia, aby im się przeciwstawić.

GL-UKOPIS NR 7-2006

www.iwp.edu

Marek Jan Chodakiewicz

Łużyce bez Niemiec

_____ Jakub Brodacki, „Prołuż”. *Akademicki Związek Przyjaciół Łuzyc: Historia Wewnętrzna Organizacji /1945–1949/* _____ (Warszawa: PGM, 2006) _____

Serbowie Łużyccy to słowiańska mniejszość narodowa na terenach wschodnich Niemiec. Mówią swoim własnym językiem, dzielą się na katolików i protestantów. Pod koniec wieku XIX doświadczyli przebudzenia narodowego. Dotarły do nich modne prądy nacjonalistyczne, zaczęli się organizować, podkreślać swoją odrębność.

392

Co najmniej od początku wieku XX interesowali się nimi akademicy pasjonaci, kulturoznawcy, antropologowie, słowianofile oraz politycy, szczególnie polscy narodowcy. Jeszcze przed II wojną światową Stronnictwo Narodowe postulowało niepodległy byt dla Serbów, najchętniej w ramach Rzeczypospolitej. Po wybuchu wojny postulaty narodowców spotkały się z szerokim poparciem właściwie wszystkich opcji niepodległościowych. Dyskutowano tę sprawę szeroko na łamach prasy podziemnej. Po wojnie powstały nawet organizacje wspierające ten kierunek.

Jedną z najbardziej dynamicznych był Akademicki Związek Przyjaciół Łużyc „Prołuż” (AZPŁ), który powołano w Poznaniu jesienią 1945 r. Jego szefem był Alojzy Stanisław Matyniak („Mak”). Prołuż to kontynuacja działalności przedwojennej i wojennej tego społecznika oraz jego środowiska.

Ale zacznijmy od początku. Przed wojną Matyniak związany był z harcerstwem oraz organizacjami katolicko-narodowymi w Krotoszynie. Pod okupacją niemiecką Matyniak założył i szefował podziemnej grupie Polskie Rycerstwo Mariańskie („Odrodzenie”), która powstała w październiku 1939 r. Baza krotoszyńskiej grupy konspiracyjnej to sodalisi mariańscy, harcerze oraz gimnazjaliści. Często kategorie te zązębiały się. Jedną z inicjatyw „Odrodzenia” był Polski Ruch Obrony Łużyc, stworzony przez Matyniaka w styczniu 1943 r.

Pod koniec 1944 r. „Odrodzenie” weszło w skład Armii Krajowej jako Kompania Rycerska AK (KRAK). Po maju 1945 r. Matyniak podporządkował swoich żołnierzy Samodzielnej Grupie Operacyjnej „Warta”. Kontynuował działalność podziemną, tym razem przeciw drugiemu okupantowi – Sowietom i ich tubylczym pomocnikom.

393

Jednak jesienią 1945 r. Matyniak zawiesił walkę zbrojną. Były ku temu trzy powody. Po pierwsze, kierownictwo podziemia „rozładowywało lasy”. W tym momencie dziejowym słusznie zdecydowano, że walkę z bronią w ręku powinny kontynuować nieliczne kadry, szczególnie permanentnie spaleni. Po drugie, komuniści przedsięwzięli taktyczną decyzję o chwilowym odwróceniu od pełnego totalitaryzmu. Odwrotnie niż na Kresach w latach 1939–1941, obecnie Stalin zdecydował stworzyć – głównie na potrzeby Zachodu – pozory „wolności” i „demokracji” w okupowanej Polsce centralnej i zachodniej. Po trzecie, trzymając się uporczywie nadziei – wbrew wszelkim logicznym przesłankom – ludowa orientacja niepodległościowa oraz jej zwolennicy starali się przybrać dobrą minę do złej gry. Przywódcy ludowi udawali, że wierzą Stalinowi. Postępowali tak, jakby rzeczywiście w Polsce miała istnieć jakaś demokracja. Słowem – dostosowali się do komunistycznej okupacji. Co więcej, naiwny kompromis Stanisława Mikołajczyka oraz jego opcji pozwolił wielu innym środowiskom niepodległościowym zakamufłować się na otwartej przestrzeni politycznej. Wyszli z podziemia, aby w nowych warunkach prowadzić dokładnie taką samą działalność jak w podziemiu, ale w formie zmodyfikowanej realiami sowieckiej okupacji Polski.

Środowiska te przez pewien czas kontynuowały działalność otwarcie. Naturalnie musiały liczyć się z narastającymi szykanami władz komunistycznych. Po zmiążdżeniu podziemia i opozycji dostosowawczej, działającej pod szerokim parasolem PSL, aparat terroru i kierownictwo komunistyczne zajęły się drobniejszymi środowiskami wrogów totalitaryzmu. Jednym z nich był Stanisław Matyniak i jego Prołuż.

Między 1945 a 1949 Prołużanie kontynuowali działalność propagandowo-oświatową, cyklicznie doświadczając represji komunistów. Pierwsze otwarte zebranie – właściwie seminarium uniwersyteckie – miało miejsce w Poznaniu 12 września 1945 r. Już 17 listopada NKWD aresztowała Matyniaka przy okazji rozbicia I Ogólnopolskiego Zjazdu Katolickiej Młodzieży Katolickiej, w którym uczestniczyli Prołużanie. Następnego dnia, po agitacji wśród więźniów, których wnet zwolniono, ogłoszono oficjalne powstanie AZPŁ „Prołuż”. Pierwszy zjazd odbył się pod baczynym okiem Urzędu Bezpieczeństwa.

Następne lata – to dalsze represje, oraz skuteczne próby ograniczenia celów statutowych Prołużu. Cele organizacji określono szeroko, z daleko idącymi implikacjami politycznymi wspomnienia Łużyczan. Nie podobało się to władzom komunistycznym. W rezultacie Prołużycanie co najmniej dorocznie modyfikowali swój statut. To były nieudane próby dostosowania się do komunistycznej rzeczywistości. Z punktu widzenia podstaw prawnych, kurczących się stale pod coraz otwarciej postępującym totalitaryzmem, organizacja miała coraz mniej kompetencji. Wycofano się m.in. z „reslawizacji narodu łużyckiego” oraz wszystkiego, co miało do czynienia z polityką zagraniczną.

Mimo ograniczeń i szykan robiono wszystko, aby pomóc Łużyczanom. Przyjmowano ich delegatów (warto dodać, że przynajmniej jeden z nich związany był przed wojną z wywiadem polskim). Prołużanie publikowali prasę, wydawali deklaracje, organizowali wiece, seminaria, wykłady. Propagowali sprawę Łużyc w pogadankach radiowych. Odbywały się nawet, choć nieczęsto, oficjalne delegacje na Łużyce. Chyba najbardziej popularną formą działalności były tzw. „schatzowanki.” Wplataną w nie działalność edukacyjną, polityczną, kulturalną oraz rozrywkową: piosenki, poezje, skecze. Pierwsza schatzowanka miała miejsce w Krotoszynie 23 marca 1946 r.

Mimo trudnej sytuacji kontaktowano się z władzami zainstalowanymi przez Stalina w Warszawie. Robiono *lobbying*. Na uwagę zasługuje przedstawiony w maju 1946 r. Mikołajczykowi i komunistom postulat zwolnienia więźniów Wehrmachtu pochodzenia łużyckiego. Matyniak starał się też załatwiać stypendia dla studentów łużyckich na Uniwersytecie Poznański. Łużyczanom udzielano pomocy materialnej. W 1947 r. goszczono nawet dzieci łużyckie na koloniach letnich w Polsce.

Prołużanie koncentrowali się najbardziej na sprawie oderwania Łużyc od Niemiec. Rozważano opcje autonomicznych Łużyc w ramach Czechosłowacji czy Polski. Debatowano o co najmniej zapewnieniu Łużyczanom autonomii w Niemczech. Gwarantowana miała ona być przez ONZ i Sowietów.

Matyniak i jego środowisko dwoili się i troili. Utrzymywali kontakt ze wszystkimi, a w tym z Kościołem, informując stale Prymasa Augusta Hłonda o swych ruchach. Matyniak szczególnie starał się ugrać coś dla Łużyczan u komunistów. Kołatał do każdych drzwi. Spotykał się z władzami nawet po tym, jak otwarcie zaczęto zwalczać Mikołajczyka. Kierownicy Prołużu zadawali się z ministrem spraw zagranicznych Zygmuntem Modzelewskim, kolaborantem socjalistycznym Stanisławem Szwalbe, wiceprezydentem łże-parlamentu KRN Waławem Barcikowskim, szefem misji komunistycznego wojska w Berlinie płk. Jakubem Prawinem, a nawet z oficerem GRU gen. Karolem Świerczewskim.

Matyniak zauważył, że komuniści grali ostro kartą nacjonalistyczną. Starali się tym sposobem legitymizować. Naturalnie kierowali ją przeciw niepodległościowcom, a w tym przeciw PSL. Ale karta nacjonalistyczna oznaczała głównie bicie w antyniemiecki bęben. A to pozwalało – rozumował Matyniak i jego środowisko – podnosić sprawę Łużyc.

Prołużanie naturalnie przeliczyli się. Przecież rozwiązanie kwestii łużyckiej nie zależało od tubylczych plenipotentów Stalina w Warszawie. Zależało od wielkiej polityki Kremla, a Sowietci zaledwie zgodzili się na otwarcie szkół z językiem łużyckim. Ale z dru-

giej strony masowo przesiedlali ludność niemiecką ze Śląska na tereny łużyckie. Było to jednoznacznie złym znakiem dla narodowych aspiracji Łużyczan.

Mimo jasnych sygnałów Łużycanie oraz ich polscy, narodowi zwolennicy pozostawali w grze. Musieli iść na coraz to dalej idące kompromisy z komunistami. „Kadzili”, jak pisze Jakub Brodacki (s. 50). Ale kadzenie to była przecież tylko przykrywka i cena za pozwolenie na otwarte istnienie organizacji realizującej polską (a nie komunistyczną) rację stanu. Z drugiej strony, „kadząc” Prołużycanie niestety wspomagali reżim okupacyjny, powielając jego propagandę i symbole. No bo przecież nie można bezkarnie porównywać sowieckiego agenta Świerczewskiego do Bolesława Chrobrego. To też pomagało w legitymizowaniu sowieckich patriotów u steru w Warszawie.

Kadzenie nie miało wpływu na politykę Stalina. Od 1948 r. Sowietci stopniowo zaczęli traktować sprawę Łużyc jako wewnętrzny problem Niemiec. „Sejmik” Saksonii nadał Łużyczanom pewne uprawnienia kulturalne. Potem powstała tzw. „Niemiecka Republika Demokratyczna.” Sprawa Łużyczan zginęła.

395

Odpowiednio, 16 września 1948 r. komuniści w Warszawie nakazali Prołużanom przestać się interesować sprawami zaodrzańskimi. Pokazały się półoficjalne sugestie, że Prołuż jest infiltrowany przez elementy „faszystowskie” (s. 81–82). Potem nastąpiło rozwiązanie organizacji oraz aresztowania niektórych aktywistów.

28 maja 1949 r. UB ujęło Matyniaka i innych. Matyniaka torturowano, m.in. pozbawiono snu przez 150 godzin i świecono mu w oczy reflektorem (s. 85–86). Następnie proponowano współpracę z bezpieką. To była granica, której nie chciała przekroczyć nawet osoba o ultrapragmatycznych inklinacjach dostosowawczych. Odmówił współpracy. W październiku 1949 r. sąd wojskowy skazał Matyniaka na 5 lat za „próbę obalenia przemocą” reżimu okupacyjnego w Polsce. Wyszedł jednak wnet w związku z amnestią. Następnie uciekł przed kolejnym aresztowaniem. Do 1956 r. żył na stopie pół legalnej. Potem on i dzieło jego życia pozostawało właściwie zapomniane. Dopiero teraz przywrócił je narodowej pamięci Jakub Brodacki.

A Prołuż to przecież nie jakiś tam głupi epizod bez znaczenia w historii Polski. Prołuż działał na terenie całego kraju i cieszył się ogólną sympatią świadomego społeczeństwa. Wśród sympatyków można wymienić takie prominentne osoby, jak profesora Marian Pospieszalski z Poznania, a wśród młodych działaczy choćby Ryszarda Bendera z Lublina, o czym zresztą autor nie wspomina. Pamiętajmy jednak, że jest to zaledwie pierwszy krok w zapełnianiu kolejnej białej plamy historii Polski. Trzeba koniecznie uzupełnić obraz o akta ubeckie z Instytutu Pamięci Narodowej.

Sam autor przecież przyznaje, że „niniejszą pracę należy traktować jako próbę przedstawienia wewnętrznej historii organizacji na podstawie materiałów przez nią wytworzonych. Nie jest jednak całościową monografią” (s. 8, 10). A dzięki inteligentnej przenikliwości i benedyktyńskiej cierpliwości badacza, dostaliśmy część łamigłówek, która nie tylko pasuje do zagadki Łużyc, ale również jest kluczem do zrozumienia zjawiska oporu i przystosowania się pod sowiecką okupacją przez przedstawiciela po 1944 r.

W *post scriptum* warto dodać głośne pochwały na temat szaty graficznej książki. Estetyka, forma, grafika, czcionka, wykończenie, indeksy, koloryt są na najwyższym światowym poziomie.

Bogusław Kopka

Polska mniej znana

Protokoły z odpraw, zjazdów i narad kierownictwa Departamentu Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z naczelnikami więzień i obozów pracy (1944–1954), wybór i oprac. Marek Jabłonowski i Włodzimierz Janowski _____
_____(Warszawa: Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego i Archiwum Akt Nowych 2006) _____

GL-AUKOPJIS 01K 7-2006

Bazę źródłową opasłego tomu *Protokoły z odpraw, zjazdów i narad kierownictwa Departamentu Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z naczelnikami więzień i obozów pracy 1944–1954* (817 stron plus wkładka z ilustracjami) stanowią dokumenty przechowywane w zespole „Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego” Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Tak naprawdę w zespole tym udostępniane są jedynie akta Departamentu Więziennictwa MBP, które zarządzało polskim więziennictwem w latach stalinowskich 1944–1954. Obchodzimy dziś małą rocznicę, bowiem dokładnie dziesięć lat temu, w 1996 r. wówczas Centralny Zarząd Zakładów Karnych przekazał protokolarnie całość dokumentacji wytworzonej przez Departament Więziennictwa MBP – AAN.

Już od przeszło dziesięciu lat „papiery” centrali więziennictwa polskiej bezpieki są więc dostępne dla wszystkich zainteresowanych tematyką więzienną i łagrową w Polsce Ludowej. W efekcie możliwe było powstanie wielu cennych opracowań naukowych o charakterze dokumentacyjno-źródłowym i analitycznym, by wymienić takie prace jak Jerzego Kochanowskiego *W polskiej niewoli. Niemiecy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950*, Warszawa 2001, Waclawa Dubiańskiego *Obóz Pracy w Mysłowicach w latach 1945–1946*, Katowice 2004 czy przewodnik encyklopedyczny po obozach pracy w Polsce 1944–1950 Bogusława Kopki, wydany przez ośrodek Karta w 2002 r. Ważnym wydawnictwem źródłowym, powstałym ze świadectw zgromadzonych w omawianym zespole są cztery tomy dokumentów *Niemcy w Polsce 1945–1950*, pod red. m.in. Włodzimierza Borodzieja. Brakuje natomiast krytycznych opracowań szczątkowych, zwłaszcza odnoszących się do historii poszczególnych więzień i aresztów, zwłaszcza z okresu klasycznego stalinizmu, przełomu lat 40. i 50. ubiegłego stulecia. Wyjątkiem jest monografia Krzysztofa Szwagrzyka *Jaworzno. Historia więzienia dla*

młodocianych więźniów politycznych 1951–1955, Wrocław 1999. Nadal nie ma jeszcze syntezy tematu, na którą chyba przy braku analiz szcztąkowych jest jeszcze za wcześnie. Pierwszy krok został wykonany przez Tadeusza Wolszę z Instytutu Historii PAN, autora książki *W cieniu Wronek, Jaworzna i i Piehcina... 1945–1956. Życie codzienne w polskich więzieniach, obozach i ośrodkach pracy więźniów*, Warszawa 2003. Choć w krytyce źródłowej – co nie dziwi przy tematyce dotykającej codzienności – dominują wspomnienia, relacje czy pamiętniki ofiar systemu.

Prezentowany tom stanowi kopalnię informacji o funkcjonowaniu więziennictwa w latach stalinowskich, od zakończenia wojny aż do grudnia 1954 r.

Mam tu na myśli zwłaszcza takie problemy związane z działaniem systemu penitencjarnego w Polsce Ludowej w pierwszych latach powojennych, jak: korupcja, zachowania obronne więźniów – ucieczki, bunt, życie religijne, samobójstwa, bunt więźniów. Szeroko opisane są na tych naradach stany nadzwyczajne odnoszące się do panujących warunków bytowych: epidemie, głód, przypadki nadużyć kadry – pijaństwo, gwałty, korupcja itp. Przede wszystkim jednak poznajemy stan umysłu, mentalność, język zawodowy ówczesnej elity kierowniczej stalinowskiego więziennictwa.

397

Są to, jak się prześledzi dzieje powszechnie, tematy uniwersalne dla wszystkich systemów totalitarnych, których integralną częścią zawsze były i są obozy pracy. Stąd niniejsza praca może stanowić doskonały materiał porównawczy do badań nad systemami łagrowymi i łagrowymi XX wieku.

Jak już wspomniałem prezentowany tom można potraktować jako skarbnicę danych liczbowych, faktograficznych, ale czy również można o tej książce powiedzieć, że jest to całościowe kompendium wiedzy o stalinowskim więziennictwie w Polsce Ludowej? Oczywiście jest to pytanie retoryczne – oczywiście że nie, w końcu jest to wybór dokumentów, i to szczególnego rodzaju – wytworzonych przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Na podstawie tej książki odkrywamy jedynie wycinek więziennie-obozonej rzeczywistości. Jest to jednostronny obraz: poznajemy bolączki ówczesnego więziennictwa, chroniczne jego niedofinansowanie, braki w wyszkoleniu kadr, przeludnienie, deficytowość zakładów karnych, szerzącą się korupcję. Z treści tych narad jednak wprost nie dowiemy się gdzie tkwiło podstawowe źródło problemów organizacyjnych, logistycznych powojennego więziennictwa.

Ze względów politycznych więziennictwo, znacznie osłabione w wyniku wojny – zniszczone budynki więzienne i administracyjne, zdziesiątkowany korpus przedwojennych wykształconych strażników – obciążone zostało przez komunistów dodatkowymi obowiązkami, wykraczającymi daleko poza przyjęte zasady działania systemu penitencjarnego. Przede wszystkim dochodziły nowe zadania. Głównie były to zadania o charakterze represyjnym i administracyjnym, by przypomnieć operację „Wisła” i działanie niesławnego podoboju ukraińskiego w Jaworznie (1947–1949), akcję repatriacji jeńców do niemieckich stref okupacyjnych 1948–1950 (wcześniej należało, zgodnie z konwencją genewską, dopuścić samorząd jeniecki i odseparować oficerów od reszty jeńców wojennych) czy wreszcie zapewnienie warunków pracy dla komisji weryfikujących obywateli polskich i reichsdeutschów. Nie można też zapomnieć o społecznym eksperymencie, jakim była próba

zainstalowania w polskich warunkach (od razu należy powiedzieć, że nie udana) systemu gułagowego, gdzie podstawową formą reedukacji tzw. wroga klasowego, tak jak w ZSRS, była przymusowa praca, głównie w przemyśle ciężkim (górnictwie) i budownictwie. Przy lekturze narad pojawiają się następujące słowa kluczowe, dobrze charakteryzujące ówczesny proces sowietyzacji systemu penitencjarnego w Polsce: produktywność więźniów, samowystarczalność zakładów karnych, kułacy, bezproduktywni więźniowie, ośrodki pracy więźniów, praca polityczna, współzawodnictwo pracy itd.

Ze względu na powyższe zastrzeżenia na pewno nie polecałbym tej książki niespecjalistom jako pierwszej lektury. Zalecałbym zacząć od zapoznania się z głosem ofiar, a następnie z dokumentami wytworzonymi przez bezpiekę. Ważny tom wydany ostatnio przez Instytut Pamięci Narodowej *Księga świadectw. Skazani na karę śmierci w czasach stalinowskich i ich losy*, pod red. Krzysztofa Madeja, Jana Żaryna i Jacka Żurka (Warszawa 2005), może być takim dobrym wprowadzeniem w meandry życia obozowo-więziennego w polskim gułagu.

Stawiane są przez badaczy problemu pytania badawcze, które nadal czekają na odpowiedzi: na ile Departament Więziennictwa MBP był częścią (zintegrowaną) z pozostałymi departamentami bezpieki? Śmiem twierdzić, m.in. po lekturze tego tomu, że pełnił funkcję pomocniczą względem pionów operacyjnych UB. Jeżeli tak, to jak wyglądał obieg informacji między poszczególnymi departamentami resortu bezpieczeństwa publicznego, zwłaszcza między Departamentem I (kontrwywiad), Departamentem III (zwalczanie podziemia niepodległościowego) czy Departamentem X (zwalczanie „wroga” wewnętrznego w partii), który dysponował własnymi tajnymi miejscami odosobnienia w Polsce a Departamentem Więziennictwa, np. przy organizowaniu gier operacyjnych z udziałem więźniów obozów i więzień lub osób, które niedawno opuściły miejsce zamknięcia w wyniku amnestii. Wielki temat, który czeka nadal na opisanie to agentura wśród funkcjonariuszy systemu i tzw. agentura celna, najbardziej chyba, jak można przypuszczać, niebezpieczna dla pozostających w zamknięciu ofiar reżimów totalitarnych.

Opublikowane narady bez wątpienia ułatwią historykom poruszanie się w zasobie archiwalnym AAN, zespół „MBP”. Być może teraz, po wydaniu protokołów narad kierownictwa DW MBP nabiorą tempa badania nad historią systemu więziennego w Polsce Ludowej.

Na zakończenie mała korekta językowa. Do tytułu książki, który powielony został w regestach do protokołów, wkradł się niewielki błąd gramatyczny – jest „Protokoły z odpraw, zjazdów i narad...”, powinno być „Protokoły odpraw, zjazdów i narad”. Według *Nowego słownika poprawnej polszczyzny PWN*, pod red. Andrzeja Markowskiego: protokół – P. czegoś, nie: z czegoś (Warszawa 1999, s. 758).

Z obowiązku redakcyjnego wspomnę, że *Protokoły z odpraw* są wydane wspólnie przez Archiwum Akt Nowych oraz Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego w serii „Polska mniej znana 1944–1989”. Jest to z kolei drugi tom z tej serii wydawniczej, pierwszy to *Narady i telekonferencje kierownictwa PZPR w latach 1980–1981*, a do druku jest już przygotowywany trzeci – *Protokoły z VI i VII plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z 1956 r.*



INSTYTUT BADAWCZY "LIBRA"
ul. Jana Pawła II 2 (Archiwum Państwowe)
21-300 Radzyń Podlaski
www.libra.civ.pl
e-mail libra@civ.pl

W TOMIE III M.IN.

Leszek P. Słupecki

o średniowiecznym Czersku

Anatolij Tichołaz

o platonizmie w rosyjskiej
świadomości historycznej

Eligiusz Podolan

o feudalizmie rosyjskim
w myśli Aleksandra Hercena

Leszek Gawor

o wizji świata
wg Jana Stachniuka

ks. Edward Walewander

o wpływie międzywojennych
parafii katolickich
na morale Polaków

Wiesław Charczuk

o działalności NKWD
i Smierszy na Mazowszu
i Podlasiu



ISSN 1731-982X

WSCHODNI ROCZNIK HUMANISTYCZNY

TOM III

ROK 2006



Lublin - Radzyń Podlaski - Siedlce 2006

Pismo z zakresu nauk humanistycznych swoją problematyką dotykające terenów wschodniej Polski w jej obecnych granicach oraz krain związanych z polskim dziedzictwem kulturowym.

Piotr Gontarczyk

Sprawa Metodologii

_____ *Wokół teczek bezpieki. Zagadnienia metodologiczno-źródłoznawcze*, red. Filip Musiał _____ (Kraków: Societas Vistulana, 2006) _____

Teczki znajdujące się w Instytucie Pamięci Narodowej budzą ogromne emocje. Wokół ich treści, znaczenia i wiarygodności toczą się w przestrzeni publicznej rozmaite spory i dyskusje. Dobrze więc stało się, że naukowcy z krakowskiego oddziału IPN opublikowali książkę dotyczącą zagadnień metodologiczno-źródłoznawczych. Na wspomnianą pracę składają się przede wszystkim artykuły (teksty) publikowane już w ciągu kilku ostatnich lat w różnych czasopismach historycznych i książkach. Mimo upływu pewnego czasu nie straciły one zbyt wiele na wartości.

Autorami poszczególnych tekstów są uznani już historycy zajmujący się badaniem akt IPN lub, jak Marek Chodakiewicz, o szerokim horyzoncie intelektualnym i dużej wiedzy dotyczącej materii metodologii historii. Są wśród nich m.in.: Filip Musiał, Wojciech Frazik, wspomniany Marek Jan Chodakiewicz, Tomasz Balbus, Antoni Dudek, Zdzisław Zblewski, Ewa Zając, Krzysztof Szwagrzyk, Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki, Radosław Peterman czy Łukasz Kamiński. Ich artykuły dotyczą szerokiej palety zagadnień dotyczących krytyki akt operacyjnych, śledczych i sądowych, budowy i struktury komunistycznych organów bezpieczeństwa, organów ścigania i tzw. wymiaru sprawiedliwości oraz wytwarzanych przez nie dokumentów. Ważkie są także teksty dotyczące budowy i funkcjonowania ewidencji operacyjnej SB.

Oczywiście treść powyższej książki nie wyczerpuje wszystkich problemów związanych z metodologią badań archiwów IPN. Łatwo zauważyć, że większość autorów pochodzi z najdynamiczniejszych oddziałów IPN: krakowskiego i wrocławskiego. Nie ma za to ani jednego poważniejszego artykułu napisanego przez pracowników warszawskiej centrali. Ma to daleko idące konsekwencje dla treści pracy, albowiem właśnie w centrali IPN przechowywana jest przytłaczająca większość akt pozostałych po strukturach wojskowego aparatu bezpieczeństwa: Wojskowej Służby Wewnętrznej i Zarządu II Sztabu Generalnego. Tekstów na ten temat musiało więc w książce zabraknąć. W Warszawie znajdują się też dzienniki rejestracyjne centrali MSW, a także instrukcje operacyjne i inne normatywy Departamentu I MSW. Dlatego książka omawia sposób działania ewidencji operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w zasadzie pomijając funkcjonowanie ewidencji operacyjnej komunistycznego wywiadu.

Z treścią poszczególnych artykułów, przedstawionymi w nich wizjami dokumentów SB czy proponowanymi postulatami metodologicznymi można podejmować dyskusję i prezentować w różnych kwestiach odmienny punkt widzenia. Nie zmienia to faktu, że teksty te stanowią solidny fundament dla podjęcia rzeczowej dyskusji naukowej. Niektóre

twierdzenia zawarte w omawianej pracy same w sobie mogą stać się punktem wyjścia do ważkiej debaty na temat rzeczy absolutnie podstawowych, takich jak chociażby definicja terminów „tajna współpraca” i „tajny współpracownik”. Tak jest z tezami Wojciecha Frazika i Filipa Musiała dotyczącym jednego z opisywanych TW:

Przez cztery lata, do 1968 r., spotykał się z funkcjonariuszem SB, któremu udzielał informacji, choć formalnie nie podpisywał zobowiązania (...) Faktem jest, że świadomie udzielał informacji funkcjonariuszowi SB, co więcej, przekazywał mu oraz udostępniał rozmaite materiały. Można więc powiedzieć, iż świadomie kolaborował, nie będąc świadomym, że został TW. **Choć więc w tym specyficznym przypadku doszło do zarejestrowania agenta bez jego wiedzy** [podkr. P.G.], to jednak działo się to – co warto podkreślić – przy świadomej współpracy z SB. Bez udziału „Białego” uregulowano jedynie status formalny jego działań, legalizując tym samym stan faktyczny (s. 314).

401

Wątpliwości budzi cały powyższy wywód, a w szczególności termin „zarejestrowanie agenta bez jego wiedzy”. Jest o tyle niefortunny, że Tajni Współpracownicy, nawet po podpisaniu zobowiązania do tajnej i świadomej współpracy, w części zapewne przekraczającej 99%, nie mieli pojęcia o istnieniu ewidencji operacyjnej SB.

Trzeba jednak zaznaczyć, że najwięcej twierdzeń wątpliwych zawierają teksty dotyczących ewidencji operacyjnej Służby Bezpieczeństwa autorstwa Moniki Komanieckiej i Ewy Zając. Wprawdzie obydwa zawierają solidną dawkę podstawowych informacji na temat normatywów i wykorzystywanych tu dokumentów, jednak w kwestii praktycznego funkcjonowania systemu można odnaleźć błędy i nieścisłości.

Pierwsza ze wspomnianych autorek twierdzi na przykład, że w wypadku dokonywania koordynacji zainteresowań operacyjnych (jedna jednostka pytała o osobę pozostającą już w zainteresowaniu innej jednostki i przez nią zarejestrowaną) „inne jednostki [poza MO – przyp. P.G.] uzyskiwały [z ewidencji] pełną informację” (s. 278). Obserwacje autora niniejszej recenzji przeczą takim twierdzeniom. Obowiązywała tu bowiem szeroka paleta możliwych odpowiedzi, w tym również: „nie figuruje”. Także w wypadku innej odpowiedzi, nakazującej porozumienie się telefoniczne z jednostką, która już zarejestrowała daną osobę, bez większych wątpliwości można zakładać, że nie wszystkie zgromadzone informacje na temat figuranta lub danego współpracownika były przekazywane jednostce pytającej i to za pomocą telefonu. Można także postawić pytanie, czy indagowany w ogóle – a jeżeli tak, to w jakich wypadkach – udzielał odpowiedzi na temat charakteru rejestracji. Twierdzeń dyskusyjnych jest w tekście Komanieckiej więcej.

Także artykuł Ewy Zając przynosi sporo informacji budzących zasadnicze wątpliwości. Pozostańmy już, by nie poruszać kolejnych wątków, przy kwestii wspomnianej koordynacji zainteresowań. Autorka pisze bowiem: Jednostka „C” udzielała jednostce operacyjnej odpowiedzi „nie figuruje” (...) obligatoryjnie, gdy: 1) sprawdzana osoba pozostawała w zainteresowaniu SB, a pytała o nią jednostka MO; 2) sprawdzana była osoba, którą interesowano się z innych powodów niż operacyjne, np. kandydat do prac tajnych, członek

rodziny kandydata do prac tajnych w resorcie spraw wewnętrznych, kandydat do jednostki specjalnej, w sprawie pozwolenia na broń, itp.; 3) osoba sprawdzana była zabezpieczona przez Jednostkę Departamentu I MSW, a pytała jednostka spoza tego pionu”.

Wszystkie trzy twierdzenia Ewy Zając są, z różnych powodów, nieprawdziwe. Wyobrażenia i zasady logiki nakazałyby domniemywać, że Departament I, podobnie jak wszystkie inne jednostki SB, z bardzo wielu powodów, nie tylko natury operacyjnej, wręcz musiał koordynować swoje zainteresowania, chociażby z Departamentem II MSW (kontrywiad). Inaczej cały system ewidencji byłby pozbawiony sensu.

Jednak zastrzeżenia czy wątpliwości, które mogą budzić niektóre stawiane w książce twierdzenia, nie mogą przekreślić jej ogromnej wartości. Praca wypełnia bowiem istotną lukę w dziedzinie rozważań nad zagadnieniami metodologiczno-źródłoznawczymi dotyczącymi akt przechowywanych w IPN. A dla tych, którzy chcą te akta badać, musi być ona lekturą absolutnie obowiązkową.

GL-UKOPJIS vIKR 7-2006

Marek Jan Chodakiewicz

Sezony „Solidarności”

Dariusz Magier, red., *Lata 1980–1981 w województwie białkopodlaskim: Wybór teleksów Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej*
(Radzyń Podlaski: Libra, 2006)

Sposób, w jaki władza komunistyczna odbierała budzący się do niepodległości w latach 1980 i 1981 region białkopodlaski, w formie teleksów do władz centralnych wyszperał, ułożył chronologicznie (według sezonów) i opublikował Dariusz Magier. Ten wybór dokumentów Komitetu Wojewódzkiego PZPR to cenna pozycja nie tylko dlatego, że daje wgląd w mechanizmy funkcjonowania ogniw regionalnych partii totalitarnej, ale również dlatego, że pozwala zobaczyć, jak prześladowcy postrzegali postawy społeczne, a szczególnie poznać stopień oporu przeciw komunizmowi na poziomie lokalnym. Ponadto praca ta jest kolejnym ważnym przykładem badań regionalistycznych (regionalnych?). Przedstawione tu dokumenty traktują bowiem nie o centrali władzy, dysydenckiej elicie czy wielkoprzemysłowej warstwie robotniczej, ale dotyczą zupełnej prowincji: białkopodlaskiego, regionu Polski zaniedbanej, tzw. “Polski B”.

Prezentowany tutaj wybór dokumentów to skarb metodologiczny. Jest on świetnym poligonem do zrozumienia i odszyfrowania komunistycznego żargonu. Im bardziej oddala się w czasie doświadczenie sowieckiej okupacji przez przedstawiciela, tym bardziej paląca staje się sprawa uwrażliwienia badaczy tego okresu na semantyczną specyfikę nowomowy.

Wraz z upływem czasu oficjalne eufemizmy ewoluowały. W lipcu 1980 r. tow. Czesław Staszczak, który szefował partii komunistycznej w Białkopodlaskiem, wspomina o „pogłoskach o rzekomych przerwach w pracy”. Potem pisał o grupie „kierowców i mechaników”, która „nie przystąpiła do pracy” w Transbudzie w Białej Podlaskiej (s. 51–52). Następnie informował o „rozszczeniu się ruchu związanego ze zgłaszaniem przez grupy pracowników postulatów i żądań, co wiąże się z przestojami w pracy” (s. 53). Wnet raportował, że „odmówiła pracy” załoga jednego z przedsiębiorstw w Radzynie Podlaskim (s. 55). Chodziło naturalnie o strajki. Jednak słowo „strajk” pojawiło się w dokumentach po raz pierwszy dopiero 6 września 1980 r. (s. 61).

I jeszcze jedna próbka nowomowy. Brak skuteczności własnej raportowano do centrali również eufemistycznie jak strajki. Społeczny bojkot oficjalnych uroczystości 1 maja 1981 r. opisano w następujący sposób: „Obchody pierwszomajowe w dniu dzisiejszym miały ograniczony zasięg, były dość skromne. W zaplanowanych i odbytych na terenie województwa 7 wiecach uczestniczyło 6,500 osób, w tym znaczną część stanowiła młodzież” (s. 110). Oznacza to, że na defilady nie stawił się dobrowolnie prawie nikt, spędzono na nie jedynie pod przymusem uczniów szkół.

Ciekawe, czy patologia eufemizmów, ezopowego języka, a więc nieumiejętność porozumiewania się wprost miała wpływ na skostnienie władzy komunistycznej. Jest jasne, że na pewno miała wielki wpływ na kłopoty w wysławianiu się zniewolonej przez komunę inteligencji polskiej, czego rezultaty widać do dziś.

Zrozumienie nowomowy jest kluczem do pojęcia perwersyjnego charakteru władzy totalitarnej w Białkopodlaskiem. Naturalnie pod wpływem kryzysu język oficjalnych raportów przechodził ewolucję. Jeszcze w lutym 1980 r. od większości wiadomości podawanych warszawskim zwierzchnikom trąciło rutyniarskim skostnieniem. Robotnicy „zaciągali warty”, aby uczcić zjazd partyjny, chłopci „słuchali zbiorowo” mów partyjniaków, a rozmaite inicjatywy władz spotykały się z „powszechnym poparciem społeczeństwa naszego województwa.” Od czasu do czasu regionalna wierchuszka popisywała się swoją szmaciakowską ignorancją, pisząc na przykład o „Związku Świętego Jehowy,” zamiast o sekcje świadków Jehowy (s. 45).

Wraz z upływem czasu, od wiosny 1980 r., gdziekolwiek jednak między wierszami można było wyczytać o niezadowoleniu społeczeństwa wobec przywilejów partyjnych, rosnącym niepokojem o nadmierną wywózkę węgla do Sowiec czy stłumianym gniewem z powodu powszechnego marnotrawstwa w sektorze państwowym (s. 32–35). W miarę narastania kryzysu sytuacja zaostrzała się. W lipcu 1981 r. komuniści przyznawali centrali otwarcie, że „na atmosferę społeczną ma wciąż bardzo duży wpływ fatalny stan zaopatrzenia. Mnożą się incydenty w kolejkach, wzrasta napięcie. Brak papierosów staje się problemem żywiej komentowanym niż obrady zjazdu [partii]. Z trudem udaje się opanować sytuację” (s. 122).

Narzekanie to bierny opór. A plotki wśród ludu? Niektóre funkcjonowały w wyniku dezinformacji stosowanej przez władze komunistyczne, inne symbolizowały wolnościowe nadzieje Polaków, jeszcze inne odzwierciedlały głęboki strach przed morderczym po-

tencjałem totalitarnego terroru. Najstraszniejsze były wieści o ruchach wojsk sowieckich. Plotki pojawiły się już w sierpniu 1980 r. i wracały stale aż do stanu wojennego (s. 58).

Strach strachem, a jednak nagminnie wyśmiewano się z serwilizmu tubylczych komunistów w stosunku do Moskwy, na przykład w taki oto sposób komentując kolejną oficjalną delegację do Sowietów: „nasi przywódcy pojechali po instrukcje” (s. 70). Z narastającą irytacją ludzie odnosili się do propagandy komunistycznej: „Powtarzają się zarzuty manipulowania przekazem [przez radio i TV] i pomijania głosów ‘niewygodnych’ oraz pytania dlaczego dzisiejsza ‘Trybuna Ludu’ [główny organ propagandy PZPR] przytacza głosy ‘dyrektorów a nie robotników’” (s. 120). Białskopodlaskie powoli budziło się.

Telesy rejestrują po części wiernie odczucia społeczne. Trzeba tylko bardzo uważnie czytać dokumenty, odpowiednio interpretować oficjalne malkontenctwo i negatywne komentarze. Najpierw komuniści raportowali „atmosferę rozdyktowania” po zawarciu porozumień w Gdańsku i Szczecinie (s. 61), czyli zaczęli do pewnego stopnia mówić o sprawach otwarcie, nazywać je po imieniu. Wolność słowa oznacza, że można wyartykułować swoje dążenia. To z kolei pozwala zrozumieć wspólnotę interesu z innymi, którzy do tej pory pogrążeni byli w totalitarnej ciszy. Konsekwencją było to, że władze z przerażeniem postrzegały rosnący solidaryzm społeczny: „jeżeli wszyscy nie będą strajkować, to my nie będziemy” – podali komunistom jako powód swego strajku solidarnościowego robotnicy jednego z zakładów (s. 66).

Szeregi buntowników rosły. W telesie z 11 listopada 1980 r. czytamy: „na terenie województwa białskopodlaskiego do NSZZ Solidarność należy 793 osoby [na 1010 wszystkich pracowników], w tym 101 członków i kandydatów do partii” (s. 72). To były dane niepełne. W innych zakładach do związku przystąpiło dalsze 1825 osób na 3046 zatrudnionych. Ponadto 80 osób założyło oddział rolniczej Solidarności, do której zapisało się do stycznia 1981 r. 1250 osób (s. 91). W końcu Niezależne Zrzeszenie Studentów (NZS) przy filii Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej zaczęło się organizować dopiero jesienią 1981 – w Komitecie założycielskim było zaledwie 7 osób. Do grudnia 1981 r. z NZS związało się oficjalnie około 80 studentów (s. 163, 180). W oparciu o dane komunistyczne można mówić o około 5,000 zorganizowanych w ruchu wolnościowym w woj. białskopodlaskim.

Nie była to liczba rewelacyjnie wielka. Dla porównania: w styczniu 1981 r. partia komunistyczna w województwie wciąż liczyła 20,671 członków (s. 81). Zwyczajni ludzie wciąż się bali otwarcie przeciwstawić się totalitaryzmowi. Na przykład pod koniec sierpnia 1980 r. odnotowywano, że „w niektórych środowiskach ludzie unikają rozmów z aktywnym partyjnym na tematy dotyczące aktualnej sytuacji w kraju” (s. 58). Ale czy odmowa udzielenia informacji to tylko objaw strachu przed komunistycznym terrorem? A jak scharakteryzować następującą postawę społeczeństwa? W telesie z 15 lipca 1981 r. pisano: „W szeregu wypowiedzi dominuje niewiara w możliwość poprawy sytuacji w kraju w wyniku zjazdu [partii komunistycznej]” (s. 117). Czy to brak nadziei, apatia czy gniew? A może wszystkie te postawy naraz?

Milczenie, pasywność i narzekanie są bez wątpienia też formami biernego oporu. Podobnie należy traktować pełną irytacji informację komunistów o tym, że w trakcie pseu-

dowborów „korzystający z kurtyń to na ogół starsi bezpartyjni rolnicy” (s. 45). Totalitaryści zniechęcali do tajnego „głosowania” nawet w pseudowyborach. Wściekał ich sam fakt korzystania przez niektórych przedstawicieli zniewolonego społeczeństwa z zapewnionych komunistycznym prawem teoretycznych przywilejów wyborczych. Na przykład w marcu 1980 r. zaznaczono, że przy pseudowyborach „z zasłon korzystało 1849 osób, tj. 1,13% wyborców, którzy dotychczas oddali głosy.” I natychmiast wskazywano prowodyrów: „Największa liczba wyborców korzystająca z zasłon wystąpiła w gminie Platerów, w której w ostatnich dniach przed wyborami negatywną działalność zachęcającą do bojkotowania wyborów prowadził miejscowy administrator parafii rzymsko-katolickiej” (s. 46). Klerikalny wróg, podjudzacz czyhał (nie można tylko czyhać, na kogo czyhał?; może raczej: działał?). Dłatego opór bierny trwał – chociaż u „1.13% wyborców.”

Z zadowoleniem komuniści rejestrowali w społeczeństwie objawy braku jedności, zmęczenia czy małości. W styczniu 1981 r. cieszyli się, że to głównie inteligencja popiera postulat wprowadzenia wolnych sobót, robotnicy podchodzą do tego rozmaicie, a rolnicy są wręcz wrodzy (s. 85). Odnotowano też fakt strajków w „szeregach miejscowości województwa”, w ramach których załogi wychodziły z zakładów, aby stanąć w kolejkach po papierosy (s. 123). Ludzie zwracali się przeciw sobie samym. Rósł bezsilny gniew: „Okres oczekiwania w kolejkach za zakupem sięga 48 godzin... Wybuchają w sklepach mięsnych ostre konflikty” (s. 136). Gdzie indziej teleksowano: „Wciąż wydłużają się kolejki, dochodzi do kłótni, a nawet rękoczynów” (s. 160). Przy okazji spotkania związkowego w Międzyrzeczu Podlaskim we wrześniu 1981 r. komuniści skrupulatnie odnotowali, że „na wszystkich zebraniach w trakcie dyskusji problemem numer jeden była obecna sytuacja gospodarcza kraju, a zwłaszcza problemy zaopatrzenia rynku. Z szeregu padających pytań przebijało narastające zmęczenie i zdenerwowanie członków Solidarności” (s. 156). Było to klasyczne zdemobilizowanie społeczeństwa poprzez stałe piętrzenie przed ludźmi wyczerpujących przeszkód w życiu codziennym. Rezultat demobilizacji społecznej był do przewidzenia. W grudniu 1981 r. komuniści teleksowali do centrali: „Ogłoszenie stanu wojennego było dla mieszkańców województwa zaskoczeniem... Sytuacji konfliktowych na wsi nie zanotowaliśmy” (s. 193–194).

Komuniści powrócili też do sztuczek nacjonalbolszewizmu, które tak dobrze służyły im od czasów Władysława Gomułki. Pamiętali, że najłatwiej zmanipulować społeczeństwo szermując hasłami nacjonalistycznymi: „Ze szczególnie pozytywnym odbiorem społeczeństwa spotyka się propaganda wizualna zawierająca symbole narodowe (godło, flaga itp) i krótkie, lapidarne treści” (s. 198). 19 grudnia 1981 r. teleksowano do Warszawy, że w Białkopodlaskiem oporu właściwie nie było. Strajki nie wybuchły, „Solidarność” się rozpadła: „Na podkreślenie zasługuje duża dyscyplina załóg. Nie było sytuacji incydentalnych godzących w porządek prawny państwa. Związki zawodowe podporządkowały się decyzjom w sprawie zawieszenia ich działalności” (s. 200). Czyli po 13 grudnia 1981 r. – według dokumentów komunistycznych - ludność białkopodlaskiego, a w tym i aktywni członkowie „Solidarności” po prostu poddali się władzy. Taką opinię naturalnie trzeba zweryfikować w świetle dokumentów tajnej policji, wojska, Kościoła, „Solidarności”, innych organizacji i instytucji, oficjalnych i nieoficjalnych oraz wspomnień indywidualnych uczestników.

Podczas gdy spostrzeżenia białskopodlaskich aparatczyków dotyczące przeciwnych ludzi często trąca komunałem, komuniści uważnie obserwowali potencjalnych wrogów: kler i opozycjonistów. Wśród tych ostatnich największym wrogiem jawi się niepodległościowa Konfederacja Polski Niepodległej (KPN). Jej działalność propagandową odnotowywano natychmiast. Szczególnie obszernie informowano o KPN-owskiej akcji ulotkowej upamiętniania mordu katyńskiego. Podobnie zresztą traktowano akcje informacyjne Klubów Służby Niepodległości, wspominające o Jąlcie i przypominające, że „Polska przez 36 lat znajduje się w niewoli radzieckiej” (s. 183).

Zresztą komuniści raportowali działalność propagandową każdej proveniencji (s. 36, 43, 47, 71, 119–120, 127, 138). Nie odpuszczono nawet komediantom. Władze dostały szała, gdy w październiku 1981 r. w województwie pojawił się kabaret Dziak z Lublina:

W przedstawionym programie zawartych jest wiele akcentów antypartyjnych i antyradzieckich. Przykładowo mówi się o ‘czerwonych pająkach’, w sposób szkalujący mówi się o stosunkach gospodarczych ze Związkiem Radzieckim określając założenia planu pięcioletniego ‘alimentami dla ZSRR’. W sposób obraźliwy parodiuje się Leonida Breżniewa (s. 164).

Komunistów zajmowały wszelkie przejawy nieautoryzowanej działalności propagandowej, choćby pojedyncza ulotka o bojkocie pseudowyborów w gminie Kąkolewica (s. 43), czy pojedynczy plakat o wyzysku rolników powieszony w skupie mleka w Huszlewie (s. 56). Naturalnie przedstawione w lutym 1980 r. na nielegalnych plakatami antyaborcyjne cytaty z „Karola Wojtyły”, czyli Papieża, traktowane były z wrogością (s. 38). Bez komentarza przytaczano treść innych plakatów solidarnościowych: „potępiamy azjatyckich terrorystów i ich protektorów za zamach na życie Ojca Świętego” (s. 112). Wiadomo, że „Azja” w tym czasie to synonim sowieckiej Rosji.

Jeśli chodzi o kler, z reguły komuniści rozróżniali między różnymi postawami księży (s. 36, 44, 203–204, 207). „Wrogie” wystąpienia odnotowywano natychmiast, pasywne też. Najbardziej martwiły władze nie pojedyncze kazania, ale zjawisko kulturalnej rekonkwisty. I nie chodziło tak bardzo o poszczególnych księży, ale o fakt, że większość Polaków, to praktykujący katolicy. Na przykład 9 marca 1981 r. tow. Staszczak teleksował:

W ostatnich miesiącach nasiliło się w województwie oddziaływanie kleru i Kościoła. W większości placówek występuje zjawisko naruszania świętości szkół. Przejawia się to w zawieszaniu przez rodziców i dzieci emblematów religijnych. W wielu przypadkach akcje te przybierają charakter zorganizowany i często dochodzi do wymuszania ustępstw na nauczycielach i dyrektorach szkół.

Rady pedagogiczne są zbulwersowane taką sytuacją. W kilku przypadkach dyrektorzy szkół złożyli rezygnację z pełnienia funkcji motywując [to] tym, że nie mogą zagwarantować świeckiego charakteru szkoły. Nauczyciele czują się często bezradni w konfrontacji z coraz aktywniej i skuteczniej mobilizującym społeczeństwem klerem. (s. 97)

Naturalnie postawy i zaangażowanie kadry nauczycielskiej w czasach komunizmu warto zbadać dogłębnie. A może teleksy mówią prawdę i rzeczywiście nauczyciele w dużym stopniu występowali przeciw Kościołowi, popierali komunistów? To przecież tłumaczyłoby, dlaczego Związek Nauczycielstwa Polskiego (ZNP) oraz wielu jego szeregowych członków do dnia dzisiejszego błogosławią postkomunistów.

Z drugiej strony teleks z 9 marca 1981 r. można interpretować tak: Chodziło tu o nauczycielski aktyw komunistyczny i różnych lokalnych postępowców, którzy zmuszeni byli ustępować przed narodowym solidaryzmem chrześcijańskim swoich podopiecznych i ich rodziców.

Komuniści przecież nie potrafili, nie chcieli przyznać, że ludzie mobilizowali się sami, aby przywrócić symbole wiary. W końcu Polacy nie na darmo śpiewali: „My chcemy Boga w wojsku, w sądzie.” A przede wszystkim w szkołach. Ale również w zakładach pracy. Na przykład, według teleksu z 9 września 1981 r., w Białej Podlaskiej solidarnościowcy oznajmiali: „My pracownicy ‘Biaweny’ przypominamy, że chcemy mieć krzyż przed zakładem, chcemy wierzyć w prawdziwego Boga, a nie w Lenina i jego pasierbów” (s. 145).

Trudno się dziwić, że komuniści szczególną uwagę zwrócili na 100,000 pielgrzymów, którzy wraz z Prymasem Stefanem Wyszyńskim (i „reakcjonistami” JWP Sapiehami) modlili się w Sanktuarium Maryjnym w Kodniu na początku września 1981 r. Była to wielka uroczystość religijno-patriotyczna (s. 142–144). Zresztą solidarnościowe imprezy prawie zawsze oddawały religijno-patriotyczny charakter ich uczestników. Na przykład 17 listopada 1981 r. w 63. rocznicę „Krwawych dni” w Międzyrzeczu Podlaskim „Solidarność” zorganizowała patriotyczną akademię. „Na zakończenie zaproszono zebranych na uroczystą mszę” (s. 184). Podobnie rzecz miała się w Czemiernikach, gdzie planowano zwołać sejmik rolników 26 lipca 1981 r. Szef ROPCiO, Andrzej Czuma, został zaproszony, aby wygłosić odczyt, a następnie planowano poświęcić krzyż NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” (s. 128). Wymieniono w teleksie Czumę, bo komuniści uważali go za szczególne zagrożenie.

Wśród działaczy „Solidarność” – tak jak wśród kleru – identyfikowano bowiem mniejszych i większych wrogów. Na przykład rolnik Mieczysław Trochimiuk, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) „już w okresie studiów uważany [był] za aktywnego działacza społeczno-kulturalnego, a zarazem za zdecydowanego przeciwnika socjalizmu i fanatycznego katolika” (s. 92).

Według komunistów działacze rolniczej „Solidarność” to przede wszystkim zamężni rolnicy, ustabilizowani rodzinnie. Ponoć mało było wśród opozycyjnego szefostwa „młodych rolników i młodzieży wiejskiej” (s. 87) Z jednej strony jasno widać, że ta opinia zalatuje marksistowskimi uprzedzeniami o „kułakach”. Z drugiej strony jednak można twierdzić, że odzwierciedla ona mimo wszystko stan faktyczny. Na wsi przecież generalnie nadają rytm życiu lokalnemu gospodarze zamożniejsi oraz bardziej doświadczeni.

Co jeszcze można o działaczach wyczytać? Wydaje się, że część, może nawet wielu aktywistów było polskimi nacjonalistami – nie w znaczeniu szowinizmu, lecz opierania się na symbolach patriotycznych i odnoszenia się do narodowej tradycji. W jednej z ulotek

z września 1980 r. zachęcano do kontynuowania strajków w ten sposób: „Naród Polski był od wieków uciskany przez wrogów, ale teraz nie może być i nie będzie uciskany... Strajk to jedyne wyjście... Robotnicy, komuniści muszą się poddać – albo ulegnie klasa robotnicza albo partia” (s. 64). Jednoznacznie więc przeciwstawiano sobie robotników – prawdziwych Polaków komunistom, którzy w tym układzie Polakami być nie mogli. Jest to niezwykle ważna cecha nacjonalizmu polskiego: polskość jest wyznacznikiem moralnym, a nie etnicznym. Polskość jest funkcją wyboru moralnego. Komuniści Polakami nie mogli być, bo byli niemoralni, służyli sowieckiemu wrogowi, byli zdrajcami, więc wręcz sami byli wrogami. Taka była logika przynajmniej niektórych działaczy solidarnościowego narodowego syndykalizmu.

Pozornie paradoksalnie, zgodzali się z nimi komuniści. Na przykład w teleksie z 23 stycznia 1981 r. alarmowano Warszawę o „Solidarności Wiejskiej” w następujący sposób: „Wyraźnie zarysowuje się uwypuklenie religijnych i patriotycznych cech związku. Przed zebraniem ich uczestnicy biorą udział w mszach, nabożeństwach, przyjmują komunię... W wielu przypadkach wypowiedzi działaczy Solidarności Wiejskiej są jawnie antyrządowe” (s. 86). Przez negatywne, więcej – wręcz negujące odniesienie się do tradycyjnych, patriotycznych, religijnych cech większości narodu, komuniści odcinali się od swych narodowych korzeni. Taka negacja przewija się stale przez teleksy. Wyczuwa się, że negatywnie odnoszono się do faktu, że w czasie strajków robotniczych wszędzie powiewały flagi narodowe, a w niektórych zakładach strajkujący zakładali biało-czerwone opaski (s. 88). Chodziło zarówno o negacje tradycyjnie rozumianej polskości, głęboko związanej z chrześcijaństwem, jak również o zazdrosne strzeżenie państwowego monopolu na symbole narodowe, które były nieodłącznym składnikiem promowanego od Gomułki pogańskiego nacjonalbolszewizmu.

Naturalnie taki łże-patriotyzm komunistów nie powinien był nikogo oszukać. Jako internacjonalistom, którzy odrzucali spuściznę Tysiąclecia, brakowało im bowiem ciągłości historycznej w polskiej tradycji narodowej. Pamiętajmy, że bardzo ważnym elementem solidaryzmu narodowego było stałe podkreślanie kontynuacji tradycji walki o wolność i niezawisłość Polski. Tego komuniści nie mieli. Nie mieli też ciągłości międzypokoleniowej. Po stronie antykomunistycznej, w proteście przeciw złu łączyły się solidarnie wszystkie żyjące pokolenia – w imię pokoleń przeszłych i przyszłych.

Oto dwa przykłady z komunistycznych teleksów. W jednej z solidarnościowych odezwoz rozplakatowanych w Łosicach przed oficjalnym świętem 1 maja 1981 r. czytamy: „My pamiętamy krwawą masakrę robotników w Polsce w 1956 i 1970 roku” (s. 108). Według teleksu z 20 lipca 1981 r., opisującego jedną z okołosolidarnościowych imprez: „w czasie uroczystości przemawiający przy grobach partyzantów AK w lesie koło wsi Janówka i Leszczyńka gen. [Mieczysław] Boruta-Spiechowicz w sposób tendencyjny omawiał sytuację więzionych legionistów w obozach jenieckich w ZSRR, twierdził, że był bity i torturowany przez NKWD i Czeka” (s. 127). I to odróżniało polskich niepodległościowców od tubylczych komunistów: ci ostatni nie byli w stanie potępić zbrodni sowieckich na Polsce, bo dzięki nim byli u władzy oraz dlatego, że nie identyfikowali się z tymi samymi troskami, tragediami narodowymi co niepodległościowo nastawieni Polacy.

Z oficjalnych teleksów można wyczytać też inne ciekawe rzeczy dotyczące tradycji kontynuacji walki przeciw komunistom. Otóż w połowie września 1980 r. tow. Staszczak raportował o regionalnych postulatach solidarnościowych. Jeden z nich wspominał „pracowników Wydziału Obróbki Maszynowej Zakładu nr 2, zwolnionych za udział w strajku w 1976 r.” (s. 63). Okazuje się więc, że nie tylko Ursus i Radom strajkowały. Rok 1976 w woj. białkopodlaskim wymaga osobnych badań. Ale jedno jest pewne: antykomuniści z lat 1980–81 identyfikowali się z ofiarą tych z 1976, 1970, 1956, 1944, 1939, 1918 i wcześniej.

Solidarnościowcy byli bezsprzecznie antykomunistami. Byli też antysowieccy – zarówno z powodów zaszłości historycznych, jak i spraw bieżących. Tak było na przykład 30 maja 1981 r. w negocjacjach z dyrekcją DRKP Małaszewicze, gdy ze strony solidarnościowej „padł... zarzut, że społeczeństwo polskie jest dezinformowane w sprawach naszych stosunków z ZSRR” (s. 114–115). W takich wypadkach chodziło nie tylko o podkreślenie kontynuacji walki o wolność, ale też o sprawy moralne: patriotyczni Polacy występowali przeciw kłamstwu. Tak więc sprawy historyczne, polityczne i etyczne nakładały się na siebie. Symbolicznym wymiarem tej postawy było to, jak już wspomnieliśmy, że na wspólnych imprezach patriotyczno-religijnych ramię w ramię stawiali żołnierze Września oraz AK-WiN i solidarnościowcy.

Były między nimi pewne różnice taktyczne. Z zasady solidarnościowcy opowiadali się za biernym oporem, za walką bez stosowania przemocy. W komunistycznych raportach możemy wyczytać zaledwie o kilku wyjątkach od tych reguł. W teleksie z 21 marca 1981 r. czytamy, że w Terespolu „nieustaleni dotychczas sprawcy wybili szyby w budynku Komitetu Miejsko-Gminnego i zdemolowali gabloty [z propagandą komunistyczną] znajdujące się na terenie miasta” (s. 100). 29 kwietnia 1981 r. raportowano, że „w Łosicach uszkodzono na balkonie budynku miejscowego KM-G PZPR wywieszony z okazji 1 Maja portret Lenina rzucając w niego farbą w foliowym opakowaniu” (s. 107). 28 września 1981 r. w Małaszewiczach „obrzuciono cegłami mieszkanie” komunisty, „tow. Piotra Kopcia”, który wystąpił z „Solidarności” i starał się założyć pro-reżimowy związek zawodowy (s. 160–161). W grudniu 1981 r. jeden z szefów „Solidarności” w Białej Podlaskiej otwarcie mówił o konieczności usunięcia PZPR z przedsiębiorstw (s. 189). Trudno podejrzewać, że komuniści wyszliby z zakładów dobrowolnie.

Czy były to prowokacje, tak jak były nimi prawie bezsprzecznie przypadki bezczeszczenia sowieckich cmentarzy wojennych? (s. 180, 184–185) Trudno powiedzieć. Wydaje się raczej, że były to wyjątki od strategii stawiania oporu bez stosowania siły. Gdyby to nie były przypadki, wewnętrzna korespondencja komunistyczna zapewne odnotowałaby o wiele więcej z nich.

W jednym z teleksów czytamy opinię wyrażoną już po wprowadzeniu stanu wojennego, że „zdaniem aktywu Solidarności dojdzie do strajków, a nawet do rozlewu krwi” (s. 194). Naturalnie nie świadczy to o gwałtownych i bojowych zamiarach solidarnościowców, a raczej wyraża ich obawę przed siłowym rozwiązaniem kryzysu przez komunistów. W rzeczywistości bowiem aktywnego, masowego oporu nie było. Według teleksu z 17 grudnia aresztowano jakoby 250 solidarnościowców białkopodlaskich (powtarzając

opinię samych prześladowanych, a nie statystyki SB). Oprócz tego stwierdzano, że „na terenie województwa nie było strajków, akcji protestacyjnych itp... W środowisku wiejskim nie stwierdzamy wrogiej działalności.” Następnego dnia teleksowano: „Wszystkie zakłady pracują normalnie” (s. 196–197). Opór ograniczył się właściwie do malowania hasła KPN w Międzyrzecu oraz do prowadzenia nasłuchu zachodnich stacji radiowych i propagandy szeptanej (s. 205–206).

Warto tu wspomnieć o jeszcze jednym zjawisku. W oficjalnych, krótkich charakterystykach aktywnych solidarnościowców przewija się przede wszystkim wątek niechęci, a nawet nienawiści do propagandy komunistycznej. Charakterystyczne, że białkopodlascy solidarnościowcy woleli partyjną prasę centralną, niż regionalne szmatławce: *Trybunę Zakładową* i *Słowo Podlasia*. Wynikało to z kilku powodów. Po pierwsze, eliminując, czy tylko ograniczając nakład regionalnych szmatławców likwidowano intratne etaty lokalnych komunistycznych gryziopiórków. Po drugie, miejscowi mogli lepiej odnieść się do kłamstw produkowanych przez komunistów na tematy lokalne, stąd też niechęć do lokalnej prasy. Po trzecie, kłamstwa centrali długo pozostawały na poziomie zbyt abstrakcyjnym, aby większość mogła się do nich odnieść ze znanstwem. W sierpniu 1980 r. na prowincji nawet wychodzący w centrali *Sztandar Ludu* wydawał się prowokatorsko-liberalny (s. 63). Ale już rok później lokalny aktyw komunistyczny był zmuszony solidarnościowym strajkiem drukarzy drukować swoją własną prasę, a w tym tworzoną lokalnie namiastkę *Sztandaru Ludu* (s. 137). Solidarnościowcy zrozumieli, że szmatławiec pozostaje szmatławcem, nawet jeśli legitymuje się warszawskim pochodzeniem.

Tyle o propagandzie. Oprócz spraw kościelnych, opozycyjnych i solidarnościowych, na uwagę zasługują nieliczne komentarze komunistów o mniejszościach narodowych. I tak na przykład w marcu 1980 r. nadmienia się o „niezadowoleniu” katolików z tego, że komuniści pozwolili prawosławnym wybudować kaplicę w Holeszowie. Katolicy bowiem nie mieli własnej kaplicy (s. 41). W tym samym czasie – w związku z pseudowypowiedziami – informowano władze w Warszawie, że „odnotowano także kilka negatywnych, wrogich wypowiedzi niektórych rolników pochodzenia ukraińskiego, szczególnie byłych członków zbrojnego reakcyjnego podziemia. Niektórzy z nich zapowiadają w prywatnych rozmowach, że nie wezmą udziału w głosowaniu, które ich w ogóle nie interesuje, gdyż nie mają we władzach swoich przedstawicieli” (s. 41). Najpewniej oznaczało to, że komuniści mieli swoją agenturę w środowisku weteranów UPA, tak zresztą jak wśród kombatantów AK i NSZ.

A jak komunistyczni przywódcy widzieli siebie i swoich współtowarzyszy z PZPR? Tutaj również można prześledzić pewną ewolucję postaw. Na początku września 1980 r. Staszczak informował Warszawę, że „wśród aktywu partyjnego padają głosy, z których przebija gorycz spowodowana pójściem na ustępstwa rządu PRL w trzech zwłaszcza sprawach, tj.

- związków zawodowych
- ‘więźniów politycznych’
- udostępnienia radia i telewizji wyznaniom religijnym” (s. 61).

Rok później egzekutywa partyjna w Białej Podlaskiej ostrzegła, że „socjalizmu będziemy bronić tak, jak dyktuje sumienie polskich komunistów” (s. 154). To spośród nich dobierano członków grup do „pracy politycznej i zwalczania wrogiej propagandy”. Przykładowo, jesienią 1981 r. 26 twardogłowych weszło w skład takiej „grupy ds. walki polityki [sic! politycznej]” przy KW PZPR w Białej Podlaskiej (s. 166).

Oprócz tych gniewnych i rozgoryczonych partyjniaków byli też i rozmaici oportuniści oraz inni, którzy partię zaczęli małym strumykiem opuszczać. Liczba kandydatów stale spadała. W końcu zeszła do zera (s. 97–98, 135). Ogółem między lipcem 1980 r. a połową grudnia 1981 r. z PZPR wystąpiło 1,497 osób.

Z drugiej strony władze partyjne starały się namawiać swoich członków do opuszczania szeregów Solidarności. Wynik był raczej mierny. Na przykład jesienią 1981 r., po rozmowach ostrzegawczych, na 19 partyjniaków we władzach regionalnych związku, tylko jedna zgodziła się porzucić „Solidarność”. Na 106 partyjniaków, z którymi przeprowadzono rozmowy „20 osób zadeklarowało wystąpienie ze związku, zaś 1 osoba wystąpiła z partii” (s. 168). W październiku 1981 r. raportowano, że nomenklatura, wywodząca się przeciw głównie z PZPR, „wykazuje dużą bierność.” Co więcej, „wśród kadry kierowniczej administracji państwowej są przypadki działań sprzecznych z decyzjami rządowymi bądź ich nierealizowanie” (s. 162). Pod koniec listopada odnotowano, że uzwiązkowieni partyjniacy biernie popierają „Solidarność” (s. 188). 9 grudnia 1981 r. teleksowano, że jacejki komuny pozostają pasywne w 17 na 20 zakładów. W 4 zakładach stwierdzono otwarty konflikt z „Solidarnością”. Z tego tylko w jednym, w Małaszewiczach, lokalni komuniści stanowili jakiegokolwiek poważniejsze wyzwanie dla związku (s. 190–191).

Tymczasem na wsi działalność partii właściwie całkiem zamarła. Panowała niemal powszechna bierność: W rozmowach z towarzyszami z władz wojewódzkich PZPR „niechętnie deklarowany jest stosunek danej osoby do jej przynależności do PZPR lub Solidarności” (s. 159).

Po 13 grudnia 1981 r. sytuacja zaczęła się zmieniać. Na wieść o stanie wojennym Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR przy filii AWF w Białej Podlaskiej zadeklarowała: „łączymy się z I sekretarzem naszej partii w jego nieugiętej walce o przyszłość naszej ojczyzny i jej socjalistyczny rozwój” (s. 195). Jednocześnie partyjniacy zgłaszali się do „grup samoobrony” (s. 202). Niektórzy towarzysze w województwie wyrażali żal, że stan wojenny przebiega tak łagodnie. Dziwiły ich szczególnie niskie wyroki więzienia dla solidarnościowców. Popierali czystki wśród nomenklatury i niepewnej politycznie technicznej kadry kierowniczej.

Teleksowano do Warszawy: „Z informacji przekazywanych przez instancję wynika, że nastąpiło ożywienie życia partyjnego, które przejawia się m.in. przez samookreślanie się członków partii, aktywny udział w akcji wyjaśniającej konieczność wprowadzenia stanu wojennego w PRL. Notujemy także chęci powrotu w szeregi PZPR osób, które zostały skreślane bądź wydalone z szeregów partii” (s. 199). Mimo tego w ciągu kilku dni po 13 grudnia 6 osób wystąpiło z PZPR.

Nota bene, doskonałą ilustracją działań i intencji komunistów jest zawarta w aneksach kolekcja fotografii komunistycznych notabli oraz plakatów i ulotek antysolidarnościowych.

Związłą przedmowę do białskopodlaskich dokumentów napisał profesor Ryszard Bender. Dariusz Magier opatrzył całość krótkimi „Wskazaniami bibliograficznymi” oraz „Wstępem” z rozważaniami metodologicznymi. Twierdzi tam m.in., że „żadna historiografia nie jest (i nie może być) aideologiczna, gdyż... nawet samo dążenie do jak największego obiektywizmu i samoprzekonanie, że przekazuje się prawdę – już jest ideologią” (s. 17). Zasugerujmy jedynie, że Prawda to nie ideologia. Prawda jest ponadideologiczna i nierelatywizowalna, bo nawet ci, co mówią, że prawdy nie ma, opierają się na tym właśnie pewniku (rzekomym nieistnieniu prawdy), czyli w końcu na jakiejś prawdzie. Ale to tak zupełnie na marginesie, gwoli wyjaśnienia, bowiem Dariusz Magier wspomniał, że docenia nasze „uwagi metodologiczne przywracające wiarę w prawdę.”

pawpolusa@yahoo.com

Paweł Piotr Styryna

Hitler, Stalin: dwa bratanki

Richard Overy, *The Dictators: Hitler's Germany and Stalin's Russia*

(London: Penguin Books, 2005)

61 lat po upadku III Rzeszy i 15 lat po upadku Związku Sowieckiego dzieje obydwu imperiów zła i ich systemów politycznych nie przestają „fascynować”. W swej najnowszej książce pt. *Dyktatorzy* brytyjski historyk, profesor londyńskiego King's College, Richard Overy, podjął się opisanie pewnych wspólnych wątków łączących obydwu reżimy, o czym mówią zresztą tytuły niektórych rozdziałów: „kulty osobowości”, „państwo partyjne”, „państwa terroru”, „budowa utopii”, „kulturowe rewolucje”, „ekonomie nakazowe” (*Command Economies*), „wojskowe superpotęgi”, „wojna totalna” i „imperia łagrów”. Osoby zainteresowane historią porównawczą, doktrynami politycznymi i II wojną światową znajdą w *Dyktatorach* wiele ciekawych, cennych informacji nt. bolszewizmu, stalinizmu i niemieckiego narodowego socjalizmu a historycy (nie mówiąc już o historycznie niedokształconej większości polityków i dziennikarzy, ale to już inna historia) powinni po dzieło Overy'ego sięgnąć i zapoznać się z nim. Z Overyem można się zresztą w wielu kwestiach zgadzać lub nie zgadzać, lecz 651 stron książki zawiera skarbnicę wiedzy i twardych, niezaprzeczalnych faktów nt. hitlerowskich Niemiec i stalinowskiego ZSRS z którymi można się zapoznać niekoniecznie przyjmując tezę czy punkt widzenia autora.

Za główny przykład może posłużyć tutaj spojrzenie Brytyjczyka na światopoglądowe korzenie niemieckiego narodowego socjalizmu i komunizmu. Faktem jest, iż Overy nie pisze o Hitlerze i NSDAP jako o „skrajnej prawicy”, a zamiast skrótu „naziści” preferuje pisać „narodowy socjalizm” co już stanowi pewien postęp. Konserwatywny czytelnik może

natomiast polemizować z twierdzeniem autora jakoby „obydwie dyktatury reprezentowały owoc zdecydowanego odrzucenia w Niemczech i w Rosji zachodniego, liberalnego ideału postępu, z jego naciskiem na suwerenność jednostki, cnoty społeczeństwa obywatelskiego i tolerancją dla różnorodności”. Jest to jednak co najwyżej półprawda ignorująca obecność pewnego słonia w menażerii, a mianowicie fakt, iż zarówno liberalny „postęp” jak i hitlerowski narodowy socjalizm i komunizm były przejawami modernistycznego i relatywistycznego buntu przeciwko chrześcijaństwu, „staremu porządkowi”, idei monarchicznej, konserwatywnej i Tradycji, co nie jest oczywiście główną tezą Overy’ego ale dzieło to jest o tyle cenne, że dostarcza sporo danych by to udowodnić. Objętość recenzji nie pozwala tutaj na rozwinięcie tego wątku, ale fakt, że po dojściu do władzy w 1933 r. NSDAP-owcy przystąpili do rozwiązywania Ligi Wszechniemieckiej (*Alldeutsche Verband*) i nacjonalistyczno-konserwatywnej Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej (*Deutsche Nationale Volkspartei*), uznanych za reakcyjne i antynazistowskie, mówi sam za siebie.

Stosunek Hitlera do samego chrześcijaństwa zasługuje na uwagę jako osobny wątek który autor porusza w rozdziale pt. „Moralny świat dyktatury”. Tak jak większość komunistów i „postępowców” wódz NSDAP „wyznawał bardzo nowoczesny pogląd niekompatybilności wyjaśnień religijnych i naukowych. W październiku 1941 r. powiedział Himmlerowi, iż „Dogmat chrześcijaństwa ściera się pod wpływem postępów w nauce”. Ponadto „ambicja by niemieckie kościoły poparły dyktaturę bezwarunkowo spowodowały niemalże natychmiastowy opór”. Stąd też narodowi socjaliści zwalczali chrześcijaństwo dwutorowo: z jednej strony lansowano przeróżne syntezy germańskiego pogaństwa z chrześcijaństwem (jak np. Niemieckich Chrześcijan czy ruch Wiary Niemieckiej) które twierdziły, min, że „Krzyż musi upaść jeżeli Niemcy mają żyć”. Z drugiej strony, gdy Hitler doszedł już do władzy, usiłował podporządkować sobie wszystkie niemieckie kościoły na sposób bizantyjski (cezaropapizm), a odpowiedzią narodowych socjalistów na opór ze strony większości protestantów i katolików były prześladowania. Wymowną ilustracją światopoglądu tego nacjonalistyczno-pogańsko-rewolucyjnego ruchu było zerwanie przez hitlerjugendowców Krzyża ze ściany w monachijskiej szkole i wyrzucenie go przez okno z okrzykiem „leż tam ty brudny żydzie”.

Zaletą *Dyktatorów* jest też to, iż Richard Overy nie odgrzewa starych, nudnych tez szerzonych przez trockistów i socjalistów jakoby Stalin był „faszystą”, „reakcjonistą” i „zdrajcą rewolucji” („Koba” i miliony trupów są w końcu niezbyt wygodnym bagażem politycznym). Brytyjczyk pisze jednak, że Stalin robił wszystko by za wszelką cenę zapewnić socjalistycznemu państwu przetrwanie, a rewolucję uratować i szerzyć, był wszak paranoikiem przekonany, że ZSRS i rewolucja są ciągle i nieustannie zagrożone. Jego polityka, miliony torturowanych, rozstrzelanych i zagłodzonych, były więc nie przejawami jakiejś „zdrady rewolucji” ale naturalnymi konsekwencjami upartego przywiązania do socjalizmu i rewolucji.

Wartym uwagi jest także rozdział porównujący systemy ekonomiczne hitlerowskiej III Rzeszy i stalinowskiego ZSRS. Głównym panującym dziś mitem jest twierdzenie, jakoby III Rzesza była państwem kapitalistycznym z systemem gospodarczym całkowicie przeciw-

stawnym sowieckiemu. Jak pisze Overy, obydwie systemy były jednak uderzająco podobne do siebie, w obydwu (a nie tylko w Niemczech) istniały sektory i własność prywatna. Nie były one jednak chronione przez państwo, bowiem zarówno narodowi socjaliści jak i bolszewicy gardzili jakąkolwiek świętością czy niezależnością własności prywatnej. W obydwu etatystycznych systemach wprowadzono centralne planowanie (pięciolatki w ZSRS, czterolatki w III Rzeszy) i w obydwu systemach jakąkolwiek własność prywatna była uzależniona od wykonywania rozkazów państwowych planistów z Moskwy czy Berlina.

Pewną wspólną cechą obydwu systemów-ideologii było min. jednak to, że obydwie widziały się jako („totalne”) lekarstwa na kryzys świata „nowoczesnego” będąc jedynie objawami tegoż kryzysu. Brytyjski historyk przyznaje także, iż obydwie systemy były swego rodzaju unikalnym duetem pod względem totalitarnych żądz i roli jaką odgrywały w obydwóch terror i mordy na skalę masową. Na zachodzie popularne jest wrzucanie wszystkich niedemokratycznych czy nieliberalnych doktryn i systemów politycznych do jednego worka, ale porównanie narodowo-socjalistycznej III Rzeszy czy komunistycznego Związku Sowieckiego ze starymi europejskimi monarchiami lub chociażby XX-wiecznymi autorytarnymi rządami Generałów Primo de Riveri i Franco w Hiszpanii, Dr Salazara w Portugalii, Adm. Horthy’ego na Węgrzech, Piłsudskiego w Polsce lub nawet Mussoliniego we Włoszech ujawnia jałowość tego konwencjonalnego podejścia.

Irytującym dla czytelnika z byłego Bloku Wschodniego może natomiast okazać się zbytnio uproszczone, lecz nierzadko powtarzane za Zachodzie, twierdzenie Brytyjczyka jakoby „sowieckie łagry były wyjątkowo brutalnymi i przygnębiającymi więzieniami, lecz nigdy nie były utworzone lub obmyślone jako ośrodki eksterminacji”. Trąci to pewną naiwnością i powierzchowną interpretacją historii komunizmu ze strony bogatych narodów Zachodu które nie cierpiały jako bezpośrednie ofiary Związku Sowieckiego. Wszak wywołując miliony ofiar na Sybir czy Kołymę Sowietci dobrze wiedzieli, że kombinacja mrozu (lub upału w Azji Środkowej), sadystycznych strażników, niedożywienia i ciężkich robót spowoduje śmierć wielu.

Trudno zrozumieć natomiast co zmotywowało Overy’ego do napisania następującego twierdzenia ze s. 538: „demokracje ludowe’ nie były koloniami ale suwerennymi państwami. Sowiecka propaganda wykorzystywała tę różnicę. Nawet jeżeli państwa Europy Wschodniej wołałyby całkowitą niepodległość to warunki ich egzystencji wyraźnie różniły się od ich kondycji pod III Rzeszą”. Czy symbolami tej „suwerenności” miały być narzucanie ustroju socjalistycznego bagnetami, bazy Armii Czerwonej, interwencje sowieckich czołgów we Wschodnim Berlinie (1953 r.) lub na Węgrzech w 1956 lub traktowanie krajów na wschód od „żelaznej kurtyny” jako terenów do eksploatacji ekonomicznej (*vide* łaszczenie się Sowietów na bogate zasoby naturalne Jugosławii, której „rozwód” z Kremlem był szczęśliwym wyjątkiem: Sowietci byli zajęci na przełomie lat 1948–1949 oblężeniem Berlina Zachodniego). Prof. Overy już nie wyjaśnia. Biorąc pod uwagę przykłady krajów bałtyckich lub węgierskich, rumuńskich i bułgarskich satelit-sojuszników trudno jednoznacznie stwierdzić, czy „warunki ich egzystencji wyraźnie różniły się od ich kondycji pod III Rzeszą”. Widocznie raczej miał amerykański dyplomata i historyk George F. Kennan (wcale nie

zoologiczny antykomunista: był ojcem doktryny “powstrzymywania” komunizmu, ale sprzeciwiał się już koncepcjom aktywnego rugowania komunizmu [*rolling-back communism*] lansowanym przez amerykańską prawicę) który stwierdził, zaraz po zakończeniu II wojny, że Anglosasi mają pewne trudności w dostrzeżeniu rządów marionetkowych ...

Książka Overy’ego nie wywołała jednak zbytnej debaty w środowiskach naukowych. Apolityczni specjaliści chwalą obfitość szczegółowych informacji, faktów i statystyk podczas gdy rozpolitykowane zastępy “profesorów-aktywistów” preferuje przemilczeć jakiegokolwiek porównanie narodowego socjalizmu niemieckiego z komunizmem. Wśród wielu naukowców do dziś dnia pokutuje przekonanie, że komuniści “jednak chcieli dobrze”.